

„COŚ ZŁEGO SIĘ ZE MNĄ STAŁO". MOMENT GROZY Z KAMPANII NAWROCKIEGO



PAWLICKI: PO CHOLERĘ NAM KULTURA?



CIESZYŃSKI: ZAMIOTĄ SZPITALNĄ AFERĘ POD DYWAN



SUBIEKTYWNY RANKING KINA POLITYCZNEGO NA WAKACJE

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

28 (710) 2026
6–12 lipca 2026
CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)



INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
Numer w sprzedaży do 13 VII 2026 r.

NASZ RAPORT

WSZYSTKIE ZBRODNIE UPA

MORDOWALI POLAKÓW, ŻYDÓW, CZECHÓW, ORMIAN I UKRAIŃCÓW. GŁOSILI: „NIE ZAWAHASZ SIĘ SPEŁNIĆ NAJWIĘKSZEJ ZBRODNI, KIEDY WYMAGA TEGO DOBRO SPRAWY". I TAK ROBILI

eprasa.pl

Wesprzyj dziennikarstwo śledcze – fundament misji telewizji wPolsce24

Patrzymy władzy na ręce.
Tropimy afery.
Demaskujemy kłamstwa.
Ujawniamy niewygodne fakty.

Wojciech Biedroń
dziennikarz telewizji wPolsce24
laureat nagród SDP za reportaże śledcze



Oglądaj reportaże śledcze **w każdy poniedziałek o 20:05**

WSPIERAJ wPolsce24

wesprzyj.wpolsce24.tv

numer konta FRATRIA S.A.:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577
tytuł wpłaty:
DAROWIZNA

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl 166cbf2463

Perfekcyjne dziecko KO

Decyzję o podjęciu budowy Szpitala Południowego podjęto za kadencji prezydent Hanny Gronkiewicz-Waltz w 2016 r. Oddano go do użytku w 2021 r., gdy stolicą rządził już Rafał Trzaskowski. Placówka pojawiła się w kampanii prezydenckiej 2025 r. – kandydat KO wskazał ją jako przykład własnego sukcesu oraz dowód, że ma kompetencje do zajmowania się służbą zdrowia.

Można więc powiedzieć, że ten szpital to krew z krwi i kość z kości obecnego obozu rządowego. Oni zbudowali, oni zatrudnili ludzi, oni tchnęli ducha w tę instytucję. Zrobili to tak, jak umieli. Zrobili to zgodnie ze swoim instytucjonalnym DNA. Wyszło, jak wyszło. A wyszedł – to już wiemy – po prostu potworek. Współczesny ZMP-owiec wyprowadzał pieniądze liczone w setkach tysięcy, zorganizował salonik VIP dla politycznych przyjaciół, a w prosektorium fałszowano dokumenty i handlowano ciałami zmarłych, nękając tych, którzy nie wybierali wskazanej firmy z branży funeralnej.

To w sumie bardzo ciekawe, bo – zauważmy – instytucje powoływane od zera przez prawicę zmieniały polską rzeczywistość na lepsze. Wnosiły nowe standardy, przejrzystość, skuteczność, energię w działaniu. Tak było z IPN, który złamał kręgosłup politycznemu postkomunizmowi, tak było z CBA, które – gdy miało wolne ręce – zepchnęło korupcję od podziemi naszego życia społecznego.

Tymczasem w przypadku Platformy Obywatelskiej – odwrotnie. W Szpitalu Południowym nie tyle bowiem wystąpiły jakieś patologie, ile raczej – można odnieść wrażenie – zebrały się one w stopniu rzadko spotykanym w przyrodzie. Gdy pojawia się jedna warstwa afery, myślimy, że to koniec, że nic więcej tam nie ma. Ale to złudzenie. Mija doba i dobiega nas jeszcze jedna afera, jeszcze bardziej oburzająca. Tylko struktura naprawdę zgniła mogła wydać coś tak szkaradnego, do tego jeszcze otoczonego zmową milczenia i strachu. Trzeba było wściekłości wybitnego chirurga, którego zapewne upokorzył młody aparatczyk, by to wszystko wylało się na zewnątrz.

Ów młody aparatczyk to także nie byle kto. Dawid Kacprzyk, koordynator SOR z milionowymi zarobkami, bardzo aktywnie uczestniczył w kampanii parlamentarnej, ostro atakował PiS, mimo nieskończonych wówczas studiów przedstawiał się jako „doktor", a przez trzy lata, do 15 marca 2026 r., był przewodniczącym Stowarzyszenia Nowa Generacja, oficjalnej młodzieżówki Koalicji Obywatelskiej – organizacji, która zastąpiła Młodych Demokratów. A szef partyjnej młodzieżówki – wie to każdy uważny obserwator polityki – nigdy nie jest osobą przypadkową. Z relacji wiemy, że powoływał się na osoby z samej czołówki obozu władzy, często występował również w mediach. Nie był w tej historii zwykłym widzem – on był aktorem pierwszoplanowym. Szpital Południowy miał bowiem stać się – można domniemywać – wewnętrznym zasobem obozu władzy, i to w każdym wymiarze. Formalnie dla każdego, ale realnie już nie, za to otoczony splotem potężnych, dochodowych interesów, które funkcjonują wyłącznie dzięki dopływowi pieniędzy podatników.



Autopromocja

Siła tej afery jest ogromna. Najlepszy dowód stanowi wybór strategii obronnej przez obóz władzy. Gdy pierwsze próby dezawuowania sygnalisty zawiodły, sprawę postanowiono w istocie przeczekać, przewlec, rozmyć w nadziei, że wakacje i nowe wydarzenia zgaszą społeczne echo. Ale to marna nadzieja. Afera SOR należy do tego rodzaju afer, których politycy boją się najbardziej. Jest czytelna, smakowita, dotyczy pieniędzy, zdrowia i zachłanności polityków. Ona już naprawdę trafiła pod strzechy. Ale jej siła leży w jeszcze jednej warstwie. Otóż obnaża ona uniwersalny sposób działania Koalicji Obywatelskiej. Tak obecny obóz władzy działa wszędzie, gdzie ma jakieś wpływy. Tak działa i tak chce działać. Platforma po to przecież powstała. Jej główną funkcją społeczną jest dostarczanie bezpieczeństwa tysiącom sitw – lokalnych, branżowych, poziomych i pionowych, małych i wielkich. Ona tym sitwom gwarantuje, że nikt od góry nie naruszy ich interesów. To jest wielka centralna czapa nad Polską zgniłą, zdemoralizowaną i cyniczną. Nad Polską, która w takim stanie przetrwać nie może.

Jacek Karnowski

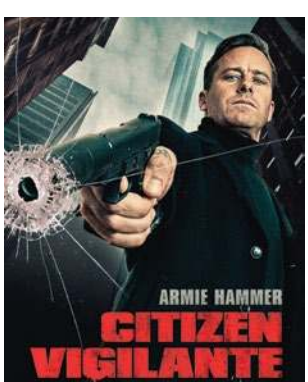
SIECI spis treści



30 Koalicja Obowiązkowa
Stanisław Janecki



36 Runęły dwie wieże Giertycha
Marzena Nykiel



43 Obywatel Sędzia i Kat
Dariusz Matuszak

NA POCZĄTEK

5 **ROZBRAJANIE ZAGROŻENIA**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **POWRÓT TRZECIEJ DROGI**
Dorota Łosiewicz

9 **RUDY I BRUDY**
MuMa

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **UPAŁY. BRUKSELSKA SAUNA NA KRAWĘDZI BLACKOUTU**
Daniel Obajtek

13 **STRATEGICZNE AI**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA MICHAŁA DEPTY**
Michał Korsun

16 **PO CZTERECH ROZBIORACH, PO WIEKACH WYZYSKU...**
Jan Pietrzak

16 **AFERY CORAZ MNIEJ „UŚMIECHNIĘTE", A ZEGAR TYKA...**
Samuel Pereira

17 **JAK NIEMCY CHRONIĄ SWOJE INTERESY W KE**
Arkadiusz Mularczyk

18 **KOMUNA IM. III RP**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

19 **UKRAIŃSCY NAŚLADOWCY HITLERA**
Stanisław Płużański

23 **OD PRZYJAŹNI DO WROGOŚCI**
Konrad Kołodziejski

KRAJ

26 **CO ZROBIONO NAWROCKIEMU?**
Piotr Gursztyn

30 **KOALICJA OBOWIĄZKOWA**
Stanisław Janecki

33 **ZAMIOTĄ AFERĘ POD DYWAN**
Z Januszem Cieszyńskim rozmawia Dorota Łosiewicz

36 **RUNĘŁY DWIE WIEŻE GIERTYCHA**
Marzena Nykiel

OPINIE

39 **PO CHOLERĘ NAM KULTURA?**
Maciej Pawlicki

ŚWIAT

43 **OBYWATEL SĘDZIA I KAT**
Dariusz Matuszak

46 **JAKA BĘDZIE ODPOWIEDŹ ROSJI?**
Marek Budzisz

49 **CZY BĘDĄ WYBORY NA UKRAINIE?**
Jan Rokita

52 **NOWY CZARNY CHARAKTER**
Aleksandra Rybińska

54 **WOLNE NARODY NIE CHCĄ SUPERPAŃSTWA**
Z prof. Zbigniewem Krysiakiem rozmawia Jerzy Szmit

SIECI KULTURY

57 **ZWIERCIADŁA POLITYKI**
Maciej Walaszczyk

61 **NIE MOŻNA ZATAJAĆ ZBRODNI**
Jolanta Gajda-Zadworna

62 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

SPORT

64 **OSTATNI REJS KAPITANA**
Michał Muzyczuk

KUCHNIA

66 **MOJE SMAKI: HENRYK Z ŻYCHLINA**
Jolanta Gajda-Zadworna

67 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

68 **SAMBA Z DUCHAMI**
Robert Tekieli

70 **KU POJEDNANIU**
Wojciech Reszczyński

71 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

72 **DOJNY KRAJ**
Aleksander Nalaskowski

73 **„AUF WIEDERSEHEN", CZYLI RADOŚĆ O PORANKU**
Ryszard Czarnecki

74 **UNIWERSALNE ŹRÓDŁO NADZIEI**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

eprasa.pl 166cbf2463

BRONISŁAW WILDSTEIN

Rozbrajanie zagrożenia

Zapamiętajmy tę scenę. Do prokuratury wchodzi dr Emil Jędrzejewski. To były ordynator chirurgii w Szpitalu Południowym. Dzień wcześniej, w wywiadzie w Kanale Zero, wzmocnił on wszystkie zarzuty, które odsłoniły głębię patologii w Szpitalu Południowym i rolę, którą odgrywał w niej szef młodzieżówki PO/KO, lekarz, Dawid Kacprzyk. Jędrzejewski twierdzi, że odpowiada on za śmierć pacjentów. W trybie nagłym następnego dnia zostaje wezwany do prokuratury.

Wataha dziennikarzy rzuca się na niego od drzwi. „To bardzo poważne zarzuty, jakie ma pan dowody?!" – słyszymy agresywne pokrzykiwania. „Dlaczego nie zgłaszał pan tego w prokuraturze?!", „Dowody, dowody!" – wołania nasilają się. Można odnieść wrażenie, że do prokuratury wszedł groźny przestępca, a dziennikarze usiłują wymusić na nim przyznanie się do winy. Wydaje mi się, że dostrzegam pracowników TOK FM, ZET, RMF.

Pytania zarzuty korespondują ze strategią, którą przyjął rząd. Premier Tusk przedstawił już trzy podejścia do sprawy. Najpierw śmiertelnie poważnie ogłosił, że „bez względu na to, kogo to będzie kosztowało", skandal, „bo nie chodzi tylko o młodego lekarza", zostanie całkowicie wyjaśniony.

Następnie, już dużo mniej poważnie, uznał całą aferę za efekt „kłótni lekarzy". Wreszcie podsumował ją wpisem: „Wiarygodność pana Emila Jędrzejewskiego i jego sensacyjnych wypowiedzi po próbie przesłuchania go przez prokuraturę wydaje się być wątpliwa". Okazuje się zatem, że nie ma afery Szpitala Południowego. Jest afera dr. Jędrzejewskiego.

Na zalecenie premiera błyskawicznie zameldował się minister Żurek, kwestionując informacje lekarza: „Z jednej strony mamy świadomość, że pozostaje w poważnym sporze ze szpitalem. Zastanawia nas, dlaczego nie mówił o tym wcześniej, ale nie wolno nam tego lekceważyć".

Prokurator Skiba, który zajmuje się sprawą, sugerował kłamstwa Jędrzejewskiego, rzecznik Kacprzyka, Jacek Dubois, grozi Jędrzejewskiemu odpowiedzialnością karną, Roman Giertych, wiceprzewodniczący rządzącej partii, odpowiedzialny za jedną z większych afer kryminalnych ostatnich lat, nazywa go przestępcą, a wtóruje im propagandowy chór, czego obrazek przytoczyłem na początku. Pretekstem do ataku jest odmowa zeznań ze strony lekarza.

Jędrzejewski zachował się tak, jak powinien. Przekazał dane o ofiarach Kacprzyka, ale bez udziału pełnomocnika odmówił odpowiedzi, wiedział bowiem, że prokuratorzy Żurka wezwali go nie po to, aby się czegoś dowiedzieć, ale aby zdezawuować jego świadectwo. Jako lekarz jest w sytuacji wyjątkowo trudnej, bo nie wolno mu ujawnić tajemnic pacjentów. A aparat KO i jego propagandyści najchętniej przekształciliby jego status ze świadka na oskarżonego, co już dzieje się w partyjnym aparacie medialnym.

Nawet początkujący dziennikarz powinien wiedzieć, że posiadanie na jakiś temat wiedzy nie oznacza dysponowania dowodami sądowymi. Dlatego Jędrzejewski w wywiadzie wstrzymywał się przed prezentacją danych na ten temat, aby nie zostały one rozbrojone, zanim nie zajmą się nimi organa sprawiedliwości. Wcześniej robił wszystko, aby zawiadomić zarządzających szpitalem o nieprawidłowościach, które mogą prowadzić do tragedii. Po licznych próbach, które lekceważyli jego przełożeni, udało mu się dotrzeć do prezydenta Warszawy, który sprawą się nie zainteresował – teraz kłamie, że o niej nie wiedział – natomiast ordynator został ze szpitala wyrzucony. Naturalnie nie z powodu swoich ostrzeżeń, ale zupełnie innych spraw i tylko tak się złożyło, że zbiegły się one w czasie.

Podstawowy zabieg propagandy polega na przekierowaniu afery szpitala i szerzej służby zdrowia pod rządami koalicji 13 grudnia na Jędrzejewskiego. W rzeczywistości powszechna wiedza na temat Kacprzyka i Szpitala Południowego nie pochodziła od Jędrzejewskiego. Publicznie dostępne są dane na temat fałszowania dokumentacji lekarskiej przez Kacprzyka, okazuje się, że nie tylko we wzmiankowanej lecznicy. Karierę polityka PO/KO również poznaliśmy, zanim wiedzę na jej temat poszerzył Jędrzejewski. Wszystko to okazuje się nie mieć znaczenia. Rzecz zostaje przedstawiona jako wynik jego relacji, a on ma być niewiarygodny.

Rzecznikiem wyższego poziomu manipulacji jest poseł Arłukowicz z nieodłącznym Giertychem za plecami. Deklaruje on, że odsłonięcie afery to zamach na obecną władzę, a zatem demokrację. Realnie to Arłukowicz i jego klaka uderzają w sedno tego ustroju.

Podstawowa zasada demokracji przedstawicielskiej to konkurencja ugrupowań, które odgrywają rolę przedstawicieli obywateli. Patrzą one sobie na ręce, a odkrywając nieprawości swoich rywali, piętnują je i domagają się odsunięcia sprawców od rządzenia. To najlepszy mechanizm nadzorowania władzy, jaki dotąd wymyślono. Powinny wspomagać go media, których obowiązkiem jest odsłaniać to, co ukryte, aby obywatele byli w stanie rozpoznać stan rzeczy swojego kraju.

Jak jest w III RP, widać po przebiegu opisywanej afery.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 166cbf2463



Sygnalista nadaje

Znakomity ruch rządu! Szach-mat, nieeuropejska, antyekologiczna hołoto! Rząd pozwolił podnieść ceny paliw. Jest prawie 5,19 zł za litr benzyny, bo jedyne 6,83 zł. Jeśli ktoś widzi różnicę między tymi cenami, to widać, że nie pasuje do nowoczesnej, zeroemisyjnej gospodarki rynkowej. Bieda to stan umysłu. Jeśli nie stać was na benzynę, to znaczy, że nie stać was na samochód. Podwyżka cen paliw to bardzo dobry ruch na wakacje, bo skłoni Polaczków do korzystania z transportu zbiorowego. Zwłaszcza pociągów, które co prawda z powodu upału nie mają klimatyzacji i nie dojeżdżają do stacji docelowych, ale które – według zapowiedzi kierownictwa PKP – w najbliższych latach będą odjeżdżały zgodnie z terminem. No i najważniejsza rzecz! Planeta płonie. Lepiej więc zostańcie w domu.

Nareszcie koniec oszczerstw i kłamliwej propagandy wymierzonej w lekarza altruistę Dawida Kacprzyka. Głos zabrał mecenas Jacek Dubois (dla przyjaciół Dybuła). To on postawił tamę kłamstwom. Np. temu, że nie jest możliwe, by pracować przez cały rok dzień w dzień przez 11 godzin. Jeśli ktoś twierdzi, że to niemożliwe, to niech potem nie narzeka, że nie stać go na benzynę po 6,83 zł. Mecenas Dubois – autorytet moralny, demokrata, przyjaciel innego słynnego mecenasa, czyli Romana – udowodnił, że młody lekarz, przyszły anestezjolog, słusznie wpisał tysiące godzin dyżurów. Posłużył się błyskotliwym argumentem, czyli przypomniał nam wszystkim nasze ukochane serialne o dyżurujących lekarzach. Pamiętacie „Nemocnice na kraji města"? Tam tak było, że lekarze spali w szpitalu. Serce się kraje, gdy myślimy o biednym Dawidzie, chwytającym resztki snu na twardej jak kamień kozetce. Obok czekającego na tomografię Tutanchamona i innych zmarłych pacjentów Szpitala Południowego.

Popieramy zatem wniosek redaktor Grochal Renaty o jak najszybszą beatyfikację Dawida Kacprzyka. Przekonał ją do tego mecenas Dubois (dla przyjaciół Dybuła). „On jako młody lekarz niepełniący jakiejkolwiek funkcji, chcąc się nauczyć, przychodził na ten SOR poza godzinami i spędzał tam praktycznie swoje życie. Był niezmiernie pracowitym człowiekiem" – opowiadał, wyciskając tymi słowami łzy z oczu słuchaczy. Głupia prawica myśli, że pomysł z beatyfikacją to jakiś żart. Nie, my to popieramy naprawdę. ***Dawid Kacprzyk*** – santo subito!

Ważna wypowiedź w tym temacie: „Gdyby ktokolwiek z decydentów wiedział o zarobkach Kacprzyka i o problemach w szpitalu, zareagowalibyśmy w imię odpowiedzialności za formację" – powiedział ceniony przez wszystkich ***Marcin Bobas-Kierwiński***. Czyli wszystko było w porządku. Czego się czepiacie, mali ludzie?

Jest sprawiedliwość na tym świecie. Ale nie ma jej dla wrogów sprawiedliwości (tak jak my ją rozumiemy). Przecięta została haniebna nagonka na posłankę z Ziemi Żywieckiej (d. Saybuscher Land) Pępek Małgośkę. Jej klub parlamentarny – czyli Koalicja Obywatelska – ogłosił dekret o heroiczności jej cnót, a także dekret o jej męczeństwie ze strony prawackich szczujni i hejterów. W sprawie Gośki Pępek nie ma jedynie dekretu o cudzie. Taki za to uzyskał Dawid Kacprzyk, bo jak wiadomo,

eprasa.pl 166cbf2463

posiadł on dar nieustającej bilokacji. „Posłanka Małgorzata Pępek nie poniesie konsekwencji w związku z rzekomym skorzystaniem przez nią ze świadczeń medycznych poza kolejką –zdecydowało kolegium Klubu Koalicji Obywatelskiej. Posłanka złożyła wyjaśnienia, które nie potwierdziły doniesień medialnych" – czytamy w adhortacji wygłoszonej przez Zbyszka Konwińskiego ze Słupska. To ten gość, z twarzy podobny do nikogo, który znany jest tylko z tego, że przegrał wybory z Robertem Biedroniem. A jeśli chodzi o Goskę Pępek – po to jest posłanką KO (a nie jakiegoś głupiego PiS), by dzięki temu nie musiała czekać w kolejkach. Bo przecież w 100 konkretach na 100 dni było o tym, że kolejki do lekarza zostaną zlikwidowane. No i w tym przypadku udało się to zrealizować. Widzicie jakieś wady?



Teraz bardzo zła wiadomość. Roman się wściekł. Donald chyba też, ale tego nie pokazał. Pisowskie krety zabetonowane w prokuraturze umorzyły śledztwo w sprawie dwóch wież. A jest to przecież matka wszystkich afer. Sam Jarosław Kaczyński jest w to uwikłany. Jak więc można było dopuścić do tego, że kaczystowski deep state sparaliżował machinę demokratycznej praworządności (tak jak my ją rozumiemy)? A jeszcze niedawno sam Kaczor zeznawał w tej sprawie przez dziewięć godzin. Dlaczego w ogóle wyszedł z prokuratury? I to na dodatek żywy! Te i inne pytania kierujemy do mecenasa Dybuły, bo przecież był przy tym wszystkim. Niepokoją doniesienia, że to bunt prokuratorów przeciw Polsce Uśmiechniętej. Tym bardziej wstrząsająca jest wiadomość, że naczelnym zdrajcą jest ***Darek Korneluk***. Człowiek, który tyle zawdzięcza przejęciu rewolucji 15 października łamane na 13 grudnia.



Rozliczenia zbrodni kaczystowskich jednak nie ustają. Zarzuty usłyszał Wielki Bu. PiS się po tym nie pozbiera. Tylko najpierw trzeba ludziom wytłumaczyć, kto to jest Wielki Bu i czym się różni od Jacka Murańskiego.



Wielki sukces klubu Centrum kierowanego przez charyzmatyczną przywódczynię Hering-Kluskę Paulinę (czy jakoś tak). Po raz pierwszy w dziejach tego prężnego ruchu politycznego został on odnotowany w sondażach przedwyborczych. Aż 0,1 proc. respondentów deklaruje chęć zagłosowania na to ugrupowanie. Gratulacje! Świetny początek. Spodziewamy się równie imponującego końca.



Jeśli chodzi o królowe naszych serc, to trzeba też przypomnieć ministrę Joaśkę Grendę-Jakoštamską. Tę od zdrowia, kolejek do lekarzy i cięcia wydatków na służbę zdrowia. Aż 18,5 proc. badanych jest przeciwnych jej dymisji – co pokazuje sondaż z końca czerwca. To skokowy wzrost w porównaniu z badaniem z kwietnia, gdy przeciwników dymisji było dużo, ale nieco mniej. Dokładnie 18 proc. Tylko 57,5 proc. chce odwołania pani minister. Nie należy przejmować się tymi głosami. Ankieterzy bowiem odnotowali, że jej dymisję najbardziej popierają osoby z wykształceniem zawodowym (72 proc.) i mieszkańcy miejscowości poniżej 20 tys. ludzi (68 proc). Więc kogo to obchodzi? Znacie w ogóle takich ludzi?

PiS niczego nie potrafi uszanować. Nie ma dla nich żadnych świętości. Nie potrafią nawet uszanować intymności dzieci i psów. Zwołali swój Parteitag w Kłodzku, miejscu dotkniętym przez powódź i pomoc rządu oraz aferę pedofilsko-zoofilską, której nie należy łączyć z polityką. Ani tym bardziej Koalicją Obywatelską. A o to przecież apelował Pan Premier Donald Franciszek Tusk.

Wzrusz! I to wielki. Odnalazł się Darek Szymczycha. Pamiętacie tego kocura, jak był ministrem w Kancelarii Olka Kwaśniewskiego? Niezapomniana postać, niezapomniana prezydentura (nie to, co ta ukradziona przez tego Nawrockiego z Gdańska). Darek miewa się dobrze. Nawet bardzo dobrze, bo ma fajną robotę. Zasiada w jakiejś polsko-ukraińskiej izbie gospodarczej i będzie odbudowywał Ukrainę. Bardzo fajna praca. Cicha, spokojna, umysłowa. Bardzo mu odpowiada. Dzięki tej pracy jest wiele możliwości. Bardzo wiele. Bo Ukraina – może tego nie wiecie – nie jest w Unii Europejskiej. I nie trzeba przedstawiać tych wszystkich durnych oświadczeń majątkowych, certyfikatów antykorupcyjnych i innych niepotrzebnych głupot. Bardzo fajne jest tam to, że nadal istnieje obrót gotówkowy. Super sprawa!

Tak w ogóle to Ukraina bardzo dużo nam zawdzięcza. Przecież daliśmy jej najlepszych ludzi, jakich mamy. No bo nie tylko Darek Szymczycha. Także ławek Nowak, który budował im drogi. Z wdzięczności za to jacyś ludzie nawet mu pieniądze podrzucili do jego kuchni. Był Leszek Balcerowicz, któremu wszyscy tyle zawdzięczamy. No i pan Balczun, który teraz jest ministrem od jakichś tam spraw w rządzie Pana Premiera Donalda Franciszka. To ten, co tak fajnie się czesze i ma stylową bródkę. Do twarzy mu z tymi ufarbowanymi na czarno włosami.

„Coraz mocniej czuć w powietrzu atmosferę podobną do tej z 2014 i 2015 r." – czytamy w tygodniku demokratycznym „Polityka". To wspaniale. Wszyscy pamiętamy ***Ewę Kopacz***, jej mądre słowa i godne reprezentowanie Polski w czasie wizyt międzynarodowych. Tęsknimy za nią! Ewo, wróć!

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk

eprasa.pl 166cbf2463

WIEŻA BAB

Powrót Trzeciej Drogi

W polskiej polityce nie ma byłych partnerów. Są tylko przyszli koalicjanci w oczekiwaniu na odpowiednio niekorzystny sondaż

Są takie związki, które kończą się z hukiem. Padają słowa o utracie zaufania, wyczerpanej formule, różnych wizjach przyszłości i potrzebie pójścia własną drogą. Jest konferencja prasowa zamiast terapii dla par, są poważne miny, deklaracje o dojrzałej decyzji i zapewnienia, że „pozostajemy w dobrych relacjach". A potem mija kilka miesięcy, przychodzą sondaże i nagle okazuje się, że jednak nic tak nie łączy ludzi jak wspólna obawa przed pięcioprocentowym progiem wyborczym.

Polityka coraz bardziej przypomina portal randkowy. Najpierw jest wielka miłość. Potem okres narzeczeństwa pod nazwą „koalicja". Następnie wspólne zdjęcia, wspólne hasła, wspólne konferencje i zapewnienia, że razem można więcej. A kiedy przychodzi pierwszy poważniejszy kryzys, okazuje się, że każde z partnerów potrzebuje jednak „przestrzeni do realizowania własnej tożsamości".

Właśnie tak wyglądało rozstanie PSL i Polski 2050. W czerwcu ub.r. usłyszeliśmy, że formuła Trzeciej Drogi się wyczerpała. Rozwód miał być początkiem nowego, lepszego życia. Ale to nie nadeszło. Kolejne sondaże zaczęły przypominać wyniki badań lekarskich, które odbiera się z coraz większym niepokojem. Pytanie nie brzmi już, czy jesteśmy pod czy nad progiem, tylko czy z przodu jeszcze jest jedynka, czy już zero.

I wtedy dzieje się polityczny cud. Wszystkie różnice programowe, ambicjonalne i personalne nagle przestają mieć fundamentalne znaczenie. To, co jeszcze kilka miesięcy wcześniej było nie do pogodzenia, dziś okazuje się jedynie drobnym nieporozumieniem wynikającym z nadmiaru emocji.

Nagle Władysław Kosiniak-Kamysz mówi, że „oczywiście" wspólna lista byłaby znów możliwa. Oczywiście. Jakby chodziło o naturalny bieg rzeczy, a nie o partnera, z którym dopiero co oficjalnie zakończyło się związek. Nagle wracają wspomnienia. „Pamiętam tylko te dobre chwile". To zdanie brzmi bardziej jak wywiad po latach z dawną miłością niż deklaracja lidera partii politycznej. Szymon Hołownia też nie mówi nie i wraca do starej śpiewki, że tylko Trzecia Droga zatrzyma PiS i pozwoli KO utrzymać władzę. Mam déjà vu.

Nie ma już mowy o wyczerpanej formule. W polityce formuła wyczerpuje się tylko do momentu publikacji kolejnego sondażu. Sondaż jest bowiem jedynym doradcą, którego politycy naprawdę słuchają. Program można poprawić. Deklaracje można zreinterpretować. Dawne wypowiedzi można uznać za wyrwane z kontekstu. Ale słupków nie da się zagadać. Słupek ma tę nieprzyjemną właściwość, że nie reaguje na konferencje prasowe i topnieje w oczach.

Próg wyborczy pełni zaś funkcję politycznego terapeuty małżeńskiego. To on przypomina skłóconym partnerom, że może nie są dla siebie stworzeni, ale osobno mogą nie przetrwać. Nagle okazuje się, że dawny koalicjant miał jednak wiele zalet. Był odpowiedzialny. Przewidywalny. Rozsądny. Oczywiście miał swoje wady, ale kto ich nie ma?

Wyobrażam sobie, że kiedyś powstanie poradnik dla liderów partyjnych. Pierwszy rozdział będzie nosił tytuł: „Jak ogłosić definitywny koniec współpracy". Drugi: „Jak po sześciu miesiącach wyjaśnić, że jednak wszystko się zmieniło". Trzeci zaś: „Jak przekonać wyborców, że dokładnie taki był plan od początku".

Bo w polskiej polityce nie ma byłych partnerów. Są tylko przyszli koalicjanci w oczekiwaniu na odpowiednio niekorzystny sondaż.

Nie jest zresztą wykluczone, że za rok usłyszymy kolejne zapewnienia o konieczności samodzielnego startu lub startu z innym partnerem, a może z wieloma partnerami. Potem znowu nastąpi rozstanie, następnie kolejne pojednanie, a wszystko będzie przedstawiane jako wyraz niezwykłej odpowiedzialności za państwo. Wyborcy mają uwierzyć, że nie chodzi o mandaty. Chodzi o Polskę. Zawsze chodzi o Polskę. Tylko dziwnym zbiegiem okoliczności Polska zaczyna najbardziej potrzebować jedności akurat wtedy, gdy ktoś znajduje się w politycznych tarapatach.

Dorota Łosiewicz

Konsekwencji nie będzie

Ronald Kieł siedział sam w gabinecie i był szalenie zajęty – wpisywał kolorowymi flamastrami do własnoręcznie narysowanej drabinki wyniki meczów trwającego właśnie mundialu. Analizę futbolowych zdarzeń przerwał mu wchodzący bez ceregieli minister spraw zagranicznych Radek Świrowski.

– Co wchodzisz bez pukania, Radek? – fuknął Kieł. – Jestem szalenie zajęty sprawami międzynarodowymi.



– Nie ściemniaj, Ronaldzie – odpowiedział z naturalną sobie arogancją Świrowski. – Na pewno wpisujesz wyniki meczów piłkarskich do tabeli, a tymczasem myszy harcują. Czy wiesz, że nasz klub parlamentarny uchwalił właśnie, że posłanka Brzuszek nie zostanie ukarana za wykonanie badań poza kolejnością?

– Wiem doskonale, bo sam im nakazałem takie głosowanie – odpowiedział ze spokojem Kieł.

– Ale to nam może zaszkodzić w sondażach! – wykrzyknął Świrowski.

– Spokojnie, nie zaszkodzi – odparł premier z chytrym uśmiechem. – Zleciłem na cito badanie sondażowe wśród naszych wyborców i wyniki wskazują, że posłanka Brzuszek postąpiła jak trzeba.

– Jak trzeba? – zapytał Świrowski.

– Jak trzeba się badać, to nie ma co czekać – stwierdził filozoficznie Kieł. – Nasi wyborcy jednoznacznie stoją murem za posłanką Brzuszek. Nie po to szła do sejmu, żeby teraz nie wykorzystać pozycji do osiągnięcia prywatnych korzyści. Każdy działacz naszej partii albo robi to samo, albo zrobiłby dokładnie tak samo, gdyby miał taką możliwość. Naszych ludzi też wkurzają kolejki w służbie zdrowia. Dlatego od teraz zupełnie oficjalnie wprowadzam program likwidacji kolejek dla naszego aktywu. Szpital Południowy w stolicy był jednostką pilotażową. Wprowadzimy – oczywiście po cichu – saloniki VIP w każdym szpitalu.

– Zazdroszczę ci twojego entuzjazmu, Ronaldzie – powiedział z nutą zazdrości Radek. – Ja jestem trochę obok tematu, bo z usług publicznej służby zdrowia nie korzystam od lat. Nie znoszę przebywania w jednym pomieszczeniu z motłochem...

Drzwi do gabinetu otworzyły się po raz kolejny i wpadł przez nie zziajany Roman Naszaszkapa, specjalista od brudnych interesów i internetowej farmy trolli.

– Skandal w prokuraturze! – zagrzmiał od wejścia. – Umorzono śledztwo w sprawie dwóch wież. To jest policzek wymierzony w moją twarz! To przecież ja jestem pełnomocnikiem Goldfingera w tej sprawie.

– Romek, to od samego początku śmierdziało maliznę – stwierdził Świrowski. – Fiona to nasz wspólny wróg, ale nawet ja widziałem, że to było lipne oskarżenie.

– Może i lipne, ale moi chłopcy z internetu mieli pretekst, żeby pisać, że Fiona jest oszustem. A teraz prokurator odbiera nam oręż do politycznej walki – zaperzył się Naszaszkapa. – Minister Barszczyk robi to przeciwko mnie. Żądam jego dymisji!

– A kto za Barszczyka? – zainteresował się Świrowski.

– Jak to kto? – zdziwił się Naszaszkapa. – Oczywiście, że ja.

– Uspokój się, Roman – powiedział Kieł. – Mam duże zastrzeżenia do Barszczyka, ale w tym przypadku to chyba nie jego wina. Był u mnie niedawno z kilkoma donosami na innych członków rządu i przy okazji powiedział, że obserwuje pełzający strajk prokuratorów.

– Za mordę ich! – Naszaszkapa pokazał gest łapania za gardło. – Ja bym ich wszystkich wziął do galopu, ihaaa!

– Nie tak prędko, bo ty jednak swoje za tymi końskimi uszami masz – uspokoił go premier. – Poza tym to jest delikatna sprawa, bo Barszczyk twierdzi, że nawet nasi najwierniejsi prokuratorzy nie chcą już iść na rympał.

– Jak to nie chcą? To jest przecież kwintesencja naszego wymiaru sprawiedliwości. Stosujemy prawo tak, jak je rozumiemy i wszystko robimy na rympał. – Naszaszkapa nie miał problemu ze zdefiniowaniem jak działa prawo w Tenkraju.

– No właśnie. I teraz rok przed wyborami prokuratorzy zaczęli się bać naszej przegranej w wyborach, czego konsekwencją będzie ich rozliczenie. Zaczął ich paraliżować strach – podsumował Kieł.

– No to co teraz będzie?! – spytał z lekkim przerażeniem Naszaszkapa.

– Nie martw się, Romek, mamy jeszcze rok – stwierdził Kieł. A po chwili puścił oko do Świrowskiego i dodał: – A jak zemdlejesz, to cię położymy w saloniku VIP w dowolnym szpitalu!

Kieł zarechotał, a po chwili dołączyli do niego pozostali. Ale gdyby ktoś stał z boku, szybko by się zorientował, że wyglądało to jak robienie dobrej miny do złej gry...

MuMa

Fot. Grafika wygenerowana przez AI/MuMIN

eprasa.pl 166cbf2463

Ostatnia deska ratunku



18 czerwca kubański parlament przegłosował największą reformę gospodarczą od czasu rewolucji Fidela Castro w 1959 r. Szeroko zakrojony pakiet 176 reform ma na celu sprywatyzowanie znacznej części gospodarki i otwarcie jej na zagraniczny kapitał. Wśród zmian znalazły się m.in. możliwość zakupu udziałów w przedsiębiorstwach państwowych, liberalizacja sektora bankowego oraz otwarcie infrastruktury telekomunikacyjnej dla zagranicznych inwestorów.

Zdaniem analityków skala zmian pokazuje desperację reżimu. Gospodarka Kuby skurczyła się od 2020 r. nawet o 15 proc. Recesja trwa już trzeci rok z rzędu. Do tego dochodzi wysoki – nieoficjalnie nawet trzycyfrowy – poziom inflacji. Gorzej jest tylko w pogrążonym w chaosie Haiti. Sytuacja znacznie pogorszyła się po tym, jak ustały dostawy ropy z Wenezueli. Doprowadziło to do gwałtownego pogłębienia kryzysu energetycznego oraz częstych, wielogodzinnych przerw w dostawach energii elektrycznej. W efekcie załamała się turystyka, która przed pandemią odpowiadała za ok. 10 proc. PKB.

Kubańscy przywódcy starają się przedstawić reformę jako kolejny krok na drodze socjalistycznej rewolucji. „Nie wyrzekamy się socjalizmu" – zapewnił prezydent Miguel Díaz-Canel. Premier Manuel Marrero oświadczył zaś, że władze Kuby uznały rynek za „instrument efektywnej alokacji zasobów". Wieloletni przywódca Partii Komunistycznej Raúl Castro poparł reformę i zaapelował o jej szybkie wdrożenie.

I choć kubańscy politycy prezentują zmiany jako sposób na obronę przed Stanami Zjednoczonymi, eksperci wychodzą z założenia, że Waszyngton odegra kluczową rolę w przyszłym rozwoju wyspy. W tej chwili Amerykanie uważają, że Kuba to państwo upadłe – tak powiedział zastępca sekretarza stanu USA Christopher Landau członkom Organizacji Państw Amerykańskich. Reżim w Hawanie po raz pierwszy od prawie siedmiu dekad nie ma znaczącego zagranicznego patrona, który byłby w stanie utrzymywać wyspę, tak jak robił niegdyś Związek Radziecki, a później Wenezuela. W tej sytuacji przegłosowane reformy są oznaką uległości wobec amerykańskiej presji, bo Waszyngton od lat naciskał na liberalizację kubańskiej gospodarki.

Na razie rozmowy między obydwoma krajami utknęły w miejscu. Jeśli Hawana nie porozumie się z USA, mogą pójść za tym sankcje, a nawet działania militarne, których Trump ciągle nie wyklucza.

Aleksandra Rybińska

Science fiction w służbie komunizmu

Jeszcze 40 lat temu fantastyka naukowa była uważana w Chinach za produkt kultury burżuazyjnej, niezgodny z komunistyczną ortodoksją. Państwo starało się ograniczać rozwój zarówno literatury, jak i kinematografii science fiction. Z czasem w obozie władzy zwyciężyło podejście pragmatyczne. Zaczęto inwestować w ten rodzaj twórczości pod warunkiem, że jej przekaz zostanie dostosowany do założeń ideologicznych systemu.

Symbolem transformacji stał się gigantyczny sukces „Wędrującej Ziemi" z 2019 r. – pierwszego filmu tego gatunku w historii ChRL. Od tamtego czasu przemysł sci-fi wygenerował zysk w wysokości 126 mld juanów (ok. 18 mld dol.). Poza filmami dochodowe w tym segmencie są gry wideo, książki, a nawet turystyka bazująca na fantastyczno-naukowych parkach rozrywki i atrakcjach immersyjnych.

W 2020 r. Pekin włączył science fiction do państwowej strategii promocji kultury, a Chińska Akademia Technologii Kosmicznych nawiązała współpracę z Narodową Administracją Filmową w celu wspierania scenarzystów i reżyserów przez naukowców i inżynierów. Rezultaty są widoczne na ekranie. W superprodukcji „Wędrująca Ziemia 2" z 2023 r. pokazana jest stacja kosmiczna Ark, nawiązująca do stacji Tiangong, umieszczonej na orbicie okołoziemskiej w 2021 r. Z kolei chiński teleskop kosmiczny CSST został przedstawiony jako konkurent teleskopu Hubble'a.

Efektem zmiany paradygmatu w kulturze masowej jest coraz większa liczba filmów sci-fi, w których dzielni Chińczycy ratują ludzkość przed nieuchronną zagładą. Temu zadaniu nie potrafią sprostać Amerykanie – egoistyczni, pewni siebie i niechętni do międzynarodowej współpracy, a zarazem zacofani technologicznie. To wyraźna aluzja do chińskiego programu księżycowego ILRS, do którego Pekin włączył także Rosję i RPA w odpowiedzi na amerykańską inicjatywę Artemis. Chińskie produkcje fantastyczno-naukowe (zgodnie z wytycznymi XVII Zjazdu Komunistycznej Partii Chin z 2007 r.) idealnie wpisują się więc w geopolityczną strategię Państwa Środka.

Grzegorz Górny



eprasa.pl 166cbf2463



Serbia

Prezydent rezygnuje, ale nie do końca

Prezydent Serbii Aleksandar Vučić zapowiedział rezygnację z urzędu i przedterminowe wybory. „Będę prezydentem jeszcze tylko przez kilka tygodni, a potem zrezygnuję" – powiedział na wiecu, który odbył się przed tygodniem w Belgradzie. Nie oznacza to jednak odejścia z życia publicznego „mocnego człowieka Serbii".

Vučić nie podał daty rezygnacji ani rozwiązania parlamentu, co zostało uznane przez liderów trwających już półtora roku protestów za manewr taktyczny. Prezydent podkreślił, że zamierza wspierać rządzącą Serbską Partię Postępową (SNS), a w nadchodzącej kampanii lista tej partii zostanie rozszerzona o inne ugrupowania i zostanie przemianowana na Zjednoczoną Serbię. Zdaniem liderów opozycji decyzja Vučića wynika z tego, że w maju przyszłego roku i tak upływała jego druga kadencja, a w świetle obowiązującej konstytucji nie miałby on prawa ubiegać się o trzecią. Wzorem Rumena Radewa, obecnego premiera Bułgarii, a wcześniej prezydenta, Vučić chce stanąć na czele bloku popierających go partii, co może mu otworzyć drogę do funkcji szefa rządu. Ten 56-letni polityk namaściłby wtedy któregoś ze swoich współpracowników do startu w wyborach prezydenckich, które byłoby łatwo wygrać, zwłaszcza że opozycja jest nieprzygotowana do przyspieszonego scenariusza wyborczego. Vučić, który do polityki wszedł jeszcze za czasów Miloševicia, w latach 2014–2017 był już premierem, co nie wyklucza, że również teraz chce powtórzyć ten manewr.

Tłem rezygnacji Vučića są wielomiesięczne protesty na ulicach serbskich miast. Doszło do nich po tym, jak w miejscowości Nowy Sad zawaliła się wiata na dworcu autobusowym, budowana przez chińskiego wykonawcę. W wyniku katastrofy śmierć poniosło 16 osób. Uczestnicy demonstracji bezskutecznie domagają się rozliczenia winnych tragedii i zarzucają władzom korupcję przy zawieraniu kontraktów budowlanych.

Protestujący zapowiedzieli już stworzenie własnej listy w wyborach parlamentarnych. Serbski prezydent, który w przeszłości już czterokrotnie rozpisywał przedterminowe wybory, wydaje się jednak lepiej przygotowany do tego starcia niż opozycja.

Marek Budzisz

Rodzice muszą zapłacić

Brytyjski urząd zajmujący się ochroną konkurencji wszczął dochodzenie przeciwko irlandzkiej linii lotniczej Ryanair. Ma ono ustalić, czy dodatkowe opłaty pobierane przez przewoźnika od rodziców podróżujących z dziećmi są zgodne z prawem.

Rodziny coraz częściej są źródłem łatwego łupu. Ktoś, kto ma dzieci i chce wybrać się z nimi na wakacje, nie może oszczędzać na ich bezpieczeństwie czy komforcie. Wiele firm, m.in. hoteli i przewoźników, bezlitośnie to wykorzystuje i żąda dopłat ekstra do swoich usług.

Na celowniku brytyjskich władz znalazła się ostatnio irlandzka linia niskokosztowa Ryanair. Zgodnie z regulaminem przewoźnika dzieci poniżej 12. roku życia muszą siedzieć obok rodzica. Musi on jednak zapłacić za rezerwację takiego miejsca, zazwyczaj ok. 11 dol. za lot. Zdaniem brytyjskiego urzędu takie reguły mogą być nieuczciwe dla klientów. Z jednej strony wymaga się bowiem od nich, aby siedzieli obok swojego dziecka, a z drugiej każe im się za to dodatkowo płacić. Urząd zwraca też uwagę, że Ryanair jest jedynym dużym przewoźnikiem działającym w Wielkiej Brytanii, który pobiera takie opłaty. Co więcej, Ryanair przegrał w zeszłym roku spór w bardzo podobnej sprawie, który toczył z włoskim rządem.

Zgodnie z polityką cenową irlandzkiej firmy klient płaci za samą usługę przelotu, a niemal za wszystko inne – w tym bagaż przekraczający ustalone wymiary, miejsce czy catering – jest obciążany dodatkowo. W efekcie Ryanair może się reklamować jako linia lotnicza, która ma tańsze bilety niż konkurencja, oczywiście pod warunkiem, że pasażerowie lecą z drobnym bagażem, nie interesują ich żadne inne usługi poza samym lotem oraz że nie przeszkadza im lądowanie na odległych lotniskach, które są tańsze od tych położonych bliżej dużych miast. Swego czasu szef Ryanaira Michael O'Leary próbował nawet wprowadzić opłaty za korzystanie z toalety na pokładach samolotów. Mówiło się również o możliwości latania na stojąco. Na takie rozwiązania nie zgodziły się jednak międzynarodowe instytucje lotnicze.

Ryanair broni się, twierdząc, że każdy dorosły pasażer, który chce zarezerwować siedzenie, musi zapłacić za miejscówkę – bez względu na to, czy podróżuje z dziećmi, czy bez. Dodaje też, że po wykupieniu miejsca dla siebie rodzic może bezpłatnie zarezerwować cztery fotele dla swoich dzieci. Nie zmienia to jednak tego, że według brytyjskich władz dochodzi tu do dyskryminacji rodziców, którym nie pozostawiono wyboru, bo w odróżnieniu od innych muszą zapłacić za swoje miejsce.

Niezależnie od tego, jak skończy się ten spór, jedno jest pewne – w trakcie kryzysu demograficznego tego rodzaju praktyki są bardzo krótkowzroczną strategią.

Konrad Kołodziejski

Wielka Brytania



eprasa.pl 166cbf2463

Upały. Brukselska sauna na krawędzi blackoutu

„Cudowne", niestabilne OZE – te same, które Bruksela i nasi domorośli zieloni prorocy wciskają nam jako zbawienie cywilizacji – nagle okazują się kapryśne jak europarlament w dniu głosowania nad kolejną dyrektywą. W takich chwilach to stare dobre konwencjonalne elektrownie muszą ratować sytuację, stabilizując sieć. Bo fotowoltaika pięknie produkuje w południe, ale wieczorem, gdy wszyscy włączają wentylatory, słońce zachodzi i robi się mroczno jak w Brukseli po publikacji raportu o kosztach Green Dealu – jest problem.

Pamiętacie hiszpańsko-portugalski armagedon z 28 kwietnia 2025 r.? Ponad 50 mln ludzi w ciemnościach przez wiele godzin. Metro sparaliżowane, szpitale na generatorach, siedem ofiar śmiertelnych w Hiszpanii i jedna w Portugalii. Przyczyna? Kaskadowe wahania napięcia, problemy z mocą bierną i brak inercji w systemie naszpikowanym OZE. Słońce prażyło, panele pracowały, ale gdy przyszło do stabilizacji – klasyczny efekt „zielonej utopii". Eksperci ENTSO-E mówili wprost – winne były oscylacje, szybkie spadki generacji, brak tradycyjnych wirujących mas. To nie był pech. To był przedsmak tego, co nas czeka, jeśli nadal będziemy udawać, że fizyka posłucha i wykona obietnice Tuska.

A Bruksela? Ci genialni architekci „zrównoważonej przyszłości" klepią się po plecach, świętują sukcesy i wciskają nam kolejne cele OZE, jakby realny świat był posłuszny unijnym regulacjom. W czasie letniego upału popyt w Europie skacze o kilkanaście procent, a za nim ceny energii szybują w górę nawet powyżej 100 proc. w porównaniu do normalnych dni. Dlaczego? OZE produkuje rekordowo w słoneczne godziny, ale system potrzebuje natychmiastowego wsparcia z konwencjonalnych bloków. Ironia losu – „ratujemy planetę" OZE, a w praktyce ratujemy się starym, sprawdzonym węglem i gazem, których unijni ideolodzy chcieliby zakazać.



Gdy termometry w Polsce pokazują rekordowe 40,5 st. Celsjusza, polski system energetyczny dostaje solidny, gorący prysznic. Klimatyzatory szumią wszędzie, lodówki pracują na pełnych obrotach, pralki również. Zużycie prądu bije rekordy. I co wtedy?

Obecne władze w Warszawie, tańcząc posłusznie do brukselskiej muzyki, przyspieszają transformację z zapałem neofity. Rekordowe moce fotowoltaiczne? Proszę bardzo. Ale gdy przychodzą upał i bezwietrzna pogoda – błagamy konwencjonalne źródła o pomoc. I tu wchodzi rynek mocy. Lewica i „zieloni" krzyczą: „To dotacje dla węgla!". Cóż za tania demagogia. Rynek mocy to nie hojność dla kopalń, lecz zwykła konieczność – koszt utrzymania rezerw na kaprysy OZE. Gdyby nie forsowanie niestabilnych źródeł z unijnymi subsydiami, konwencjonalne bloki pracowałyby normalnie bez dodatkowych mechanizmów. Koszt? Ok. 200 mld zł do 2046 r. To nie jest „wsparcie węgla" – to cena za brukselski eksperyment społeczno-inżynieryjny, który płacimy w rachunkach.

Sarkazm pisze się sam – wizjonerzy z Brukseli obiecywali tańszą, czystą energię dla wszystkich. Dostaliśmy wyższe rachunki, większą niestabilność i lekcję, że fizyka nie czyta unijnych dyrektyw. W Polsce z obecnym rządem powtarzamy te same błędy z entuzjazmem – zamiast budować zrównoważony miks z naciskiem na suwerenność i bezpieczeństwo, gonimy za unijnymi procentami OZE. Efekt? W upale system balansuje na krawędzi, a obywatele zaciskają zęby.

Mimo to nie traćmy optymizmu. Polska ma zasoby, ma węgiel jako bufor, ma potencjał jądrowy i rozwija OZE tam, gdzie naprawdę mają sens. Wystarczy odłożyć ideologię na bok, postawić na rozsądek i suwerenność energetyczną. Wtedy nawet w największym skwarze prąd popłynie stabilnie, a Polacy zamiast przeklinać rachunki, będą mogli spokojnie włączyć wiatrak i uśmiechnąć się ironicznie na myśl o brukselskich „geniuszach". Bo energia to nie jest kwestia wiary w zieloną utopię – to kwestia zdrowego rozsądku i faktów. Najwyższy czas, by zwyciężyły.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 166cbf2463

Strategiczne AI



Marta Kaczyńska-Zielińska

Sztuczna inteligencja staje się jedną z najbardziej przełomowych technologii w historii współczesnej cywilizacji. Jej wpływ wykracza daleko poza sektor informatyczny i obejmuje praktycznie wszystkie obszary funkcjonowania państw, gospodarek oraz społeczeństw. W przeciwieństwie do wcześniejszych przełomów technologicznych, takich jak internet czy telefonia mobilna, AI nie stanowi kolejnego narzędzia cyfrowego, lecz technologię ogólnego zastosowania, która będzie oddziaływać na każdą branżę, organizację i proces gospodarczy.

W rozmowie przeprowadzonej przez Tomasza Kaweckiego James Huang, przewodniczący TAITRA i były minister spraw zagranicznych Tajwanu, podkreśla, że świat znajduje się obecnie na początku nowej fazy rozwoju AI. Po okresie popularyzacji dużych modeli językowych rozpoczyna się era inteligentnych agentów, zdolnych do samodzielnego wykonywania złożonych zadań, a w dalszej perspektywie rozwoju robotów wyposażonych w sztuczną inteligencję. Oznacza to, że konkurencja technologiczna będzie obejmowała nie tylko rozwój oprogramowania, lecz także robotykę, automatykę, centra danych, energetykę oraz produkcję zaawansowanych półprzewodników. Rozwój AI będzie wymagał bezprecedensowych inwestycji infrastrukturalnych. O sukcesie państw nie będzie decydowała wyłącznie zdolność do tworzenia modeli sztucznej inteligencji, lecz także dostęp do energii, nowoczesnych sieci teleinformatycznych, wydajnych centrów danych oraz własnych kompetencji w zakresie projektowania i produkcji układów scalonych.

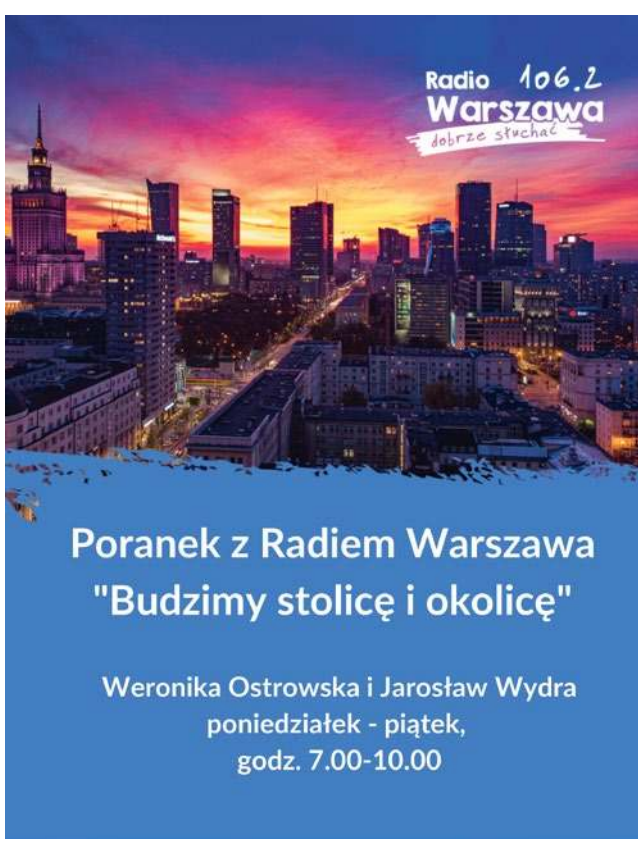
James Huang zwraca uwagę na strategiczną rolę Tajwanu, który odpowiada za zdecydowaną większość produkcji najbardziej zaawansowanych półprzewodników wykorzystywanych w systemach sztucznej inteligencji. Sukces tego kraju nie był efektem pojedynczych decyzji, lecz konsekwentnie realizowanej przez kilkadziesiąt lat polityki państwa, obejmującej inwestycje w edukację techniczną, badania naukowe, przemysł wysokich technologii oraz współpracę nauki z biznesem.

Z perspektywy Polski przedstawione w wywiadzie wnioski mają szczególne znaczenie. Polska dysponuje wysoko wykwalifikowanymi specjalistami, rozwiniętym zapleczem akademickim oraz korzystnym położeniem geograficznym, nie odgrywa jednak roli lidera technologicznego. Podczas gdy największe gospodarki świata traktują AI, superkomputery i półprzewodniki jako fundament przyszłego rozwoju gospodarczego oraz bezpieczeństwa państwa, polska nauka zmaga się z problemem niedostatecznego finansowania. Środowisko akademickie wielokrotnie zwracało uwagę, że poziom nakładów na badania naukowe pozostaje wyraźnie niższy niż średnia państw OECD i UE, co ogranicza możliwości prowadzenia badań na światowym poziomie oraz utrudnia konkurowanie o najlepszych naukowców. W rezultacie Polska kształci wysoko wykwalifikowanych specjalistów, którzy często rozwijają swoje kariery poza krajem lub poza sektorem nauki. Oznacza to, że państwo ponosi koszty edukacji ekspertów, nie wykorzystując w pełni ich potencjału do budowy własnego ekosystemu innowacji.

Wydatki na badania i rozwój powinny być traktowane jako strategiczna inwestycja w bezpieczeństwo, konkurencyjność i wzrost gospodarczy. Polska powinna mieć ambicje, by tworzyć własne technologie, przedsiębiorstwa i rozwiązania o międzynarodowym znaczeniu. Ważne jest aktywne uczestnictwo Polski w światowych łańcuchach wartości związanych z AI. Szczególną szansę stanowi rozwijanie współpracy z Tajwanem, który dysponuje unikatowymi kompetencjami w zakresie zaawansowanych technologii.

Sztuczna inteligencja nie jest wyłącznie innowacją technologiczną, lecz fundamentem nowego modelu rozwoju gospodarczego i geopolitycznego. Państwa, które odpowiednio wcześnie zbudują kompetencje w zakresie AI, infrastruktury cyfrowej, energetyki oraz nowoczesnego przemysłu, uzyskają trwałą przewagę konkurencyjną. Rozwój sztucznej inteligencji powinien być oparty na zasadach odpowiedzialności społecznej, ochrony bezpieczeństwa państwa oraz wzmacniania kapitału ludzkiego, tak aby korzyści wynikające z transformacji technologicznej służyły zarówno rozwojowi gospodarczemu, jak i poprawie jakości życia obywateli.

REKLAMA



20/0626/F

eprasa.pl 166cbf2463





Walizka Michała Depty

podróżnika, przedsiębiorcy, założyciela Prawdziwego Kakao

Podróżuję, odkąd wymarzyłem sobie wyjazd do Meksyku. Było to tuż po maturze. Wtedy, nie czekając na wyniki egzaminów, postanowiłem ruszyć autostopem w Europę, mając w kieszeni zaledwie 80 zł. Zew serca był tak mocny, że otoczenie nie było w stanie wybić mi z głowy tego „szaleńczego pomysłu". Jeżdżąc autostopem oraz na gapę pociągami, jak mój ulubiony Jack London, nauczyłem się, jak przeżyć w drodze bez pieniędzy. Wykorzystywałem tę umiejętność przez kolejne dziewięć lat podróżowania dookoła świata. W tym czasie miałem nieodparte wrażenie, że jestem prowadzony przez Boga i pozostaję pod jego opieką. W 2010 r. na Dominice natrafiłem na niesamowite pożywienie: napój z ziaren kakaowca zbieranych prosto z drzewa. Zakochałem się w takim kakao. Wszędzie, gdzie jeździłem, szukałem tego napoju. Podróżując przez Azję, doszedłem do wniosku, że nigdzie nie da się go kupić ani nie można się go napić. Zafascynowany tym zjawiskiem, kierowałem się dalej, do strefy równikowej, aż trafiłem na Papuę Nową Gwineę, gdzie rosło mnóstwo kakaowców – ich ziarna były produktem eksportowym numer dwa. Zawsze brałem więc ziarna kakaowe i pokazywałem mieszkańcom, jak zrobić z nich napój. Paradoksalnie był on kompletnie nieznany, mimo że ludzie wiedzieli dużo na temat uprawy tej rośliny. Picie takiego kakao stało się wręcz rewolucyjnym pomysłem, zwłaszcza że tamtejsza ludność żywi się produktami lokalnymi, a w ich diecie znajduje się mało eksportowych artykułów spożywczych z Malezji (jest wśród nich bardzo ubogi w kakao proszek przemysłowy). Przez następne 16 lat stałem się wielkim miłośnikiem i popularyzatorem tego zdrowego napoju na świecie i w Polsce. Założyłem Manufakturę Prawdziwego Kakao, a następnie Pijalnię Prawdziwego Kakao w Krakowie.



Fot. Konstancja Depta, prywatne archiwum Michała Depty, Shutterstock

MACZETA

Możesz nią otworzyć kokosa zerwanego z palmy albo puszkę. W tropikach nawet dzieci szwendają się z tępymi maczetami, ponieważ jest to podstawowe narzędzie pracy rolnej.



eprasa.pl 166cbf2463





BRANSOLETKA

Zabieram ze sobą przybory do robienia artesani. Tej techniki zaplatania koralików nauczyły mnie kolumbijskie dzieci z plemienia Choco. Robienie artesaniów sprawiło, że przestałem być postrzegany przez lokalsów jako turysta (gringo), a zaczęto mnie uważać za artystę – loco!



KAŁAMARNICA

Prezent od mieszkańców Wysp Salomona na południowym Pacyfiku za to, że pokazałem im sztukę przygotowywania kakao, której nauczyłem się na Karaibach na rajskiej wysepce Dominice. Ta wiedza umożliwiła rdzennym mieszkańcom picie napoju z nasion owoców drzew, które uprawiają w swoich ogródkach na eksport.



OWOCE I SZTABKA KAKAO

Najchętniej jeżdżę w tropikalne miejsca, ponieważ w strefie równikowej rośnie kakaowiec. To roślina, która zmieniła moje życie. Tym zajmuję się do dziś.



HAMAK Z MOSKITIERĄ

Zakupiony na targu warzywnym w Siem Reap. Po tym, jak trzykrotnie napadnięto mnie w namiocie, śpię w hamaku. W namiocie jest się widocznym z daleka, ale samemu nie widzi się nic, za to w hamaku ma się możliwość obserwacji otoczenia i rozgwieżdżonego nieba!



MATERIAŁ Z DREWNA

Dostałem go na Wyspach Salomona – jest to jedyny w swym rodzaju materiał wykonany z kory drzewa. Można się nim owinąć jak prześcieradłem, może zastąpić ręcznik, nakrycie głowy, spodnie.



TORBA BILUM

Papuasi noszą w tej plecionej torbie wszystko: arbuzy, drewno na opał, dzieci. Nie zakładają jej przez ramię, lecz zaczepiają o czoło.



KAMIZELKA SADHU

Jest to kamizelka guru Mahanta Mangala Giri Naga Baby, hinduskiego ascety z Himalajów, którego uczniem zostałem w Aranasi w 2007 r. Tam po raz pierwszy odnalazłem żywego Boga w kulturze innej niż nasza. W 2008 r. pojechałem odszukać swojego guru autostopem z Londynu do Kedarnath w Himalajach.



LIMONKA

Woda z sokiem z limonki, napar z liści, kakao z liśćmi – pyszne. Tip: ma dezynfekujące właściwości, co w tropikach, gdzie każde otarcie się o nieznany krzak może skutkować ogromną ropiejącą infekcją, jest niezwykle pomocne.



ROWER

Nie mieści się w plecaku, ale można go wysłać jak plecak autobusem albo samolotem. Na większość swoich przygód zarobiłem, pracując jako kurier rowerowy w Londynie. Mieszkałem wtedy w squotach, by każdy grosz zaoszczędzić na podróże. Rower to genialny środek transportu.



BĘBEN I KIJ FIRE

Wszędzie, dokąd jadę, biorę ten zestaw: djembe oraz kij ogniowy do robienia fireshow. Lubię kręcić ogniem, bo jest to wspaniałe ćwiczenie i forma tańca. Nauczyłem się tej sztuki, gdy pracowałem w Tajlandii. Bęben jednoczy ludzi kochających muzykę.



MASKA SNORKELINGOWA

Zdobyłem ją, pracując na farmie bananów w Australii. Nigdy nie zapomnę pływania z prądami oceanicznymi po rafie koralowej, polując z Papuasami za pomocą harpuna.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

eprasa.pl 166cbf2463

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Po czterech rozbiorach, po wiekach wyzysku...



Jan ***Pietrzak***

Prezydent Karol Nawrocki odwiedził Radom, by spotkać się z mieszkańcami w 50. rocznicę robotniczego buntu. Polską rządzili wtedy Gierek i Jaroszewicz. Rządzili, jak umieli, a po prawdzie – nie umieli. Wykonywali polecenia Kremla. Ale na początku kadencji pozwolono im wziąć z Zachodu trochę kredytów, by rozruszać gospodarkę po gomułkowej stagnacji. Brać było miło i przyjemnie, nadszedł jednak termin spłaty i nikt z „Kumitetu Cyntralnego" nie miał pojęcia, skąd wydobyć taką kasę. Jedyny pomysł, jaki się pojawił, to podniesienie cen na żywność. Jak wymyślili, tak zrobili... i to jest oczywisty, impulsywny powód buntu Radomia, Ursusa i wielu innych miejscowości w 1976 r. Bo fabryki działały, ale dochodów nie było. Polska gospodarka pracowała na potrzeby Związku Radzieckiego. Wystarczył prosty mechanizm rubla transferowego, by miesięczna pensja osiągała poziom 20 lub 30 dol. Polacy pracowali w PRL na ruskie bomby atomowe, awantury militarne w rodzaju bezsensownej wojny w Afganistanie, na kawior dla Kremla! Gierek nie miał z czego zwracać niewielkiego w sumie długu zaciągniętego na Zachodzie.

Robotniczy bunt miał jednak wielorakie konsekwencje. Dyktatura proletariatu nie toleruje buntu proletariatu! Powstał Komitet Obrony Robotników, powstał ROPCiO! Bo walka klasowa bez niepodległości nie ma większego sensu! Na tej fali powstała pieśń „Żeby Polska była Polską" z muzyką Włodzimierza Korcza. Przeżyłem z tą pieśnią chwile niezwykłych uniesień. Kiedy w 1980 r. rozkwitła Solidarność, utwór stał się jej spontanicznym hymnem. Dzięki prezydentowi Reaganowi cały świat dowiedział się o tej pieśni. Show Reagana „Let Poland be Poland" obejrzało 200 mln ludzi na świecie. Żadna polska pieśń nie miała takiej widowni. Królowa brytyjska, odwiedzając Polskę jedyny raz w historii, zacytowała w Sejmie te słowa po polsku!

Obecnie są to słowa absolutnie zakazane! Nie usłyszycie ich w żadnej telewizji, w żadnym radiu. Ustrój nazwany przez premiera „demokracją walczącą" walczy głównie z polskością! We wszystkich możliwych aspektach. Na polu kultury, edukacji, gospodarki, rolnictwa, energetyki. Długo można wymieniać.

Po przystąpieniu Polski do UE nasiliła się nagonka na środowiska patriotyczne. Podsycana jest postawa zwaną ojkofobią. Wyszło na to, że motorem dziejów jest nie walka klas, lecz agresja imperialistycznych potworów, niepotrafiących istnieć bez wyzysku, okradania sąsiednich narodów. Nam się trafiło tak podłe, agresywne sąsiedztwo z dwóch stron, że nie mamy chwili wytchnienia. Po trzech wiekach wynaradawiania, po czterech morderczych rozbiorach, Polacy jeszcze żyją. Okupanci postanowili, zamiast z nami walczyć, powstrzymać rozmnażanie. Zniszczyć gospodarkę. Wprowadzić nędzę! Skasować porodówki. Kobietom wmówić, że rodzenie dzieci psuje im figury. Zdewastować szpitale! Dziś jesteśmy w takiej fazie naszego losu. Bez walki Polska nie przetrwa!

Afery coraz mniej „uśmiechnięte", a zegar tyka...



Samuel ***Pereira***

Pamiętacie, jak wielkie było oburzenie za rządów PiS, gdy ministrowie otrzymali łącznie 2,5 mln zł premii? Najgłośniej wyli ci sami politycy, którzy każdy milion zabrany z publicznej kasy uznają za w pełni im należny. Dziś ich afery są faktycznie pomijane, a już na pewno nie są traktowane równie poważnie co te „pisowskie". Dlaczego? Ano tak wygląda świat podwójnych standardów. Do tego dochodzą pycha, hipokryzja, pazerność i poczucie bezkarności. To ostatnie bardzo złudne, o czym ekipie rządzącej przyjdzie się przekonać już w 2027 r.

Wezwania do dymisji każdego dnia, konferencje prasowe, żółte paski i wielkie nagłówki. To była rzeczywistość lat 2016–2023, która doprowadziła do zmiany władzy. Ówczesnej opozycji udało się sprawić wrażenie, że świat polityczny jest przesiąknięty aferami. Był to świat nieprawdziwy, ale intensywnie wciskany obywatelom i polany emocjami. Tyle że te emocje u wyborców koalicji 13 grudnia nie uleciały zupełnie, a wspomnienia tego, jak pięknie o standardach i wartościach mówili ci, którzy dziś rządzą, nie zniknęło. To były szczyty oburzenia i wzmożenia, które dawały politykom będącym obecnie u władzy aurę „lepszych" i bardziej „moralnych". Dla wielu osób, w tym dla mnie, to oczywiście fikcja, ale nie zmienia to faktu, że duża część głosujących została przekonana, a występy w białych koszulach zachęciły ich do oddania swojego głosu właśnie na „nową jakość". Do tego doszła oczywiście amnezja niektórych obywateli w średnim i starszym wieku oraz brak doświadczenia pierwszych rządów Donalda Tuska najmłodszych wyborców. Ale dziś ci, którzy 15 października 2023 r. poparli ugrupowanie Tuska i jego koalicjantów, dokonują weryfikacji. Trwa bardzo niewygodny dla władzy proces – powolne zderzenie oczekiwań z rzeczywistością. Ta część wyborców, która uwierzyła w obietnicę „nowej jakości", coraz częściej konfrontuje ją nie z hasłami kampanijnymi, lecz z efektami codziennego rządzenia. Im dłużej trwa ten proces, tym trudniej utrzymać propagandę o moralnej wyższości i skuteczności.

eprasa.pl 166cbf2463

Jak Niemcy chronią swoje interesy w KE



Przez osiem miesięcy czekałem na odpowiedź Komisji Europejskiej na bardzo proste pytanie. Zapytałem, dlaczego w swoich publikacjach i materiałach dotyczących II wojny światowej konsekwentnie unika jasnego wskazania, że za jej wywołanie odpowiadało państwo niemieckie. Czy naprawdę tak trudno napisać prawdę historyczną?

Gdy otrzymałem odpowiedź, okazało się, że jest skandaliczna. KE po raz kolejny mówi jedynie o „reżimie nazistowskim" i „innych reżimach totalitarnych", ale ani razu nie potrafi napisać wprost, że to Niemcy rozpętały II wojnę światową i ponoszą odpowiedzialność za tragedię milionów ludzi oraz ogromne zniszczenia, których ofiarą padła również Polska.

To nie jest przypadek. Takie unikanie oczywistych faktów historycznych rodzi poważne pytania o politykę pamięci prowadzoną przez instytucje UE. Coraz trudniej oprzeć się wrażeniu, że w KE obowiązuje nieformalna zasada, zgodnie z którą nie należy wprost pisać, że za wywołanie II wojny światowej odpowiadało państwo niemieckie. Trudno znaleźć inne racjonalne wyjaśnienie, dlaczego urzędnicy z taką konsekwencją zastępują sprawcę bezosobowym określeniem „reżim nazistowski".

Trzeba też pamiętać, że KE już drugą kadencję przewodzi Niemka Ursula von der Leyen. Nie jest przypadkiem, że Niemcy zabiegają o najważniejsze stanowiska w Brukseli. Służą one nie tylko zarządzaniu Unią, lecz także skuteczniejszej ochronie własnych interesów politycznych. Trudno się więc dziwić, że urzędnicy KE od lat unikają tematów, które mogłyby osłabić niemiecką narrację historyczną. W praktyce chodzi o ochronę dobrego wizerunku Niemiec i wzmacnianie ich soft power – wpływu budowanego nie tylko siłą gospodarczą i polityczną, lecz także poprzez kształtowanie europejskiej pamięci historycznej. Donald Tusk również zajmował jedno z najważniejszych stanowisk w UE, jednak Polska nie odniosła z tego wymiernych korzyści. Trudno oprzeć się wrażeniu, że priorytety jego polityki częściej pokrywały się z oczekiwaniami głównych państw UE niż z polskim interesem narodowym.

Pamięć historyczna nie może polegać na rozmywaniu odpowiedzialności. Europa została zbudowana na fundamencie prawdy o II wojnie światowej, a nie politycznych eufemizmach. Nawet jeśli KE nie ma odwagi nazwać sprawcy po imieniu, tym większy obowiązek spoczywa na nas, by konsekwentnie przypominać fakty. Historia nie potrzebuje politycznej poprawności. Historia wymaga prawdy.

Arkadiusz Mularczyk



„Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem. Kto we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie." (J 11,25)

Z głębokim żalem
przyjąłem wiadomość o śmierci

HANNY WĄSIK

Mamy Macieja Wąsika,
Posła do Parlamentu Europejskiego

Składam najszczersze wyrazy współczucia.

Zbigniew Ziobro
Poseł na Sejm RP

02/0726/F



Z głębokim smutkiem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci

ŚP.
HANNY WĄSIK
Patriotki, Sybiraczki,
wiernej Polsce do końca swoich dni.

Panu Posłowi
Maciejowi Wąsikowi
oraz Rodzinie składamy wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu.

Adam Bielan
w imieniu Delegacji Prawa i Sprawiedliwości
w Parlamencie Europejskim

01/0726/F

eprasa.pl 166cbf2463

TRENDY I OWĘDY

Komuna im. III RP

Ostatnio się mówi, że komunizm wrócił. Po prawdzie w III RP zawsze miał się znakomicie. Z tym że ostatnio jakby okrzepł, umocnił się. Gość od moskiewskiej pożyczki awansował na mentora, chętnie cytowanego przez media uchodzące za prawicowe. Prominentny aparatczyk, który był tutaj prezydentem przez dwie kadencje, i jego małżonka są traktowani jak para królewska oraz wzór cnót wszelkich. A marszałkiem Sejmu został przedstawiciel Ordynackiej i robi za nadprezydenta. A co się dzieje w tzw. biznesie?



Ryszard Makowski

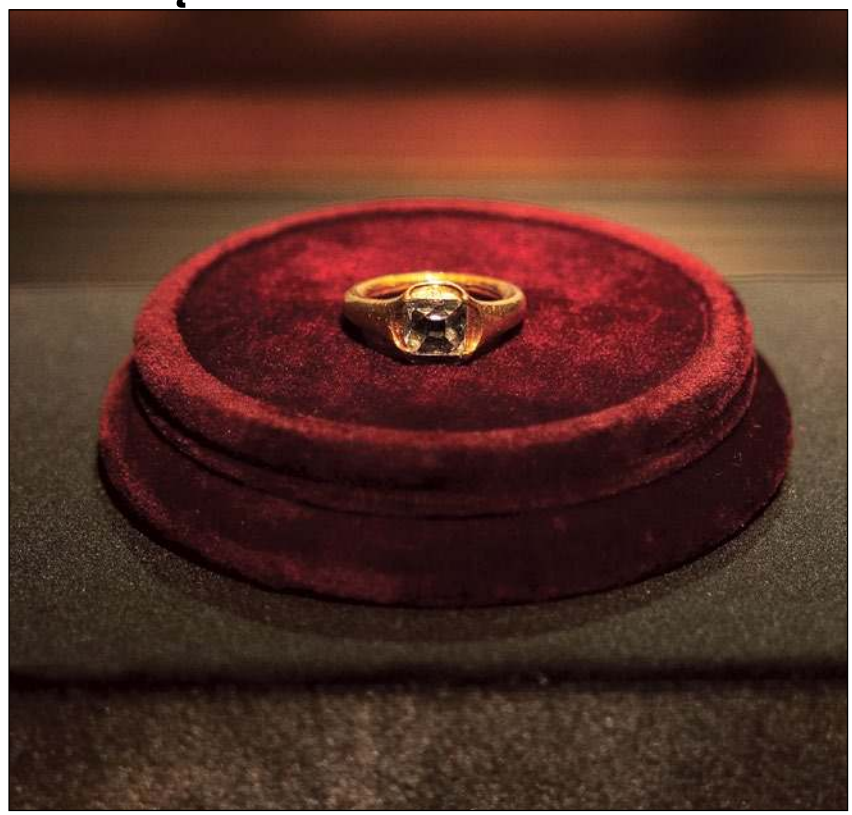
Dzięki FOZZ i uwłaszczeniu się na majątku narodowym szare peerelowskie eminencje stały się krezusami i mogą się śmiać z działaczy Solidarności, którzy nie mają tak szczodrych emerytur jak byli ubecy. Kiedyś pozostawaliśmy pod jurysdykcją Moskwy, dzisiaj – Brukseli. Tamta sytuacja, mówiąc sarkastycznie, była bardziej atrakcyjna. Gwarantowała, że Rosja (w jej ówczesnej wersji) nas nie napadnie.

Media PRL stały się narzędziem propagandy, ale ludzie byli na nią odporni. Dzisiaj jako społeczeństwo zostaliśmy systemowymi sponsorami mediów zakłamujących naszą rzeczywistość. Jednak tutaj mamy do czynienia z prawdziwą katastrofą narodową. Znacząca część społeczeństwa wierzy w brednie TVN, Polsatu czy TVP w likwidacji. Dała się uwieść nienawiści i ma poczucie wyższości nad byle pisiorem. Ma to odzwierciedlenie na najniższych szczeblach. Porządnych ludzi traktuje się z góry, a byle łajza nosi się dumnie.

W komunie byliśmy my i oni. W obecnej wersji komuny sprokurowano taki ferment, że są oni kontra oni. A starzy aparatczycy – prawdziwi oni – zacierają ręce i liczą, ile już mają mieszkań.

ZDJĘCIE TYGODNIA

Pierścień króla Zygmunta Starego wrócił z Niemiec do Polski



SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA S.A.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA S.A., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA S.A. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: ODD ANDERSEN/AFP/EAST NEWS, ANDRZEJ WIKTOR X 2, LASKI DIFFUSION/EAST NEW X 3, MUZEUM NARODOWE W POZNANIU, SHUTTERSTOCK/BILANOL, PIXEL-SHOT

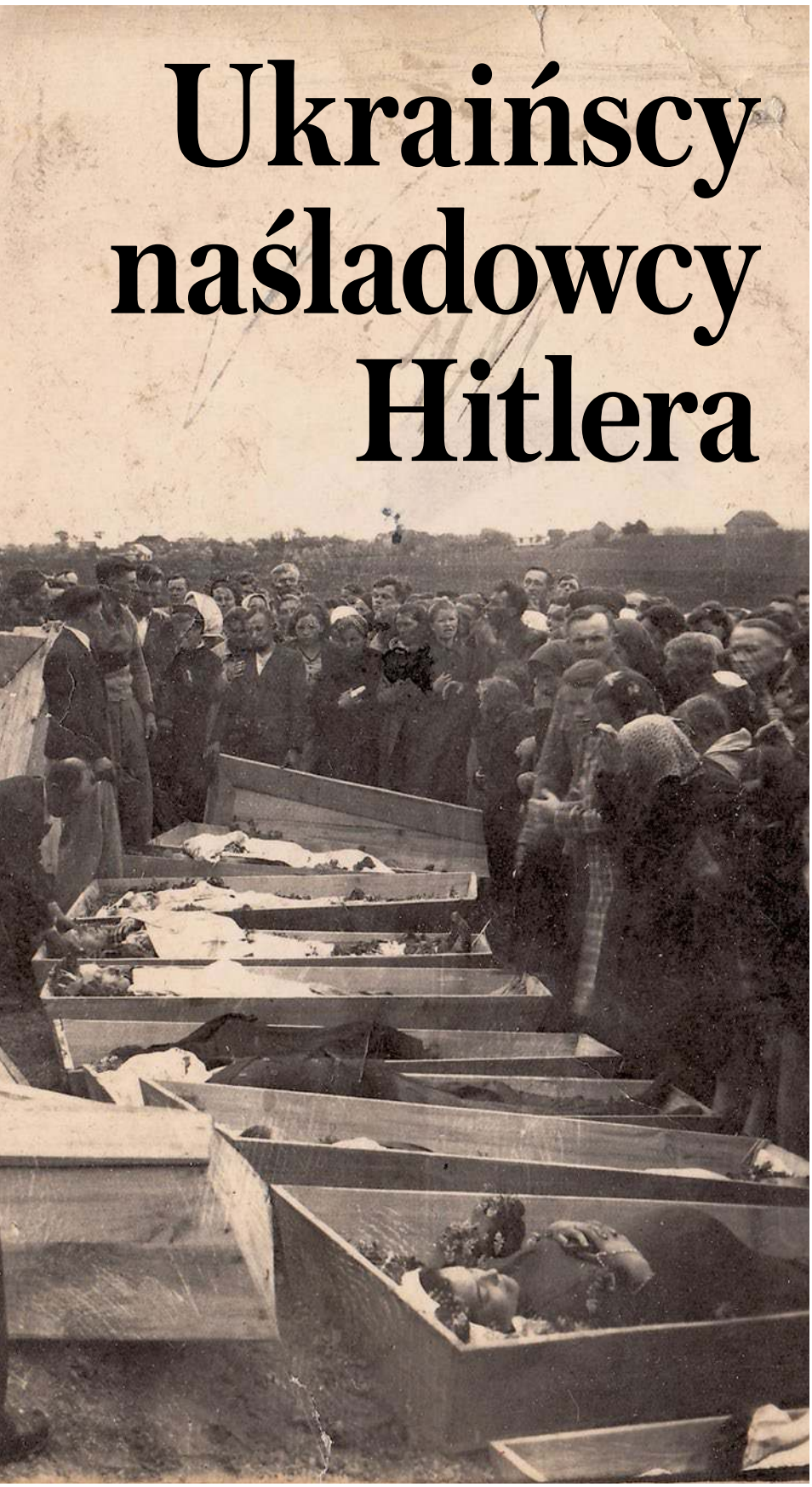
Zamów prenumeratę Sieci!

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 166cbf2463

Ukraińscy naśladowcy Hitlera



Fot. IPN

Zbrodnie popełnione przez ukraińskich nacjonalistów były efektem programu realizowanego przez wiele lat na Wołyniu, w Galicji Wschodniej oraz na terenach dzisiejszej południowo-wschodniej Polski. Jego ofiarami padli przede wszystkim Polacy, a także Żydzi, Czesi, Ormianie oraz sami Ukraińcy. „Ostateczne rozwiązanie kwestii polskiej" było głównym celem Ukraińców



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Ideologia stworzonej w 1929 r. Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów bazowała na skrajnym integralnym nacjonalizmie, odrzucającym demokrację, prawa jednostki i kompromis polityczny. Naród miał być wartością absolutną, a jego interes usprawiedliwiał stosowanie przemocy i terroru. Znaczący wpływ na ukształtowanie tej ideologii wywarły poglądy Dmytra Doncowa. To właśnie on napisał motto do opracowanego przez Stepana Łenkawskiego „Dekalogu ukraińskiego nacjonalisty", opublikowanego również w 1929 r. W jego pierwotnej wersji znalazły się m.in. słowa: „Nie zawahasz się spełnić największej zbrodni, kiedy tego wymaga dobro sprawy" oraz: „Nienawiścią oraz podstępem będziesz przyjmował wrogów Twego Narodu". Trudno o bardziej jednoznaczną deklarację.

Zgodnie z wizją OUN ziemie uznawane za ukraińskie należało oczyścić z ludności, która mogłaby podważać ich panowanie. Polacy jako największa mniejszość

eprasa.pl 166cbf2463

zamieszkująca te tereny znaleźli się w centrum planu eksterminacji. Celem stało się „wygnanie Lachów za San".

OKUPANCI UKRAIŃSKICH ZIEM

Plan fizycznego usunięcia Polaków z ziem uznawanych za ukraińskie powstał jeszcze przed wybuchem II wojny światowej. Dobitnie przedstawił go działacz OUN Mychajło Kołodzinski w doktrynie wojennej z wiosny 1938 r. Pisał: „Nasze powstanie [...] musi wyczyścić Ukrainę z obcego, wrogiego elementu i z niedobrego własnego, rodzimego. Tylko podczas powstania będzie okazja wymieść dosłownie do nogi polski element z Z[achodnich] U[kraińskich] Z[iem] [...]. Polski element, co będzie stawiać czynny opór, musi ulec w walce, a resztę trzeba sterroryzować i zmusić do ucieczki za Wisłę. [...] ZUZ w przyszłym Państwie Ukraińskim ma być czysty pod względem narodowym".

Nietrudno dostrzec w tym silne inspiracje niemieckim narodowym socjalizmem. Działacze OUN z podziwem obserwowali sukcesy hitlerowskich Niemiec i faszystowskich Włoch. Po wybuchu wojny zarówno banderowcy (OUN-B), jak i melnykowcy (OUN-M) zabiegali o ścisły sojusz z państwami osi. Wyraźnie wybrzmiało to w deklaracji niepodległości Ukrainy, ogłoszonej 30 czerwca 1941 r. we Lwowie przez rząd OUN-B Jarosława Stećki: „Odrodzone Państwo Ukraińskie będzie ściśle współdziałać z Narodowo Socjalistycznymi Wielkimi Niemcami, które pod kierunkiem Adolfa Hitlera tworzą nowy ład w Europie". Stećko jeszcze dobitniej wyraził te poglądy w liście do Benita Mussoliniego z 3 lipca 1941 r.: „Na terytorium, uwolnionym spod moskiewsko-żydowskiej okupacji, [...] w nowym sprawiedliwym porządku faszystowskim, który powinien zastąpić system wersalski, Ukraina zajmie należne jej miejsce".

W czasie wojny inspiracja nazizmem ujawniła się najpełniej. Podobnie jak hitlerowskie Niemcy ukraińscy nacjonaliści dążyli do stworzenia własnej „przestrzeni życiowej", czyli etnicznie jednolitego państwa. Głównym celem byli Polacy, lecz za wrogów uznano również Żydów, utożsamianych z bolszewizmem. Potwierdzają to postanowienia II Nadzwyczajnego Wielkiego Zjazdu OUN-B z kwietnia 1941 r., w których zapisano: „Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów walczy o Suwerenne Zjednoczone Państwo Ukraińskie [...]. OUN zwalcza akcję tych polskich ugrupowań, które dążą do odnowienia [...] okupacji ziem ukraińskich. [...] zwalcza Żydów jako podporę reżimu moskiewsko-bolszewickiego".

> Jednym z najbardziej charakterystycznych elementów zbrodni ukraińskich nacjonalistów była ich demonstracyjna brutalność. Ofiary torturowano, a następnie mordowano za pomocą maczug, siekier, młotów, wideł, kos czy drewnianych pałek. Masowo gwałcono kobiety, a dzieci nabijano na sztachety płotów lub roztrzaskiwano ich głowy o ściany

„OSTATECZNE ROZWIĄZANIE KWESTII POLSKIEJ"

Rzeź wołyńska i pozostałe zbrodnie OUN-B oraz UPA nie były skutkiem wojennego chaosu ani samowoli lokalnych dowódców. Ich sprawcy przygotowywali się do nich przez wiele lat. Już w II RP OUN prowadziła działalność terrorystyczną, wymierzoną w przedstawicieli polskich władz, administracji i policji. Ofiarami zamachów padali także Ukraińcy opowiadający się za porozumieniem z Polakami lub sprzeciwiający się radykalnemu nacjonalizmowi. Celem tych działań było osłabienie państwa polskiego, a także sabotowanie polsko-ukraińskiego kompromisu poprzez podsycanie wzajemnej wrogości. W ten sposób tworzono fundamenty pod późniejszą realizację „ostatecznego rozwiązania kwestii polskiej".



Fot. IPN

Gdy podczas II wojny światowej pojawiły się sprzyjające warunki, kierownictwo OUN-B i UPA przystąpiło do realizacji planu. Setki miejscowości atakowano według podobnego schematu, a działania były koordynowane przez dowództwo. Świadczą o tym m.in. powojenne zeznania dowódcy Okręgu Wojskowego UPA „Turiw" Jurija Stelmaszczuka „Rudyja", odpowiedzialnego za zbrodnie na Wołyniu. Po schwytaniu przez władze komunistyczne 28 lutego 1945 r. zeznał: „W czerwcu 1943 [...] »Kłym Sawur« przekazał mi ustnie tajną dyrektywę Centralnego Prowidu OUN o powszechnej fizycznej likwidacji całej ludności polskiej, zamieszkałej na terytorium zachodnich obwodów Ukrainy. [...] W sierpniu 1943 roku [...] wyrżnąłem ponad 15 tysięcy Polaków [...]. Po spędzeniu całej ludności polskiej w jedno miejsce, okrążaliśmy ją i rozpoczynaliśmy rzeź. Kiedy już nie pozostał ani jeden żywy człowiek, kopaliśmy wielkie doły, zrzucaliśmy tam wszystkie trupy, zasypywaliśmy ziemią oraz, żeby ukryć ślady tego strasznego grobu, paliliśmy na nim wielkie ogniska i szliśmy dalej. Tak przechodziliśmy od wsi do wsi [...]. Całe bydło, wartościowe rzeczy, mienie i żywność zbieraliśmy, a budynki i inne mienie paliliśmy".

Kulminacją tej operacji była tzw. krwawa niedziela 11 lipca 1943 r. Tego dnia oddziały UPA i wspierające je grupy zaatakowały jednocześnie ok. 100 polskich miejscowości oraz parafii na Wołyniu.

eprasa.pl 166cbf2463





Fot. IPN

DEMONSTRACJA BRUTALNOŚCI

Jednym z najbardziej charakterystycznych elementów zbrodni popełnianych przez ukraińskich nacjonalistów była ich demonstracyjna brutalność. Ofiary torturowano, a następnie mordowano za pomocą tępych narzędzi, maczug, siekier, młotów, wideł, kos czy drewnianych pałek. Masowo gwałcono kobiety, a dzieci nabijano na sztachety płotów lub roztrzaskiwano ich głowy o ściany.

– Sama ideologia nacjonalistyczna zachęcała do stosowania skrajnej przemocy, bezwzględności i największych zbrodni. Charakter tych mordów był przede wszystkim konsekwencją długotrwałej agitacji, propagandy i systematycznego podsycania niewyobrażalnej nienawiści – przekonuje Ewa Siemaszko, która od lat bada ludobójstwo UPA.

Wieści o kolejnych masakrach rozchodziły się błyskawicznie. Wielu Polaków opuszczało swoje domy jeszcze przed nadejściem oddziałów UPA. Całe rodziny uciekały, pozostawiając gospodarstwa, ziemię i dorobek wielu pokoleń. Im większe przerażenie wywoływały wcześniejsze zbrodnie, tym mniej Polaków pozostawało na terenach, które nacjonaliści zamierzali przekształcić w czysto ukraińskie.

Celem nie było jednak wyłącznie usunięcie polskiej ludności. Ukraińscy nacjonaliści dążyli również do zatarcia wszelkich śladów wielowiekowej obecności Polaków. Niszczono kościoły, cmentarze, krzyże, zabudowania i całe wsie. Teren po wymordowanych lub wypędzonych mieszkańcach miał być całkowicie „oczyszczony". Dobitnie pokazuje to instrukcja kierownictwa wołyńskiej OUN-B dotycząca „likwidowania śladów polskości" z jesieni 1943 r. Nakazywała ona m.in.: „a) Zniszczyć wszystkie ściany kościołów i innych domów modlitewnych. b) Zniszczyć drzewa rosnące przy domach tak, żeby nie pozostały znaki, że kiedyś mógł tam ktoś żyć (nie niszczyć drzew owocowych przy drogach). c) […] zniszczyć wszelkie polskie domy, w których wcześniej żyli Polacy […]. Domy będą spalone i ludzie, którzy w nich żyją, nie będą mieć gdzie przezimować. Zwrócić uwagę jeszcze raz na to, iż jeśli ostanie się cokolwiek polskiego, to Polacy będą zgłaszali pretensje do naszych ziem". Przyszłe pokolenia miały uważać, że te ziemie od zawsze były wyłącznie ukraińskie.

PONAD DWIE DEKADY ZBRODNI

Mimo wieloletnich badań historyków trudno nadal ustalić liczbę wszystkich ofiar. W latach 1921–1939 Ukraińska Organizacja Wojskowa (UWO), a następnie OUN prowadziły działalność terrorystyczną na terytorium Polski. Dokonano 63 zamachów, w których zginęło 36 Ukraińców – głównie przeciwników radykalnego nacjonalizmu, 25 Polaków, Rosjanin i Żyd. Oprócz tego ukraińskie podziemie ma na koncie 5 zamachów bombowych oraz 18 akcji ekspropriacyjnych, czyli napadów rabunkowych finansujących działalność organizacji. Statystyki te nie obejmują setek aktów sabotażu wymierzonych w infrastrukturę państwową i prywatną.

We wrześniu 1939 r. członkowie OUN prowadzili liczne akcje dywersyjne na tyłach walczącego Wojska Polskiego. Na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej napadano na wycofujące się oddziały, mordowano żołnierzy, urzędników i cywili oraz rabowano mienie. W Małopolsce Wschodniej głównymi sprawcami tych zbrodni byli działacze OUN i ich sympatycy, gdyż właśnie tam wpływy organizacji były najsilniejsze. Na Wołyniu natomiast w napadach uczestniczyli zarówno nacjonaliści, jak i byli działacze rozwiązanej w 1938 r. Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy, których część w kolejnych latach zasiliła szeregi OUN i UPA. Pełnej skali tych wydarzeń prawdopodobnie nigdy nie uda się oszacować. Według dotychczasowych ustaleń we wrześniu 1939 r. zamordowano co najmniej 1036 osób na Wołyniu oraz 2242 osoby w Małopolsce Wschodniej, jednak rzeczywista liczba ofiar była zapewne znacznie większa.

Lata 1939–1941 były okresem systematycznych przygotowań do późniejszego ludobójstwa. Zabójstwa, pobicia, rabunki, podpalenia, prześladowania polskiej ludności oraz nacjonalistyczna propaganda miały zastraszyć Polaków i przygotować ukraińską ludność do udziału w zbrodni. Po ataku III Rzeszy na Związek Sowiecki w czerwcu 1941 r. oba rywalizujące skrzydła OUN: frakcje Melnyka i Bandery, podjęły współpracę z Niemcami. Ukraińcy służyli m.in. w policji pomocniczej, uczestnicząc w pogromach z lata 1941 r. oraz wyłapując i mordując Żydów.

Holokaust stał się także bezpośrednim wzorcem dla ukraińskich nacjonalistów. W czasie mordowania Żydów trwały przygotowania do rozprawy z ludnością polską. Już od 1942 r. coraz częściej napadano na polskie wsie i gospodarstwa oraz mordowano przedstawicieli miejscowej inteligencji, nauczycieli, leśników, duchownych i osoby uznawane za przeszkodę w realizacji planów OUN-B. Był to etap poprzedzający masową eksterminację. W Małopolsce Wschodniej 1942 r. pozostawał jeszcze stosunkowo spokojny, ale udokumentowano tam co najmniej 85 ofiar śmiertelnych. Na Wołyniu terror narastał znacznie szybciej i pochłonął już co najmniej 300 polskich ofiar, zapowiadając tragedię następnego roku.

eprasa.pl 166cbf2463

ZAGŁADA

Lata 1943–1945 przyniosły kulminację zbrodni ukraińskich nacjonalistów. OUN-B i UPA przystąpiły wówczas do realizacji zaplanowanej akcji wyniszczenia polskiej ludności cywilnej. Jej głównym obszarem było województwo wołyńskie, gdzie tylko w 1943 r. udokumentowano ponad 35 tys. zamordowanych Polaków. Łącznie na Wołyniu w wyniku działań UPA i innych formacji nacjonalistycznych zginęło ok. 60 tys. osób. Po niemal całkowitym usunięciu Polaków z terenów wiejskich Wołynia kierownictwo OUN-UPA przeniosło główny ciężar działań do Galicji Wschodniej. Akcję depolonizacji tych terenów rozpoczęto na początku 1944 r. W województwach lwowskim, tarnopolskim i stanisławowskim udokumentowano ok. 32 tys. zamordowanych do końca roku Polaków.

Fala mordów nie ustała wraz z przejściem frontu wschodniego. Działalność UPA koncentrowała się początkowo we wschodniej części województwa tarnopolskiego i zachodnich powiatach województwa lwowskiego, a następnie przeniosła się na teren dzisiejszej południowo-wschodniej Polski. W latach 1945–1947 oddziały UPA nadal napadały na polskie wsie, mordowały repatriantów, organizowały zasadzki i atakowały posterunki oraz konwoje Wojska Polskiego.

Dopiero zdecydowane działania przeciwko sotniom UPA oraz wysiedlenia ludności ukraińskiej: najpierw do Ukraińskiej SRR, a następnie w ramach akcji „Wisła", doprowadziły do rozbicia struktur ukraińskiego podziemia i wygaśnięcia fali mordów. Szacuje się, że tylko w latach 1945–1947 zginęło ok. 1700 Polaków.

LICZBY

Według badań Ewy Siemaszko łączna liczba Polaków zamordowanych na całym obszarze ludobójstwa ukraińskiego (Wołyń, Małopolska Wschodnia, południe przedwojennego województwa poleskiego, Lubelszczyzna) wynosi 120–130 tys. Znacznie trudniejsze jest oszacowanie całkowitej liczby ofiar ukraińskich nacjonalistów innych narodowości. Spośród ok. 30 tys. Czechów mieszkających na Wołyniu zginęło mniej niż 400 osób. W Małopolsce Wschodniej ofiarami działalności UPA padli również Ormianie, żyjący wśród polskiej ludności.

– Do ofiar ukraińskich nacjonalistów należy zaliczyć także kilka tysięcy Żydów zamordowanych bezpośrednio przez ukraińskich sprawców – mówi Ewa Siemaszko. – Nie chodzi o ofiary niemieckich akcji eksterminacyjnych, w których uczestniczyła ukraińska policja pomocnicza, lecz o osoby odnajdywane i zabijane przez ukraińskich policjantów tropiących ukrywających się Żydów, a także przez cywilów, którzy pod wpływem propagandy i nienawiści dokonywali takich mordów na własną rękę.

> Zgodnie z wizją OUN ziemie uznawane za ukraińskie należało oczyścić z ludności, która mogłaby podważać ich panowanie. Polacy jako największa mniejszość zamieszkująca te tereny znaleźli się w centrum planu eksterminacji. Celem stało się „wygnanie Lachów za San"

Duży znak zapytania należy postawić przy szacunkach liczby ukraińskich ofiar OUN-B i UPA, które wahają się od kilkunastu do nawet kilkudziesięciu tysięcy osób. Obejmują zarówno Ukraińców zamordowanych za odmowę wstąpienia do UPA, krytykę działań nacjonalistów, niepodporządkowanie się zarządzeniom UPA i udzielanie pomocy Polakom, jak i osoby związane po wojnie z komunistyczną administracją, aparatem państwowym czy służbami bezpieczeństwa ZSRR, a tę ostatnią grupę należałoby wyłączyć z grupy ofiar związanych ze zbrodniami ludobójstwa.

TUŁACZKA SETEK TYSIĘCY LUDZI

Często pomijanym skutkiem ludobójstwa dokonanego przez OUN i UPA była ucieczka setek tysięcy Polaków z Wołynia i Galicji Wschodniej. Całe wsie opuszczały swoje domy, zabierając jedynie najpotrzebniejsze rzeczy. Uchodźcy, nierzadko z narażeniem życia, przedzierali się na zachód, w głąb okupowanej Polski. Inni pozostali na Kresach aż do zakończenia wojny, a następnie zostali objęci powojennymi przesiedleniami. Ucieczka rzadko oznaczała jednak koniec cierpienia. Dla większości uchodźców rozpoczynała się wielomiesięczna, a często wieloletnia tułaczka. Pozbawieni domu, majątku i środków do życia, nierzadko po utracie najbliższych członków rodziny, musieli zaczynać wszystko od nowa. Wielu z nich trafiało do prowizorycznych schronień, inni byli wywożeni przez Niemców na roboty przymusowe do III Rzeszy. Głód, choroby, zimno oraz obrażenia odniesione podczas napadów przynosiły kolejne ofiary. Do dziś nie udało się oszacować liczby osób, które zmarły już po ucieczce z rodzinnych stron. Także one należą do tragicznego bilansu zbrodni ukraińskich nacjonalistów.

SPRAWIEDLIWOŚĆ

Zaplanowane ludobójstwo dokonane na Polakach oraz zbrodnie popełnione na przedstawicielach innych narodowości wymagają jednoznacznego potępienia. Najważniejszym nierozwiązanym problemem pozostaje jednak kwestia ekshumacji. Dziesiątki tysięcy Polaków zamordowanych przez OUN i UPA nadal spoczywają w bezimiennych mogiłach rozsianych po Wołyniu i Galicji Wschodniej. Ich bliscy od ponad 80 lat nie mogą zapalić znicza na oznaczonym grobie ani godnie pochować swoich krewnych. Prawo do odnalezienia, identyfikacji i pochówku ofiar jest elementarnym obowiązkiem wynikającym z poszanowania ludzkiej godności. Bez ekshumacji ofiar nie może być mowy o jakimkolwiek wybaczeniu tej straszliwej zbrodni.

eprasa.pl 166cbf2463

Od przyjaźni do wrogości

Ukraina pozycjonuje się na przyszłość jako państwo o interesach rozbieżnych z Polską, a w gorszym razie – jako kraj nam nieprzyjazny. W tej chwili wszystkie te rozbieżności są przysłonięte rosyjską agresją, ale warto pomyśleć o tym, co będzie, gdy wojna się skończy

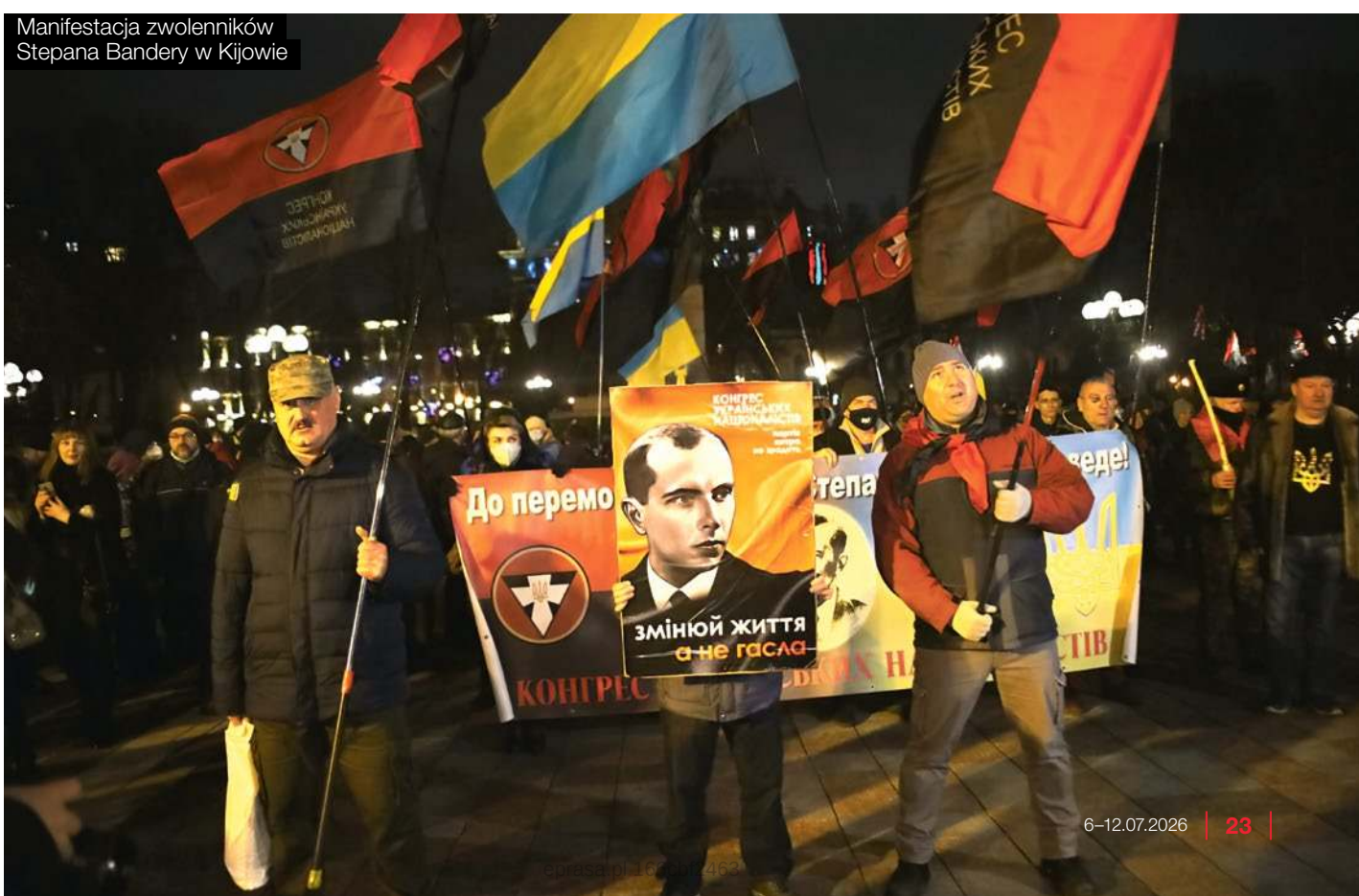


KONRAD KOŁODZIEJSKI

W ostatnią środę parlament w Kijowie przyjął ustawę o Ukraińskim Panteonie Narodowym. Ma to być miejsce wiecznego spoczynku „najlepszych synów i córek narodu". „Nazwiska wszystkich bohaterów, którzy w różnych epokach i stuleciach walczyli o Ukrainę oraz inspirowali Ukrainę, zostaną zebrane i na zawsze zapisane w naszej historii" – wyjaśniał w przemówieniu Wołodymyr Zełenski.

Decyzja o utworzeniu panteonu zapadła dość niespodziewanie, co wcale nie oznacza, że była spontaniczna. Zełenski zgłosił swój projekt bezpośrednio po rozpętanej przez niego awanturze z Polską wokół nadania jednej z jednostek wojskowych imienia „Bohaterów UPA". Trudno więc nie dostrzegać tu związku przyczynowo-skutkowego.

W panteonie – obok innych postaci zasłużonych dla Ukrainy – mają się znaleźć przywódcy UPA, w tym Stepan Bandera. Tak przynajmniej wynika z zapowiedzi polityków prezydenckiej partii Sługa Narodu. Oznacza to, że nie powinniśmy oczekiwać żadnej refleksji ze strony władz w Kijowie, żadnego przyznania się do błędu ani wyciągniętej ręki, bo najwyraźniej wszystko było wcześniej zaplanowane i rozegrane z zimną krwią. „Nikt i nigdy nie będzie nakazywał nam, jak żyć, jak mówić, kogo kochać, komu być wdzięcznym i jakich bohaterów szanować" – mówił Zełenski. Adresat tych słów był bardzo czytelny, zostały bowiem wypowiedziane zaledwie kilka dni po tym, jak ukraiński prezydent odesłał do Warszawy pocztą Order Orła Białego.



Manifestacja zwolenników Stepana Bandery w Kijowie

Fot. Oleksandr Polonskyi/Shutterstock.com

Mosty, które na początku rosyjskiej inwazji zostały zbudowane między naszymi krajami, zostały w ten sposób definitywnie zerwane. Zełenski postanowił bowiem budować tożsamość swojego narodu w kontrze wobec sąsiadów – nie tylko Rosji (co jest zrozumiałe), lecz także Polski. W jego optyce zostaliśmy więc niejako – na razie w sferze historycznej i symbolicznej – zrównani z Moskwą. A to w przyszłości może doprowadzić do zupełnie nieprawdopodobnych dziś konsekwencji.

POGROZIŁ PALCEM

„To jeszcze nie konflikt, ale sprzeczności. I uwierzcie mi – to jeszcze nie jest szczyt" – tak ocenił obecny kryzys w relacjach polsko-ukraińskich Kyryło Budanow, szef kancelarii prezydenta Zełenskiego. „Będzie tego więcej, jeśli wszyscy się trochę nie zatrzymają" – ostrzegł. Przy czym mówiąc „wszyscy", ewidentnie miał na myśli Polaków.

Przypomnijmy, że Budanow, wieloletni szef ukraińskiego wywiadu, przyjechał do Polski w apogeum konfliktu wokół upamiętnienia UPA. Wielu miało wtedy nadzieję, że celem jego misji jest znalezienie kompromisu. Tymczasem Budanow po prostu przyjechał, wysłuchał opinii polskich polityków, po czym wrócił do Kijowa i – jak wszystko na to wskazuje – zarekomendował Zełenskiemu, by nas zignorował.

„Eskalacja sporów z sąsiadami zawsze ma negatywne konsekwencje – zarówno polityczne, jak i gospodarcze" – mówił dalej Budanow, znowu mając na myśli Polaków. Niektórzy zapewne wzruszą na te słowa ramionami. Niby w jaki sposób Ukraina może nam zaszkodzić politycznie i gospodarczo? Oczywiście sama nam nie zaszkodzi, ale w porozumieniu z Niemcami jest to już jak najbardziej możliwe. Dowodzi tego choćby przypomniana przeze mnie w poprzednim numerze „Sieci" afera zbożowa z 2023 r., gdy Ukraina – w ścisłej kooperacji z Berlinem i Komisją Europejską – doprowadziła do zalania Polski swoim ziarnem, co w konsekwencji przyczyniło się do gorszego wyniku wyborczego PiS i przejęcia rządów przez Tuska. Budanow grozi nam więc, sugerując między słowami, abyśmy za bardzo „nie podskakiwali", bo Ukraina nie traktuje Polski jako partnera, z którym należy się liczyć.

WSZYSTKO JEST MOŻLIWE

Niepokojąco brzmi też stwierdzenie Budanowa, że incydentów „będzie więcej". Co ma na myśli szef kancelarii Zełenskiego? Czy chodzi mu o kolejne zatargi dyplomatyczne, czy może o coś innego, być może znacznie poważniejszego? Skądinąd mamy przecież w Polsce dużą diasporę ukraińską, w przytłaczającej większości porządnych, ciężko pracujących ludzi. Jednak w tak dużej grupie łatwo jest o rozmaite prowokacje lub działania hybrydowe.

Sam Budanow mówił w innym wywiadzie, że znalezienie odpowiednich ludzi to tylko kwestia ceny (choć – aby było jasne – miał w tym przypadku na myśli Ukraińców pracujących na rzecz Moskwy).

> Kijów sądzi – podobnie jak Moskwa – że Polska nie jest w pełni suwerennym państwem i w razie kłopotów będzie ją można przycisnąć za pośrednictwem Berlina

Dlatego warto być czujnym i likwidować zagrożenia w zarodku, zwłaszcza że również Moskwa może dążyć do podburzania nastrojów. Szkoda tylko, że – jak chodzą słuchy – polskie służby mają dość słabe rozpoznanie diaspory ukraińskiej. No, ale skoro ciągle trzeba ścigać pisowców, to pewnie brakuje sił na inne zadania.

Oczywiście nie należy za bardzo ulegać wyobraźni, ale wiele scenariuszy, które dzisiaj przerabiamy, całkiem niedawno wydawało się nam zupełnie nieprawdopodobnych. Kto jeszcze sześć, siedem lat temu mógł przewidzieć wybuch wojny na Ukrainie? Kto w momencie jej wybuchu był w stanie stwierdzić, że potrwa dłużej niż cztery lata?

Dlatego nie powinno być już dla nas rzeczy, które nigdy nie mogą się wydarzyć. Ukraina pozycjonuje się na przyszłość jako państwo o interesach rozbieżnych z Polską, a w gorszym razie – jako kraj nam nieprzyjazny. W tej chwili wszystkie te rozbieżności czy wrogość są przysłonięte rosyjską agresją, ale warto pomyśleć o tym, co będzie, gdy wojna się skończy – choć oczywiście wiele zależy od tego, jak się skończy.

Na pewno lepiej mieć za wschodnią granicą nieprzyjazną Ukrainę niż jawnie wrogą i agresywną Rosję. To jest rzecz fundamentalna, która zawsze powinna być brana pod uwagę. Trzeba jednak wyzwolić się ze szkodliwego determinizmu wyrażającego się przekonaniem, że bez polskiej pomocy Ukraina nie przetrwa.

Tak, polska pomoc jest Ukrainie potrzebna, ale nie na takiej zasadzie jak dotąd, że to nam zależało na tej pomocy bardziej niż samym Ukraińcom. To wzbudziło na Ukrainie poczucie, że Polska ze strachu zrobi dosłownie wszystko, aby uniknąć wojny z Rosją. W ten sposób pozbawiliśmy się w Kijowie nie tylko możliwości politycznych, lecz także szacunku. Dziś zbieramy tego owoce.

NIECHCIANE MiG-i

Przykładem może być sprawa z przekazaniem myśliwców MiG-29. Początkowo Kijów zabiegał o samoloty, twierdząc, że są absolutnie niezbędne do obrony ukraińskiego nieba. Warszawa odmawiała, tłumacząc, że nie może oddać myśliwców bez zastąpienia ich innymi maszynami. W końcu po długich perturbacjach Polska zgodziła się na odstąpienie samolotów w zamian za ukraińskie technologie dronowe.

Ukraińcy zmienili jednak zdanie, gdy okazało się, że wysłużone myśliwce wymagają remontu. Nagle okazało się, że Ukraina nie potrzebuje ich tak bardzo, a jeśli już, to Polska powinna je wcześniej naprawić na własny koszt. Oczywiście o żadnych technologiach dronowych nie było mowy (liczni eksperci twierdzą zresztą, że te osławione ukraińskie technologie to pic na wodę). Ostatecznie do żadnej wymiany nie doszło.

Z naszego punktu widzenia ta historia powinna być odczytana jako komunikat ze strony Ukrainy, że dadzą sobie radę bez naszego wsparcia (chyba że przekażemy im coś za darmo). A skoro tak, to nie ma żadnego powodu, abyśmy pozwalali sobą pomiatać w przekonaniu, że bronimy wyższych wartości. Owszem, było tak w 2022 r. i pewnie jeszcze w 2023 r., gdy

eprasa.pl 166cbf2463

nikt nie chciał pomagać Ukrainie, ale dzisiaj sytuacja jest już inna.

Można oczywiście zapytać, czy nasz zwrot w kierunku polityki transakcyjnej zdoła zmienić postępowanie Ukrainy. Co do tego są poważne wątpliwości. Kijów sądzi – podobnie jak Moskwa – że Polska nie jest w pełni suwerennym państwem i w razie kłopotów będzie ją można przycisnąć za pośrednictwem Berlina. Wtedy Polacy położą uszy po sobie i zrobią to, czego chce Kijów.

WOJNA O PIENIĄDZE

Ukrainę zawsze ciągnęło do Niemców. Krótkotrwała współpraca Zełenskiego z Polską w latach 2022–2023 była wymuszona okolicznościami. Wtedy Berlin miał jeszcze nadzieję na powrót do współpracy z Rosją i nie był zainteresowany angażowaniem się na Ukrainie. Dopiero gdy okazało się to nierealne, Niemcy odpowiedzieli na umizgi Kijowa.

Zgodnie z nową strategią Ukraina ma zastąpić Niemcom Rosję – stać się dla nich nowym źródłem surowców i rynkiem zbytu. W zamian zostanie uznana za lokalne mocarstwo, zbrojnie ochraniające Zachód i rozdające karty w regionie. Ale nie chodzi tylko o siłę i prestiż, lecz także – a może przede wszystkim – o pieniądze.

Ukrainą rządzi oligarchia, która – podobnie jak w Rosji – dorobiła się fortun na grabieży własnego państwa. Suwerenność Ukrainy – podobnie jak jej tożsamość narodowa – nie jest dla oligarchów wartością nadrzędną, lecz służy im jako zapora przed rosyjską konkurencją. Ukraińscy oligarchowie wiedzą, że przegrana w wojnie oznacza dla większości z nich utratę majątków i przejęcie ich przez Rosjan, tak jak się stało w Donbasie. Dlatego obecna wojna jest z ich punktu widzenia walką o własną przyszłość i zasoby.

Jeśli zastanawiamy się, dlaczego władze w Kijowie tak mocno promują tradycje banderowskie, to właśnie tu jest odpowiedź. Oligarchia potrzebuje idei, za którą w jej imieniu będą się bić młodzi ludzie, szuka spójnej tożsamości historycznej. To jedynie instrument w walce o przetrwanie. Zełenski i jego ludzie mają prawdopodobnie w głębokim poważaniu Banderę, upowców i wiele innych postaci z przeszłości. To wszystko jest przede wszystkim zabiegiem propagandowym – rodzajem pomostu pomiędzy oligarchią a galicyjskimi nacjonalistami, z których wywodzi się znaczna część kadr wojskowych i którym – co najważniejsze – ciągle chce się toczyć wojnę z Moskwą.

Nic więc dziwnego, że gdy stawką są olbrzymie pieniądze i władza, nikt w Kijowie nie będzie się przejmował dobrym samopoczuciem Polaków.

SPRYTNY PLAN

W zamian za wsparcie ukraińska oligarchia jest gotowa podzielić się zyskami z Berlinem. Oficjalnie mówi się o członkostwie Ukrainy w Unii Europejskiej. Problem w tym, że tak naprawdę nikt tego członkostwa nie chce – ani Niemcy, ani oligarchia, która musiałaby przecież podporządkować swoje biznesy unijnym regulacjom, w tym – przede wszystkim – antykorupcyjnym.

> Zełenski postanowił budować tożsamość swojego narodu także w kontrze wobec Polski. Zostaliśmy więc niejako – na razie w sferze historycznej i symbolicznej – zrównani z Moskwą

Jedna z teorii głosi, że Polska ma odegrać w tym procesie rolę głównego hamulcowego. Sprowokowani przez awanturę wokół UPA mamy zablokować akcesję Ukrainy i w ten sposób wziąć na siebie odium największego pieniacza. W rzeczywistości zaś wykonamy w ten sposób czarną robotę, bo przecież Niemcy będą nawoływać do członkostwa Ukrainy, także sam Zełenski zwali winę za niepowodzenie akcesji na wrednych Polaków. Krótko mówiąc, Polska jest tutaj w trudnym położeniu, bo jeśli się zgodzi na członkostwo Ukrainy, będzie to wbrew jej kluczowym interesom gospodarczym, a jeśli nie, to zagra rolę w cudzym scenariuszu. A i tak w obu przypadkach wyjdziemy na frajerów.

Celem tej intrygi jest realizacja innego planu, optymalnego zarówno dla Niemiec, jak i dla ukraińskiej oligarchii, czyli dalsze rozszerzanie umowy o pogłębionej strefie wolnego handlu między Unią i Ukrainą (DCFTA). To umowa, która daje Ukrainie dostęp do unijnego rynku bez konieczności przestrzegania sztywnych regulacji wewnątrzunijnych. Docelowo pozwala też kapitałowi unijnemu (w praktyce głównie niemieckiemu) na eksplorację Ukrainy. Właśnie w tę stronę tak naprawdę zmierzamy.

Dla Polski oznacza to poważne problemy gospodarcze, przede wszystkim w rolnictwie i usługach. Oczywiście możemy i powinniśmy blokować takie rozwiązania. Pytanie tylko, czy Tuskowi wystarczy do tego umiejętności, woli i odwagi.

Zełenski – niestety być może słusznie – zakłada, że Tusk się nie sprzeciwi, a nawet gdyby próbował, to Niemcy zdołają zmusić go do uległości. Tak przecież było zawsze. Nic więc dziwnego, że trzy lata temu ukraiński prezydent porzucił pisowców, którzy owszem, pomagali Ukrainie w potrzebie, ale nigdy nie stawali na baczność przed Niemcami.

W tym sprytnym planie kryje się jednak wiele niewiadomych. Po pierwsze, wojna ciągle trwa i nikt nie wie, jak się zakończy. W niekorzystnym – również dla nas – wariancie przewagi rosyjskiej Niemcy mogą wystawić Ukrainę do wiatru i znowu mizdrzyć się do Kremla. Tak samo może być – nawet bez rosyjskich sukcesów – w przypadku wygranej AfD w Niemczech.

Po drugie, nie wiadomo, co zrobi Tusk. Został już kilkakrotnie ośmieszony przez Zełenskiego i znając jego charakter, ma osobiste powody, by się odegrać. W tej chwili nastroje w jego partii powoli ewoluują – od wielkiego entuzjazmu wobec Zełenskiego do widocznej powściągliwości, a nawet krytyki. Oczywiście nic w KO nie dzieje się spontanicznie i podobnie jak w wielu innych kwestiach następuje delikatne przesunięcie wajchy w ślad za najnowszymi sondażami.

Trudno jednak wyobrazić sobie Tuska przeciwstawiającego się Niemcom. Na razie wyczekuje na dalszy ciąg wydarzeń. Zełenski o tym wie i robi swoje. Chyba że wydarzy się coś niewyobrażalnego.

eprasa.pl 166cbf2463



Co zrobiono Nawrockiemu?

Sprawa tajemniczej zapaści Karola Nawrockiego w czasie kampanii prezydenckiej najpewniej nigdy nie zostanie wyjaśniona. Ale to nie wyklucza podejrzeń, że była to próba wyeliminowania kandydata przez jego polityczną konkurencję. Nie tyle przez otrucie, ile doprowadzenie do kompromitacji. Takie rzeczy działy się już w Polsce

PIOTR GURSZTYN

eprasa.pl 166cbf2463

Szokująco brzmi fragment wywiadu rzeki, którego udzielił Karol Nawrocki prof. Andrzejowi Nowakowi. To opis tego, co wydarzyło się w Ząbkowicach Śląskich 15 maja ub.r.

COŚ ZŁEGO SIĘ ZE MNĄ STAŁO

„Miałem wtedy sytuację naprawdę mocno podbramkową. Był moment grozy, który do dziś pamiętam bardzo wyraźnie. Mówię czasem, że wybory prezydenckie wygrałem w Dzierżoniowie – choć właściwie zaczęło się to jeszcze w Ząbkowicach Śląskich. [...] Kończę mówić i nagle czuję, że dzieje się ze mną coś bardzo złego. Nagłe osłabienie, jakbym dostał konkretny cios w szczękę. Jakby nagle ktoś wyłączył mi organizm. [...]

Mówię sobie: dobra, dojadę, dojadę. Idę z Jarkiem Dębowskim i mówię: Jarek, musisz mi dać wodę. On patrzy na mnie i mówi: szefie, co się z tobą dzieje? Ja mówię: nie wiem, ale bardzo źle się czuję. Coś bardzo złego się ze mną stało. Jeszcze macham ludziom, jeszcze próbuję normalnie funkcjonować, ale już wiem, że jest źle. Mówię: szybko zaprowadź mnie do autokaru i od razu mnie połóż na podłodze. Zaprowadzili mnie. Dostałem wodę, wypiłem ją. Z tyłu siedzieli jeszcze jacyś ludzie z obsługi, ale ja już czułem, że po prostu zjeżdżam, film mi się urywa. Jarek od razu zaczął krzyczeć, żeby wszyscy wyszli z autokaru. [...]

Zaciągnęli czarne zasłony, staliśmy na ulicy. Wyszli wszyscy. Ja tylko położyłem się na tylnym siedzeniu – i straciłem przytomność. I od tego momentu nie pamiętam. Obudziłem się po jakimś czasie. Wszystkie okna zasłonięte. Nade mną stoją bladzi Mikołaj, Jakub i Jarek. W życiu nie miałem czegoś takiego. Autokar, cały garnitur, wszystko – kompletnie zbryzgane moimi gwałtownymi wymiotami. Wszystko. Oni potem opowiadali, że nie mogli na to patrzeć. Mówili, że wyglądało to jak fontanna, porównywali to do filmu »Egzorcysta« – kopałem nogami, rzucało mną, kompulsywnie wymiotowałem. A gdy się obudziłem, to nie wiedziałem, co się wydarzyło przez te kilka minut".

Co się mogło stać? Czy może to jakaś przyczyna naturalna? Tak, to możliwe. Kampania była prowadzona w sposób ekstremalnie intensywny. Bardzo mało snu, nieregularne i przypadkowe posiłki. W ogóle wręcz wariackie tempo. Zmęczenie, niewyspanie, silny stres połączony z niespodziewanymi wahaniami adrenaliny plus ewentualne odwodnienie organizmu, nagła hipoglikemia, czyli spadek cukru. To wszystko mogło doprowadzić do niespodziewanej zapaści. Po raz pierwszy w życiu młodego i silnego przecież fizycznie człowieka, jakim jest Karol Nawrocki.

> „Kończę mówić i nagle czuję, że dzieje się ze mną coś bardzo złego. Nagłe osłabienie, jakbym dostał konkretny cios w szczękę. Jakby nagle ktoś wyłączył mi organizm" – opisywał w wywiadzie rzece Karol Nawrocki

Nagranie z wiecu w Ząbkowicach, a także jego późniejszych wystąpień, ukazują kandydata jako mówcę energicznego, pełnego wigoru. Czyli groźny epizod miał miejsce, ale potem już się nie powtarzał. To oczywiście nie wyklucza diagnozy o naturalnej przyczynie zapaści, ale zmusza do zadania kolejnych pytań. Jest bowiem pewne poważne „ale". To okoliczności, które towarzyszyły temu zdarzeniu. Można je potraktować jako pierwszą poszlakę.

„To było jedno z tych spotkań, które właściwie mogło się nie odbyć, bo lało tak mocno, że wszystko się rozpadało organizacyjnie. Dziwnie zachowywały się też telewizje związane z moim kontrkandydatem. Nawet kiedy zjechałem z trasy, bo chciałem zobaczyć tereny popowodziowe – czego w ogóle nie było w planie – nagle pojawili się dziennikarze, jakaś dziwna kamera nas śledziła jeszcze po tym obiedzie. Podeszli do nas, no dobrze, kandydat na prezydenta jest śledzony, to jeszcze można zrozumieć, ale oni byli dziwnie skupieni na jednym: czy ja na pewno wsiądę do pociągu między Ząbkowicami Śląskimi a Dzierżoniowem. Bo wyjątkowo miałem tę trasę pokonać normalnym pociągiem regionalnym, a nie swoim kampanijnym autobusem. To Michał Dworczyk przygotowywał ten przejazd. A oni dopytywali wszystkich wyłącznie o to: czy Nawrocki zdąży na ten pociąg, czy pojedzie tym pociągiem. Ja mówiłem: realizuję plan, jadę dalej. Ale oni nie odpuszczali".

MOŻLIWE SCENARIUSZE

Ujawnienie zdarzenia z Ząbkowic wywołało spekulacje. Część głosów z prawicy brzmiała bardzo nerwowo – niektóre osoby wyrażały przekonanie, że była to próba otrucia Karola Nawrockiego. Wyeliminowania go z walki o prezydenturę wręcz przez zamordowanie za pomocą trucizny. To chyba jednak zbyt daleko idące przypuszczenia ze względu na absolutnie nieprzewidywalne skutki (w tym międzynarodowe) politycznego mordu.

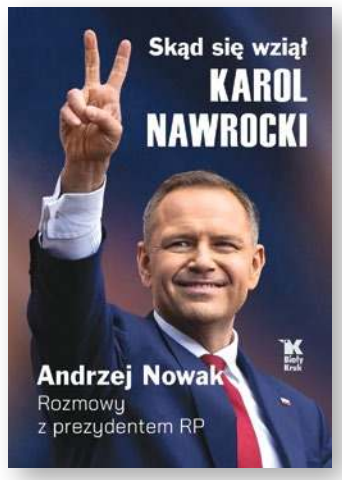
Prawdopodobne jest natomiast co innego: chęć całkowitego skompromitowania Karola Nawrockiego. Podtrucie, które skutkowałoby utratą przytomności w obecności kamer telewizyjnych. A także całkowicie nieestetycznym obrazem kandydata zabrudzonego własnymi wymiocinami. Zabójczy obraz, po którym nie sposób uratować kampanii wyborczej. Niewyczerpane źródło drwin i insynuacji. Zostałoby to wkomponowane w propagandowy przekaz, jakim Platforma Obywatelska i sprzyjające jej media usiłowały zdyskredytować Nawrockiego – jako człowieka z półświatka, kibola, który na dodatek jest narkomanem.

W związku z tym nie ma też nic dziwnego, że sprawa nie została wówczas ujawniona. Gdyby wyszła na jaw, z miejsca ruszyłby zmasowany atak

Fot. #Nawrocki2025

eprasa.pl 166cbf2463

na kandydata. To, jak by wyglądał, pokazały reakcje na wiadomość o incydencie z Ząbkowic. „Ciekawe, Karol, że uważasz, iż utrata przytomności, drgawki i wymioty wzięły się od całowania kobiet w ręce, a nie od białego proszku, który przyjmujesz co 15 minut" – to wpis naczelnego hejtera KO, czyli Romana Giertycha. „Do końca nie wiemy, co prezydent zażywa, a pytania o jego nałogi, z racji tego, że jest zwierzchnikiem sił zbrojnych, są uzasadnione" – to z kolei insynuacje jednego z najbardziej agresywnych cyngli „Gazety Wyborczej".



Trzeba przy tym zauważyć, że obaj hejterzy poszli fałszywym tropem. Gdyby Nawrocki zatruł się nikotyną pochodzącą ze snusu, to później by jej nie używał. A najsłynniejszy obrazek, gdy kandydat prawicy oddawał się swojemu nawykowi (z debaty w Końskich) pochodził z 23 maja – osiem dni po tajemniczej zapaści. Jest bardzo możliwe, że sztab Rafała Trzaskowskiego (a właściwie pracujące na jego kampanię specsłużby) wiedział o zażywaniu nikotyny przez Nawrockiego i wcześniej chciał wykorzystać to jako metodę dyskredytacji. W Ząbkowicach się nie powiodło, ale Nawrocki i jego ludzie nie wyciągnęli odpowiednich wniosków, więc w czasie debaty kandydat dał się sfotografować z używką. W tym przypadku chodziło o całkowicie legalne w Polsce saszetki nikotynowe, które są jednak używką dość egzotyczną, więc stwarzającą możliwości do rozbudzania całkowicie przerysowanego i fałszywego wizerunku kontrkandydata.

To po tym zdarzeniu, 27 maja, Nawrocki zrobił test na narkotyki. Okazał się czysty, przy czym w kontekście tego, co zdarzyło się w Ząbkowicach, nie zostały odnotowane jakieś tajemnicze substancje psychoaktywne. To akurat nie jest dziwne – wiele z nich zostało tak opracowanych, aby ślad po nich znikał z organizmu bardzo szybko.

Jednocześnie elementem kampanii Nawrockiego (także obecnie, w czasie prezydentury) jest jego wizerunek aktywnego sportowca. To też jest ważna wskazówka – gdyby z jednej strony (jak insynuują jego wrogowie) zażywał jakieś narkotyki, to nie byłby w stanie uprawiać sportu w sposób tak intensywny. To też sugestia, że przyczyną zapaści raczej nie było jakieś nierozpoznane do tej pory schorzenia, np. napad padaczkowy. Prezydent RP jest pod dobrą opieką lekarską, więc po roku byłoby to wiadome, a wtedy Nawrocki nie opowiadałby publicznie o tak intymnym problemie.

Odnotujmy jeszcze jedno zdarzenie. Osławiony dzisiaj lekarz Dawid Kacprzyk w reakcji na test Nawrockiego pisał w czasie kampanii wyborczej: „Panie Nawrocki, a gdzie opioid?". Dodał jeszcze: „Ostatnio dużo słyszymy i widzimy w szpitalach pacjentów po nadużyciu fentanylu, który można przyjmować właśnie doustnie. Ktoś chyba zapomniał o najważniejszym narkotyku...". Czy to coś oznacza? Może tylko to, że Kacprzyk jako polityk PO dołączył do zmasowanego hejtu pod adresem Nawrockiego. A może więcej – że będąc dobrze ustosunkowaną postacią w obozie władzy, blisko ministra spraw wewnętrznych, powtarzał echa krążących tam pogłosek. Np. na temat jakieś przygotowywanej Wunderwaffe, która miała nieodwołalnie pogrążyć Nawrockiego.

Przebieg kampanii prezydenckiej pokazał przecież, że PO nie cofała się przed żadną sposobnością, by zatrzymać Karola Nawrockiego. Donald Tusk włączył się w to publicznie, powołując się na „postać znaną", czyli Jacka Murańskiego. Działo się to zresztą w tym samym czasie, bo 27 maja. W niszczenie Nawrockiego były zaangażowane specsłużby, wyciągając dane z jego Ankiety Bezpieczeństwa Osobowego. Jak podawał tygodnik „Wprost", posłanka PO miała szukać w Trójmieście osób, które oskarżyłyby Nawrockiego o sutenerstwo w czasie, gdy jeszcze jako student dorabiał jako ochroniarz w Grand Hotelu. Nie znalazła, ale tekst – bazujący wyłącznie na anonimowych wypowiedziach – ukazał się w Onecie. Miała to być zresztą seria tekstów. Skończyło się na jednym i procesie wytoczonym przez Nawrockiego, który trwa do tej pory, bowiem prezydent odrzuca starania Onetu o ugodę.

JANOWSKI, GRUSZKA, JARUCKA…

Czy w dzisiejszej Polsce podanie komuś środków psychoaktywnych jest czymś całkowicie niemożliwym? Jeśli ktoś temu zaprzecza, to jak wytłumaczy sprawę dziwnego zachowania Gabriela Janowskiego?

18 stycznia 2000 r. cała Polska zobaczyła, jak ten liczący wtedy 53 lata poseł AWS, były minister rolnictwa, wykładowca akademicki, wykonuje w Sejmie dziwne skoki, wydając przy tym absurdalne okrzyki. Nigdy przedtem nie zdarzyło mu się nic takiego. Później również. Sprawa miała związek z prywatyzacją polskich cukrowni, czemu Janowski mocno się przeciwstawiał. Protestował także przeciw wyprzedaży sektorów bankowego i energetycznego. Trwała wówczas debata nad odwołaniem odpowiedzialnego za to ministra skarbu Emila Wąsacza. Janowski był jednym z głównych inicjatorów wniosku o odwołanie.

Incydent w Sejmie całkowicie go ośmieszył i skutecznie wyeliminował z życia politycznego. Po wielu latach, w 2022 r., opublikował oświadczenie w sprawie tamtego zachowania, w którym stwierdził, że podano mu wtedy narkotyki. „Doktor Arwid Hansen w styczniu 2000 r., czyli natychmiast po wydarzeniach, wydał niezależną ekspertyzę, która potwierdza, iż w dniu 16 stycznia 2000 r. zostałem celowo otruty narkotykami. Cel działania był świadomy i miał on mnie wyeliminować z życia społecznego" – napisał w swym oświadczeniu i wskazał sprawcę: „Pytacie, kto mi to zrobił. Kto tak niegodziwie wobec mnie postąpił. Otóż środki narkotyczne podał mi Zygmunt

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 166cbf2463

Hortmanowicz, lekarz z wykształcenia. Mój zastępca w związku. Został zarejestrowany przez Służbę Bezpieczeństwa 20 sierpnia 1971 r.". Wcześniej Janowski też wskazywał na Hortmanowicza. Znaczące jest przy tym to, że mężczyzna (zmarł w maju 2023 r.) nie odniósł się do oskarżeń.

Jest też druga sprawa. Bardziej tragiczna. To historia posła PSL Józefa Gruszki, przewodniczącego sejmowej komisji śledczej ds. afery ORLENU. 10 kwietnia 2005 r. pił kawę i w tym samym momencie powalił go masywny udar mózgu. Po wybudzeniu ze śpiączki farmakologicznej i rehabilitacji był już tak niedołężny, że w ogóle nie wrócił do życia publicznego. Posłowie PSL komentowali, że wylew Gruszki „to nie przypadek", choć według oficjalnych ustaleń był to wynik nadciśnienia. W naturalne przyczyny nie wierzyła także rodzina. Żona opowiadała w mediach, że wcześniej nie było żadnych niepokojących sygnałów.

Badający sprawy i sprawki specsłużb historyk Sławomir Cenckiewicz zamieścił komentarz na wiadomość o tym, że Gruszka zmarł (w 2020 r.): „Był obiektem dużych kombinacji operacyjnych tajnych służb... Stracił zdrowie! Jego historia to przestroga. Wiele by pisać... Mam nadzieję, że będzie państwowy pogrzeb".

Sprawa tajemniczego wylewu Gruszki przypomina też zaskakującą śmierć Michała Falzmanna, inspektora NIK, który wykrył gigantyczne malwersacje w Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego. W wieku zaledwie 37 lat zmarł niespodziewanie na zawał serca, mimo że wcześniej nie miał problemów kardiologicznych. Rodzina Falzmannów otwarcie mówi, że nie wierzy w naturalny charakter śmierci inspektora.

Wracając do sprawy posła Gruszki, trzeba też przypomnieć historię jego asystenta Marcina Tylickiego. W marcu 2005 r., a więc krótko przed wylewem posła, został aresztowany przez ABW pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Rosji. 27-letni wówczas student został zatrzymany w sposób maksymalnie teatralny – na ulicy zajechały mu drogę trzy samochody. Akcja miała miejsce w nieprzypadkowym momencie – na kilka dni przed wyznaczonym terminem przesłuchania przed komisją śledczą prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Wiceprokurator generalny ogłosił na cały kraj, że asystent „jednego z ważnych członków komisji śledczej" może być współpracownikiem obcego wywiadu. Tylicki spędził w areszcie trzy miesiące (sąd nakazał jego wypuszczenie, co było dotkliwą porażką prokuratury). Pod dwóch latach Sąd Okręgowy orzekł, że „nigdy w jakikolwiek sposób nie wyraził gotowości do współpracy z obcym wywiadem".

> Czy w dzisiejszej Polsce podanie komuś środków psychoaktywnych jest czymś całkowicie niemożliwym? Jeśli ktoś temu zaprzecza, to jak wytłumaczy sprawę dziwnego zachowania Gabriela Janowskiego?

W opisanych wyżej sprawach nikt nie poniósł odpowiedzialności. Co więcej, nawet dokładnie nie wiadomo, kto był sprawcą lub faktycznym inicjatorem tych działań. Jest jednak historia, w której wiemy, kto był autorem intrygi politycznej, choć tam szczęśliwie obyło się bez dosypywania środków psychoaktywnych. Warto ją przypomnieć, bo sprawców złapano za rękę. To sprawa Anny Jaruckiej.

Była asystentka ministra spraw zagranicznych Włodzimierza Cimoszewicza oskarżyła go o to, że okłamał posłów w sprawie sprzedaży PKN ORLEN. Rzecz działa się latem 2005 r., tuż przed wyborami prezydenckimi. Cimoszewicz był uważany niemal za faworyta wyścigu po prezydenturę. W tamtym czasie wydawało się, że wybory rozstrzygną się między nim a Lechem Kaczyńskim. Kandydujący wówczas Donald Tusk nie był wtedy uważany za osobę, która ma szansę na wejście do drugiej tury. Oskarżenie Cimoszewicza przez Jarucką było sprawą bardzo zagmatwaną, ale finalnie okazało się, że to ona sfałszowała dokument swojego szefa, co ostatecznie potwierdził sąd, skazując ją na więzienie (w zawieszeniu) za składanie fałszywych zeznań i posługiwanie się sfałszowanym dokumentem.

Zanim do tego doszło, Cimoszewicz nie wytrzymał presji i wycofał się z wyborów prezydenckich. Zrobiło się miejsce, które zajął Tusk. I tu jest najciekawszy moment. Skąd wzięła się Jarucka, postać do tamtej pory całkowicie nieznana? Przed komisję przyprowadzili ją nieprzypadkowi ludzie: wysoki funkcjonariusz UOP i ABW, blisko związany z PO, Wojciech Brochwicz oraz poseł tej partii, wcześniej również funkcjonariusz UOP, Konstanty Miodowicz. Do Jaruckiej dotarli prawdopodobnie przez jej męża, który był pracownikiem ABW. Sprawa na kilometr śmierdziała intrygą polityczną. Ludwik Dorn w jej kontekście nazwał Brochwicza „uosobieniem wszystkich patologii służb specjalnych". Obrażony Brochwicz podał go do sądu i... przegrał.

Finalnie przegrała jednak Jarucka jako narzędzie intrygi. Miodowiczowi i Brochwiczowi nic się nie stało. Największy zysk natomiast osiągnął szef ich partii, czyli Donald Tusk. Do wygrania wyborów prezydenckich brakowało mu niewiele. Wprawdzie je przegrał, ale osiągnął wtedy polityczną pozycję, z której korzysta do dzisiaj.

Przy sprawach takich jak intryga z wykorzystaniem Jaruckiej, wykończeniem Gruszki czy nieudanym finalnie podtruciem Nawrockiego zawsze jest bardzo dużo niewiadomych. Ale wtedy trzeba zadać klasyczne pytanie: *cui bono*? Czyli kto skorzystał lub miał skorzystać ze skutków takiego działania. Nie ma lepszej metody zawężenia kręgu winnych.

eprasa.pl 166cbf2463

Koalicja Obowiązkowa

Ważniejsze od tego, czy Koalicja Obywatelska pójdzie do wyborów razem z Polskim Stronnictwem Ludowym, jest stworzenie prawicowej alternatywy



STANISŁAW JANECKI

Na początku lipca 2026 r. sprawa wygląda tak, że „na jedną nóżkę" prezes Polskiego Stronnictwa Ludowego Władysław Kosiniak-Kamysz marzy o pójściu na wybory w 2027 r. razem z Szymonem Hołownią, a „na drugą nóżkę" ma już być dogadany z Donaldem Tuskiem w sprawie jednej listy jego partii z Koalicją Obywatelską.

29 czerwca 2026 r. Kosiniak-Kamysz drwił w Polsat News z tego, że nie po raz pierwszy jest wpychany w ramiona przywódcy jakiejś innej partii, podczas gdy on święcie wierzy w potencjał i możliwości własnego ugrupowania. W ten sposób dał „odpór" plotkom, intensywnie szerzonym pod koniec czerwca 2026 r., jakoby nie tylko porozumiał się z Tuskiem,

Fot. Andrzej Wiktor

lecz także już nawet załatwił liczne „jedynki" na wspólnych listach dla kandydatów PSL. Prezes Stronnictwa i wicepremier oraz minister obrony w rządzie Donalda Tuska za dobrze zna lidera KO, a w przeszłości zanadto bezlitośnie był przez niego wykorzystywany w złych sprawach, by tak wcześnie i jednoznacznie przyznać, że albo będzie z Tuskiem, albo nie będzie go wcale. Bo w ten sposób stałby na „ujemnej" pozycji negocjacyjnej. A tego nie chce, stąd jego „marzenie" wyrażone 29 czerwca o odnowieniu sojuszu z Szymonem Hołownią, mimo że obecnie to tylko cień dawnego Hołowni.

Kosiniak-Kamysz najbardziej lubi stwarzać pozory, w tym rozpowszechniać bajki o potędze PSL jako samodzielnej sile, tylko dlatego dołującej w sondażach (2–4 proc. poparcia), że istnieje sondażowo-medialny spisek przeciwko tej partii. A pozory i bajki opowiada zwykle do chwili zarejestrowania komitetów wyborczych, by za wcześnie nie potwierdzić, że jako samodzielny byt nie ma żadnych szans. Tak przecież było przed wyborami w 2019 r., gdy Władysław Kosiniak-Kamysz poszedł do nich razem z Pawłem Kukizem. Nieco inaczej stało się przed wyborami w 2023 r., gdy koalicja z Szymonem Hołownią była reklamowana dużo wcześniej jako „nowa jakość". W PSL od 35 lat obowiązuje niepisany zakaz „skrętu w prawo", dlatego ta partia nigdy nie weszła do rządzącej koalicji z prawicą czy konserwatystami, mimo że przedstawia samą siebie jako prawicową i konserwatywną. Powód jest prosty: na prawicy PSL nie jest żadną prawicą i nic nie może na tym ugrać, w obozie liberalno-lewicowym jest natomiast w stanie bez przeszkód udawać prawicę i ściągać pod ten fałszywy adres część wyborców prawej strony. Gdy Kosiniak-Kamysz jest przyciśnięty do muru – czyli obecnie do Tuska – będzie udawał polityczną dziewicę tak długo, jak się da. Ale nigdy nie zamierzał naprawdę dogadać się z Prawem i Sprawiedliwością, nawet gdy oferowano mu funkcję premiera. Zatem także z Mateuszem Morawieckim, gdy ten założył Stowarzyszenie Rozwój Plus.

SAMODZIELNIE, ALE...

Na początku lipca 2026 r. deklaracje są takie, że zarówno PSL, jak i KO pójdą do wyborów w 2027 r. samodzielnie. Kosiniak-Kamysz wykonał już jednak konkretne kroki, by Tusk dał mu jak najwięcej, gdy będzie tego potrzebował. Brał udział we wskazaniu i wspólnej z premierem prezentacji Moniki Piątkowskiej jako kandydatki na prezydenta Krakowa. Doprowadził również do tego, że Magdalena Sobkowiak-Czarnecka została wiceministrem obrony, a wcześniej była odpowiedzialna za program SAFE. Obie kobiety zostały zaakceptowane przez Tuska, mimo że wcześniej były związane z PSL.

> Z otoczenia Tuska można usłyszeć, że pogrywa on sobie z liderem PSL, kwestionując to, iż ludowa partia byłaby w ewentualnej koalicji wartością dodaną. Ma to działać jak zimny prysznic na ambicje i mocarstwowe mity Kosiniaka-Kamysza

W 2011 r. Piątkowska kandydowała z listy PSL do Sejmu, w 2014 r. – do Parlamentu Europejskiego, a w latach 2019–2025 była prezesem Izby Zbożowo-Paszowej (ważnej w dominium PSL). Sobkowiak-Czarnecka w latach 2019–2023 była szefową zespołu doradców Kosiniaka-Kamysza, a w 2020 r. odpowiadała za jego kampanię prezydencką. Obie kobiety są traktowane przez lidera PSL jako jego aktywa i jeśli ta pierwsza wygrałaby w Krakowie, a ta druga nadal ugniatałaby Tuska jak plastelinę, co robiła przez ostatnie miesiące, byłyby gwarancją uzyskania przez ludowców od obecnego premiera maksimum ustępstw, także w kwestii kształtu list wyborczych oraz podziału pieniędzy z subwencji po wyborach.

W punkcie wyjścia pozycja PSL nie jest wcale mocna. Z otoczenia Tuska można usłyszeć, że pogrywa on sobie z liderem Stronnictwa, kwestionując to, iż ludowa partia byłaby w ewentualnej koalicji wartością dodaną. Ma to działać jak zimny prysznic na ambicje i mocarstwowe mity Kosiniaka-Kamysza. Tusk wie, że utworzenie jednej listy dla całej koalicji rządzącej jest nierealne, a koalicja z PSL interesuje go tylko w takim wariancie, że pożre tę partię, tak jak wcześniej Nowoczesną, a przynajmniej w pełni zwasalizuje. Tusk otwarcie mówił Kosiniakowi-Kamyszowi, iż sondaże nie prognozują żadnej wartości dodanej ani jednej liście całej obecnej koalicji rządzącej, ani wariantowi KO–PSL. Według czerwcowego badania CBOS żaden z koalicjantów KO nie wszedłby do nowego parlamentu. Inaczej sądzi Grzegorz Schetyna, były przewodniczący Platformy Obywatelskiej i były marszałek Sejmu, ale on po prostu nie życzy dobrze Tuskowi.

CZY PSL DA SIĘ ODKLEIĆ OD KO?

Mało kto – zarówno po stronie rządzącej koalicji, jak i opozycji – uważa, że były premier Mateusz Morawiecki przekona Władysława Kosiniaka-Kamysza, by oderwał się od Donalda Tuska. W ramach tego przekonywania Morawiecki i jego ludzie poparli projekt ludowców dotyczący programu SAFE, który czerpie wiele z projektu prezydenta Karola Nawrockiego. 1 kwietnia 2026 r. w podrzeszowskiej Jasionce doszło do spotkania Kosiniaka-Kamysza i Morawieckiego. Debatowali o kwestiach bezpieczeństwa Polski i mimo różnic oraz wypominania sobie błędów znaleźli punkty wspólne.

Wbrew stanowisku PiS były premier wsparł Kosiniaka-Kamysza w jego walce z zasadą dwukadencyjności w samorządach. „Ja akurat chyba w 2018 r. i 2019 r. nie byłem posłem i nie głosowałem w sprawie dwukadencyjności, i też uważam, że tam są wątpliwości konstytucyjne, a po drugie, też uważam, że tutaj ludzie powinni wybierać" – przekonywał Morawiecki. W sprawie SAFE zadeklarował: „Nawet jeżeli część waszej koalicji będzie przeciw,

eprasa.pl 166cbf2463

to my zagłosujemy za tym projektem". Kosiniak-Kamysz zareagował tak, że rozmawiał w sprawie tego projektu z marszałkiem Czarzastym: „Chciałbym, by numer druku był nadany i prace rozpoczęły się zaraz po świętach. O ewentualnych wątpliwościach możemy rozmawiać w komisjach. Jeśli jest deklaracja [Morawieckiego], to mnie to tylko cieszy". Warto dodać, że dotychczas żaden z koalicjantów PSL nie poparł tego rozwiązania tak jak Morawiecki. Gdyby ludowcy przy wsparciu PiS doprowadzili do przyjęcia ustawy o SAFE przy jednoczesnym sprzeciwie pozostałych koalicjantów, oczywiste byłyby polityczne konsekwencje tego faktu. Przesadzone są jednak wnioski, że Kosiniak-Kamysz wiele by w ten sposób ryzykował. Przecież chodzi mu wyłącznie o poprawienie swojej pozycji negocjacyjnej, tym bardziej że na życzenie Tuska Senat bez trudu zablokowałby ustawę o SAFE. W kwietniu 2026 r. agencja SW Research zbadała dla Onetu, jak Polacy zapatrują się na to, że przed wyborami parlamentarnymi w 2027 r. Morawiecki połączyłby siły z PSL. Blisko jedna trzecia (33,1 proc.) badanych uważa, że tak się nie stanie, a na możliwy polityczny mariaż byłego premiera PiS z PSL wskazało tylko 14,2 proc. ankietowanych. Aż 52,5 proc. badanych nie miało w tej kwestii zdania.

Wprawdzie w sprawie wspólnej listy KO z PSL wszyscy zainteresowani na razie tylko „ściemniają", lecz taki scenariusz nie może być ignorowany przez opozycję. Na razie nikt nie mówi o przedwyborczej koalicji prawicy na wybory do Sejmu, ale inaczej jest już z Senatem. Ideę prawicowego paktu senackiego poparł 17 marca 2026 r. na antenie telewizji wPolsce24 wicemarszałek Sejmu, jeden z liderów Konfederacji, Krzysztof Bosak. Stwierdził, że takie porozumienie „polega na ustąpieniu sobie nawzajem okręgów wyborczych. Każdy robi kampanię, mówi, w co wierzy w swoich okręgach i na tym, że nie wchodzimy sobie w szkodę". W październiku 2025 r. Sławomir Mentzen, lider Konfederacji, stwierdził: „Gdyby Karol Nawrocki był takim gospodarzem paktu senackiego szerokich sił prawicowych, byłoby to bardzo ciekawe rozwiązanie". Zareagował wtedy wiceprezes PiS Przemysław Czarek: „Jest to możliwe. To trzeba zawsze rozważyć. Dlatego że mamy taką, a nie inną ordynację wyborczą senacką przy jednomandatowych okręgach wyborczych". Prawicowy pakt senacki miałby polegać na porozumieniu między głównymi ugrupowaniami prawicowymi, przede wszystkim PiS a Konfederacją, by wystawić wspólnych lub niekonkurujących z sobą kandydatów.

WYZWANIE DLA PRAWICY

Idea prawicowego paktu senackiego jest bezpośrednią odpowiedzią na sukcesy tzw. paktu senackiego ugrupowań centrolewicowych (KO, Trzecia Droga, Lewica), który w wyborach w 2023 r. pozwolił obecnej koalicji rządzącej na zdominowanie wyższej izby parlamentu (63 mandaty) dzięki unikaniu rozproszenia głosów w jednomandatowych okręgach wyborczych. Pomysł zaczął być przedmiotem poważnej debaty w drugiej połowie 2025 r. Jednym z kluczowych zwolenników rozmów o pakcie był wtedy Mentzen, który sugerował, by rolę „patrona" lub mediatora takich negocjacji odgrywał prezydent Nawrocki. Głównym założeniem paktu jest uniknięcie sytuacji, w której kandydaci PiS i Konfederacji rywalizują o ten sam elektorat w jednym okręgu, co dotychczas często ułatwiało zwycięstwo kandydatowi strony przeciwnej. Według prognoz z początku 2026 r. taki sojusz dałby prawicy realną szansę na odzyskanie większości w Senacie.

Mimo spodziewanych korzyści porozumienie w sprawie paktu nie jest łatwe, gdyż po pojawieniu się tego pomysłu część polityków Konfederacji (np. Sławomir Mentzen) deklarowała niechęć do bezpośrednich układów z Jarosławem Kaczyńskim. Z kolei przedstawiciele PiS (np. Jacek Sasin) sceptycznie odnosili się do niektórych warunków stawianych przez mniejszych partnerów. Środowisko Grzegorza Brauna podkreślało, iż żadna koncepcja dająca szansę na przejęcie Senatu nie powinna być zlekceważona, co sugeruje gotowość do pragmatycznej współpracy mimo różnic programowych. Grzegorz Płaczek, przewodniczący Klubu Poselskiego Konfederacji, poinformował w TVN24, że rozmawiał o takim projekcie z prezydentem Nawrockim. Pytany, czy w pakcie senackim prawicy znajdzie się miejsce dla partii Brauna, Konfederacji Korony Polskiej, odpowiedział: „Jak, po pierwsze, prezydent Nawrocki wyjdzie z propozycją takiego paktu, to myślę, że sam zdecyduje o tym, kogo zaprosić do stołu".

Pakt senacki prawicy mógłby stanowić wstęp do utworzenia prawicowej koalicji, ale raczej po wyborach jesienią 2027 r., a nie przed nimi. Tym bardziej że z wielu sondaży wynika, iż taka koalicja miałaby większość. Samo zawarcie takiego porozumienia mogłoby okazać się mobilizujące dla elektoratu prawicy, by w jak największej liczbie wzięła udział w wyborach. Deklaracja, że za paktem senackim pójdzie utworzenie koalicyjnego rządu prawicy, pozwoliłoby zaś na uniknięcie walki prawicowych kandydatów ze sobą zamiast z kandydatami obecnie rządzących partii. Mogłoby to zadziałać, tak jak w 2023 r. zadziałało zawarcie koalicyjnego porozumienia między KO, Lewicą i Trzecią Drogą. Dlatego rządzący boją się paktu senackiego i zohydzają jedną z potencjalnych stron tego porozumienia – Konfederację Korony Polskiej.

Ważne, że nie tylko w PiS, lecz także w Konfederacji i Konfederacji Korony Polskiej coraz powszechniej myśli o tym, iż najważniejsze jest odsunięcie od władzy koalicji 13 grudnia, która okazała się najbardziej szkodliwa dla Polski po 1989 r. A to nie będzie możliwe bez decyzji o wspólnym tworzeniu rządu, co jest realne, skoro od wielu miesięcy łączny wynik PiS, Konfederacji i ugrupowania Brauna daje im bezpieczną większość w Sejmie. Gdyby pakt senacki zapewnił im też większość w Senacie, byłaby wielka szansa nie tylko na przejęcie władzy oraz zatrzymanie katastrofalnego niszczenia i zadłużania państwa, lecz także możliwość realnego osądzenia tych, którzy sprowadzili na Polskę wielowymiarową katastrofę. I to traktując wreszcie poważnie artykuły Kodeksu karnego o „przestępstwach przeciwko Rzeczypospolitej Polskiej": 127 (zamach stanu), 128 (zamach na konstytucyjny organ RP) i 129 (zdrada dyplomatyczna). Na prawicy powszechne jest już przekonanie, że Polska bez tego nie przetrwa. I to jest dużo ważniejsze od różnic dzielących obecnie partie prawicowe.

eprasa.pl 166cbf2463

Zamiotą aferę pod dywan



Patologie w Szpitalu Południowym to nie jest incydentalna sprawa, tylko druga afera szpitalna warszawskiej Koalicji Obywatelskiej. Dwa miesiące temu, po interwencji mojej i Sebastiana Kalety, doszło do wyrzucenia prezesa Szpitala Grochowskiego

Z Januszem Cieszyńskim, byłym wiceministrem zdrowia i byłym ministrem cyfryzacji w rządzie PiS, rozmawia Dorota Łosiewicz

Co pana najbardziej bulwersuje w związku z aferą wokół Warszawskiego Szpitala Południowego, która porusza opinię publiczną już od kilku tygodni?

Janusz Cieszyński: Najbardziej bulwersującym wątkiem jest ten związany z prosektorium. To, że Dawid Kacprzyk przepychał swoich znajomych w kolejce, a nawet stworzył dla niej specjalną „skróconą ścieżkę" czy VIP room, są oczywiście oburzające, ale jednak ktoś był leczony. A w przypadku prosektorium miał być prowadzony biznes pogrzebowy, czego zakazuje prawo. Wiemy, że koordynator prosektorium promował zakład należący do swojej wspólniczki z innej firmy i utrudniał odbieranie ciał zmarłych osób, gdy rodzina chciała skorzystać z usług konkurencji. Publikował też w internecie drastyczne zdjęcia rozczłonkowanych ludzkich ciał i zapraszał do prosektorium ekipy filmowe, z czego skorzystał mąż marszałek Senatu Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Mamy tu do czynienia z chyba najbardziej obrzydliwą rzeczą, jaka może być, czyli z zarabianiem na ludzkim cierpieniu. Im większe ludzkie cierpienie, tym większy był zarobek.

Niebywała kumulacja patologii w miejscu, które jest dumą prezydenta stolicy i które teoretycznie pozostaje przez niego nadzorowane.

Co to w ogóle za upiorny szpital? Złodziej na SOR, oszust w prosektorium. Czy tam było cokolwiek, co działało tak, jak trzeba? Uporządkujmy po kolei te afery. Po pierwsze, mamy uprzywilejowaną kastę i parasol polityczny nad człowiekiem bez kwalifikacji. Dawid Kacprzyk, złote dziecko Koalicji Obywatelskiej, bez specjalizacji był koordynatorem SOR. Czyli na jednym z najtrudniejszych oddziałów w szpitalu, wymagającym interdyscyplinarnej wiedzy medycznej, decyzje mogła podejmować osoba, która zgodnie z prawem nawet nie jest w stanie wykonywać wszystkich procedur. Po drugie, słyszymy, że pan

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 166cbf2463





Artur Habowski, koordynator prosektorium Szpitala Południowego, urządził sobie w nim biznes pogrzebowy

Kacprzyk rekrutował lekarzy. Czyli człowiek, który sam nie posiadał wiedzy, decydował lub współdecydował o tym, kto będzie zatrudniony. Za tę pseudomedycynę płacono bajońskie sumy, bo Kacprzyk zarabiał więcej niż osoby z dużo większym stażem. A wszystko dlatego, że miał partyjną legitymację KO.

I jak twierdzi sygnalista dr Emil Jędrzejewski, z powodu tej niekompetencji cierpieli pacjenci.

A po tym, kiedy sygnalista przedstawił swoją wersję, wszystkie instytucje państwa z premierem na czele rzuciły się, by go zaszczuwać. To jest zorganizowane działanie, które ma jeden cel – doprowadzenie do tego, by nikt więcej nie podniósł głowy w sprawie afery w ochronie zdrowia.

Jednak po drugim przesłuchaniu, w obecności pełnomocnika, narracja o braku wiarygodności przycichła. Usłyszeliśmy, że będą zabezpieczone dodatkowe dokumenty, będą przesłuchani kolejni świadkowie, sygnalista musiał zatem powiedzieć coś, co zainteresowało prokuraturę.

Ale jak to możliwe, że te dokumenty nie zostały zabezpieczone natychmiast po tym, jak dr Jędrzejewski wypowiedział się na ten temat? To jest absolutny skandal! Na szczęście do szpitala weszło już CBA.

Politycy KO nazwali go nawet przestępcą, ponieważ nie zawiadomił wcześniej prokuratury. A przecież informował o nieprawidłowościach swoich bezpośrednich przełożonych, a następnie przełożonego bezpośrednich przełożonych, czyli prezydenta Warszawy.

Ale jak można informować prokuraturę, której rzecznik szczuje na sygnalistę? To są wstrząsające sprawy.

Zachęca pan sygnalistów do kontaktu i ujawniania różnych historii, ale jak pan sobie to wyobraża po tym, jak potraktowano Jędrzejewskiego? Uruchomiono przeciwko niemu cały aparat państwa. Inny sygnalista, z Zarządu Dróg Miejskich, który miał pisemne gwarancje nietykalności od prezydenta Trzaskowskiego, został zwolniony po dwóch miesiącach.

Gwarantuję pełną anonimowość. Dzwonią do mnie ludzie w naprawdę trudnych sytuacjach i chętnie mówią. Skarżą się np. na ośrodek zdrowia w swojej miejscowości. Jedyny. Nie chcą się wypowiadać publicznie, bo wiedzą, że jeżeli sprawa wypłynie, to mogą zostać w praktyce pozbawieni możliwości korzystania z usług lekarza w ramach NFZ w swojej miejscowości. Ci ludzie mówią tak: „Ja nawet tego nie robię dla siebie, ja to robię dla sąsiadów, dla osób, które tu mieszkają, bo tak po prostu nie może być". Zgłasza się do mnie bardzo wiele osób.

Gdy afera wybuchła, próbowano nas przekonać, że chodzi o problem systemowy, o wynagrodzenia lekarzy. Stąd ustawa, która ma pozwolić na kontrolowanie ich zarobków. Tylko co dalej, co z niej wynika?

Mamy tu podwójne kłamstwo. Po pierwsze, ustawa jest niepotrzebna. Jest bublem, ponieważ od 2018 r. istnieją przepisy, które pozwalają wyciągnąć z Urzędu Skarbowego PIT każdego lekarza w Polsce. Jeśli tylko ktoś sobie życzy, nie będzie miał żadnego problemu ze zdobyciem tej wiedzy. Po drugie, mówi się o pensjach lekarzy i jako przykład problemu wskazuje zarobki złodzieja Kacprzyka, który jedynie w Szpitalu Południowym jako koordynator SOR zarobił 1,6 mln zł. Tymczasem mamy do czynienia z sytuacją, w której Dawid Kacprzyk nie zarabiał minimalnej pensji wynikającej z ustawy, lecz pobierał wynagrodzenie, które wypłacili mu ludzie powołani przez jego kolegów z Koalicji Obywatelskiej. On *de facto* wyłudził te środki. Nie ma najmniejszej możliwości, by przepracował wskazaną liczbę godzin. On po prostu ukradł te pieniądze. A jeśli skorygował faktury i oddał część środków, to znaczy, że przyznał, iż dostał je niezgodnie z prawem, niezgodnie z umową, którą sam podpisał. Absolutnie nie boję się używania takich słów, bo to jest po prostu bulwersujące, że 29-letni człowiek bez

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 166cbf2463

odpowiedniego wykształcenia, bez odpowiednich umiejętności, bez kwalifikacji zarabiał tyle, że prawdopodobnie znalazł się wśród wątłego odsetka najlepiej zarabiających lekarzy w Polsce. Na pewno jest najlepiej zarabiającym lekarzem w tak młodym wieku.

Próbuje się nam również wmówić, że to po prostu afera o patologiach w ochronie zdrowia.

Koalicja Obywatelska chce przekonać opinię publiczną, że chodzi o patologię w ochronie zdrowia. Tymczasem to nie jest patologia w ochronie zdrowia, że najlepiej zarabiającym 28-latkiem jest radny KO. To jest patologia KO, bo każdy wie, że gdyby Dawid Kacprzyk nie był radnym tej partii, to by tyle nie zarabiał. Gdyby nie był politykiem, to ludzie nie baliby się zgłaszać nieprawidłowości. A bali się. Był strach przed tym, że dobrze ustawiony młody człowiek, z szerokimi plecami, rozprawi się z każdą osobą, która powie cokolwiek na jego temat. I dopiero teraz, gdy szambo wybiło, pojawiają się kolejni sygnaliści. Osobiście rozmawiałem z osobą, która potwierdziła, że w ubiegłym roku dyrekcja Szpitala Południowego w pewnym momencie wyłączyła z dostępu dla pacjentów jedną z sal i właśnie tam powstał słynny VIP room.

Kto powinien ponieść odpowiedzialność polityczną za tę historię?

Rafał Trzaskowski i Marcin Kierwiński. Oni obaj wspólnie trzęsą Warszawą. Marcin Kierwiński odgrywa rolę nieformalną, ale jednocześnie ma znacznie większy wpływ na to, co się realnie dzieje, bo jest szefem struktur. Za nim stoją radni, za nim stoją ludzie. Każdy, kto śledzi tę warszawską politykę, wie, że to właśnie Marcin Kierwiński jest głównym kadrowym. Więc on na pewno wiedział o tym wszystkim. Przypomnę, że to nie jest incydentalna sprawa, tylko druga afera szpitalna warszawskiej KO. Dwa miesiące temu, po interwencji mojej i Sebastiana Kalety, doszło do wyrzucenia prezesa Szpitala Grochowskiego Krzysztofa Osmańskiego. Został zwolniony po tym, jak ujawniono skandaliczne praktyki dotyczące nepotyzmu, fikcyjnego zatrudniania i wymuszania pieniędzy od pracowników. Prezes zatrudnił 21-letniego studenta bez wykształcenia medycznego na intratnym stanowisku pełnomocnika ds. strategii i rozwoju, płacąc mu kilkanaście tysięcy złotych miesięcznie. Personel informował, że prezes oraz jego współpracownicy wymuszali na pracownikach oddawanie części lub całości wypłaconych im wcześniej nagród pieniężnych. To są rzeczy absolutnie bulwersujące.

Jeśli chodzi o wątek Dawida Kacprzyka, dowiadujemy się, że pobierał środki także z innych szpitali, miał być też koordynatorem SOR w innym miejscu.

Znam pięć placówek ochrony zdrowia, w których zatrudniono lub zamierzano zatrudnić Dawida Kacprzyka. To naprawdę jest symbol wszystkich patologii w całym systemie. Ale on stał się tym symbolem dzięki legitymacji partyjnej KO. On jest symbolem tej zgniłej formacji.

> Ta ustawa jest niepotrzebna. Jest bublem, ponieważ od 2018 r. istnieją przepisy, które pozwalają wyciągnąć z Urzędu Skarbowego PIT każdego lekarza w Polsce. Jeśli tylko ktoś sobie życzy, nie będzie miał żadnego problemu ze zdobyciem tej wiedzy

Wróćmy do konsekwencji politycznych. Wspomniał pan o Rafale Trzaskowskim, ale wobec niego można wyciągnąć takie konsekwencje, że przestanie być wiceszefem Koalicji Obywatelskiej.

Można też wymusić na Trzaskowskim dymisję. To mało prawdopodobne, bo w KO nie ma takiego zwyczaju, by winni afer ponosili odpowiedzialność.

A może premier Tusk poświęci kogoś przy tej okazji?

Z mojego punktu widzenia nie ma znaczenia, który z pionków zostanie poświęcony. Trzeba zaprowadzić porządek w warszawskich szpitalach, bo to, co się tu dzieje, woła o pomstę do nieba. A polityczną odpowiedzialność za tę sytuację ponoszą dwaj główni gracze: Kierwiński i Trzaskowski. Jeśli chodzi o minister zdrowia, to dla nas najlepiej by było, aby ona sobie po prostu poszła, by wróciła do Gdańska. Tam radziła sobie dobrze, przyjechała do Warszawy i idzie jej fatalnie.

A może uda się odwołać prezydenta stolicy w drodze referendum?

Każda próba odwołania tego złego prezydenta jest krokiem w dobrym kierunku. Natomiast ta historia musi się odbić na przyszłorocznych wyborach. Trudno mi sobie wyobrazić, by ktoś zagłosował na KO po tym, co ujawniono. Ludzie tej partii dowiedli, że są „partią władzy" w najgorszym znaczeniu tego określenia.

Dlaczego Dawid Kacprzyk wciąż nie został przesłuchany?

Tutaj chodzi o to, aby tę sprawę jak najbardziej rozmyć oraz nie pokazywać oblicza Dawida Kacprzyka opinii publicznej. Wiadomo, że jak będzie szedł do prokuratury, to będą tam media. Będą chcieli mu zadać pytania. Bo przecież Dawid Kacprzyk do tej pory właściwie milczy. Porozumiewa się albo oświadczeniami, albo ustami swojego adwokata, który zresztą jest adwokatem Donalda Tuska i Koalicji Obywatelskiej, Jacka Dubois. To nie są przypadki. Chodzi o to, by ta sprawa toczyła się tak długo, aż po prostu zostanie zamieciona pod dywan. Tylko o to im chodzi, a nie o wyjaśnienie wszystkiego „do spodu", jak deklarują.

eprasa.pl 166cbf2463



Runęły dwie wieże Giertycha

To miało być kluczowe uderzenie w Jarosława Kaczyńskiego. Okazało się piramidalnym kłamstwem i manipulacją. Żadnej „afery dwóch wież" nie było. Prokuratura nie znalazła żadnych dowodów na popełnienie przestępstwa i umorzyła postępowanie. Rozstrzygnięcia tego nie doczekała jednak śp. Barbara Skrzypek. Zmarła przed rokiem na rozległy zawał serca, trzy dni po przesłuchaniu



MARZENA NYKIEL

Siedem lat oskarżeń, politycznego teatru i medialnego linczu. Ludzie Donalda Tuska „uruchomili cały aparat państwa przeciwko PiS" – dokładnie tak jak zalecał niemiecki publicysta Klaus Bachmann. Mimo że do politycznej walki z Prawem i Sprawiedliwością zaangażowano wszelkie siły i środki, kolejne oskarżenia rozbijają się w pył w zderzeniu z faktami.

25 czerwca br. Prokuratura Okręgowa w Warszawie umorzyła postępowanie w sprawie „dwóch wież". Śledczy nie znaleźli dowodów na przestępstwa w żadnym z trzech badanych wątków. „Aby mówić o wypełnieniu znamion oszustwa, musimy udowodnić: działanie w celu osiągnięcia korzyści majątkowej, doprowadzenie do niekorzystnego rozporządzenia i wprowadzenie w błąd. Zdaniem prokuratora żadne z tych znamion nie zostało stwierdzone" – oświadczył prokurator Piotr Skiba, rzecznik prokuratury. Decyzję poprzedziło drobiazgowe śledztwo, otoczone szczególną troską polityków, zwłaszcza Romana Giertycha. Patrząc na jego przebieg, można by sądzić, że rozstrzygnięcie jest z góry przesądzone. A jednak stało się inaczej. Ale po kolei.

OSKARŻENIA AUSTRIACKIEGO BIZNESMENA

Sprawa sięga 2018 r., kiedy to powiązana z PiS spółka Srebrna planowała postawienie biurowca w centrum Warszawy. Inwestycję zablokował stołeczny urząd miasta, a do budowy nie doszło. Austriacki biznesmen Gerald Birgfellner, reprezentowany przez Romana Giertycha i Jacka Dubois, oskarżył jednak Jarosława Kaczyńskiego o oszustwo. Twierdził, że przygotował wstępny projekt wieżowców i przeprowadził wiele prac, których wartość szacował na 1,3 mln zł, ale wynagrodzenia nie otrzymał.

W 2019 r. o „aferze dwóch wież" zaczęły pisać media. Prezes PiS od początku odpierał te zarzuty. Wskazywał, że projekt nie wyszedł poza fazę wstępnych planów, a wszystkie działania były prowadzone zgodnie z prawem. Powtórzył to również teraz. „Nigdy nie było żadnej decyzji o dwóch wieżach. To był rysunek, który zamieściła »Gazeta Wyborcza«. To wszystko były bzdury" – oświadczył. W 2020 r. prokuratura, po zapoznaniu się z dokumentami, odmówiła wszczęcia śledztwa. Zostało wznowione dopiero po dojściu do władzy Donalda Tuska i od początku towarzyszył jej gorący oddech Romana Giertycha. „Liczę na szybkie działania prokuratury oraz szybkie postawienie zarzutów Jarosławowi Kaczyńskiemu" – mówił w styczniu 2025 r. Do sprawy oddelegowano jedną z największych prokuratorskich antypisowskich aktywistek – prokurator Ewę Wrzosek.

Wznowione śledztwo ruszyło w lutym 2025 r. Na jednego z pierwszych świadków wezwano Barbarę Skrzypek, wieloletnią bliską współpracowniczkę prezesa PiS. Wszystko, co stało się potem, jest wstrząsające, a pełnej prawdy nie znamy do dziś. Przesłuchanie trwało pięć godzin. Uczestniczyli w nim dwaj adwokaci Birgfellnera – mecenas Jacek Dubois i prawnik z kancelarii Giertycha. Barbara Skrzypek była całkiem sama. Wrzosek nie wyraziła zgody na obecność jej pełnomocnika, który przez cały czas czekał pod drzwiami. Przesłuchanie nie było rejestrowane. Sporządzono z niego zaledwie kilkustronicowy protokół, co do którego nadal są wątpliwości. Co się działo za zamkniętymi drzwiami prokuratury?

Po przesłuchaniu Barbara Skrzypek zdążyła jeszcze zadzwonić do Jarosława Kaczyńskiego. Ujawnił później, że z przesłuchania „wyszła w złym stanie, miała kłopoty z oddychaniem". Jak się potem okazało, doznała rozległego zawału serca. Trzy dni później zmarła. „Nie mam najmniejszej wątpliwości, że te dwie sprawy były ze sobą ściśle związane. [...] To jest pierwsza ofiara śmiertelna tego nagminnego łamania prawa" – powiedział prezes PiS. Roman Giertych nie zatrzymał się nawet w momencie śmierci świadka. Zalał sieć serią wpisów, w których wiązanie tych spraw nazwał „łajdactwem" i zagroził Kaczyńskiemu Komisją Etyki Poselskiej.

10 czerwca br. do przesłuchania prezesa PiS przystąpił już osobiście, mimo że fakt łączenia funkcji pełnomocnika oskarżyciela oraz posła koalicji rządzącej i wiceszefa KO sam w sobie rodzi poważne wątpliwości. Wszystko wskazuje na to, że Kaczyńskiego próbowano wytrącić z równowagi. Dzień wcześniej Giertych zamieścił na platformie X ośmieszające go grafiki, które opatrzył wpisem: „Jarku, jutro przesłuchamy cię w prokuraturze. Nie bój się. Wuj będzie z tobą i pomoże ci wyjaśnić wszystko. I najważniejsza rada: przyznaj się". Dodatkowo przesłuchanie miało miejsce w dniu miesięcznicy katastrofy smoleńskiej, tuż po porannych obchodach. Wulgarni aktywiści zachowywali się tego dnia wyjątkowo agresywnie, a policja nie reagowała.

> Rzekoma „afera dwóch wież" nie powinna w ogóle wzbudzić zainteresowania śledczych. Przez lata mieliśmy jednak do czynienia z piramidalnym oszustwem. Absorbowano nim media, poświęcano mu wystąpienia sejmowe, angażowano cały aparat państwa

Nie osiągnięto jednak zamierzonego efektu. Rozczarował się także sam Giertych. Odsuniętą od śledztwa Ewę Wrzosek zastąpiła prokurator Małgorzata Szeroczyńska. Mimo że jest aktywnym i bojowym członkiem upolitycznionego prawniczego stowarzyszenia Lex Super Omnia, nie pozwoliła Giertychowi na odgrywanie własnego spektaklu, uchylając większość jego pytań. Poseł opuścił prokuraturę w trakcie przesłuchania. Być może dlatego, że tego dnia w Sejmie głosowano w sprawie wotum nieufności wobec ministra spraw wewnętrznych Mariusza Kierwińskiego. Jarosław Kaczyński nie mógł w nim uczestniczyć. Przesłuchanie trwało ponad dziewięć godzin. Zebrany materiał dowodowy okazał się wyczerpujący i przekonujący. Prokuratura Okręgowa umorzyła postępowanie.

ATAK NA PROKURATURĘ

Eksperci nie mają wątpliwości, że postępowanie prowadzone zgodnie z literą prawa nie mogło zakończyć się inaczej.

– Dla każdego prawnika, który zna się na prawie karnym, zajmuje się tymi sprawami, raczej sprawa od samego początku wskazywała na to, że będzie umorzona. Przypomnę, że początkowo prokuratura odmówiła wszczęcia śledztwa i zostało to utrzymane w mocy przez Sąd Okręgowy w Warszawie w składzie, który sugerowałby raczej przeciwne rozstrzygnięcie – mówi nam mecenas Bartosz Lewandowski. – Dziwię się, że nie czują żenady osoby, które doprowadziły do tego, że tę sprawę prowadziła pani prokurator Wrzosek. Jeszcze bardziej zdumiewa mnie, że pani prokurator dalej zabiera w tej sprawie głos i nie spotyka się to z żadnymi konsekwencjami ze strony prokuratury – dodaje.

Ewa Wrzosek skwitowała decyzję prokuratury najpierw jednym zdaniem na platformie X: „Pozwolę sobie mieć własne zdanie w tej kwestii". Na tym jednak nie poprzestała, dając wyraz frustracji na różne sposoby. Miała na to śledztwo własny plan. Jeszcze przed wszczęciem postępowania pytana w mediach, czy jest możliwe, że Jarosław Kaczyński usłyszy zarzuty, twierdziła, że „nie wyklucza takiej sytuacji".

Z werdyktem prokuratury nie może się pogodzić także Roman Giertych. Zapowiedział apelację i zaczął wysuwać groźby, zalewając platformę X kolejną serią wpisów: „W sumie to zabawni jesteście, prokuratorzy. Ustawiacie się

eprasa.pl 166cbf2463

na 15 miesięcy przed wyborami pod nowy rząd, tylko z polskimi wyborami do Sejmu (przynajmniej od 20 lat) jest tak, że o ile w nich występuje, to zawsze wygrywa Tusk. A wy zostaniecie w 2027 r. z tym waszym serwilizmem wobec Kaczyńskiego jak Himilsbach z angielskim".

Wtór Silnych Razem i niezadowolonych z decyzji przeciwników PiS doprowadził do kuriozalnej sytuacji. Nielegalny prokurator krajowy Dariusz Korneluk, który „objął" tę funkcję na mocy dekretu Donalda Tuska po nielegalnym, siłowym przejęciu prokuratury, zaczął obruszać się na chęć upolitycznienia prokuratury. To zapewne emanacja potężnego konfliktu, który narasta w jego współpracy z Waldemarem Żurkiem. Jednak wydane przez niego oświadczenie odnosi się do medialnych wystąpień Giertycha i Dubois. „Niedopuszczalne jest personalne atakowanie prokuratora wyłącznie z powodu treści podjętej przez niego decyzji, zwłaszcza w sytuacji, gdy od decyzji procesowych przysługują przewidziane prawem środki odwoławcze, zapewniające ich kontrolę przez niezawisły sąd. […] Decyzje prokuratorów nie mogą być oceniane przez pryzmat bieżącego sporu politycznego ani utożsamiane z działalnością na rzecz jakiegokolwiek środowiska czy ugrupowania politycznego" – napisał Korneluk.

Okazuje się, że narastająca agresja Giertycha zaczyna niepokoić coraz więcej środowisk. Pełnomocnicy Kaczyńskiego mają zamiar złożyć wniosek o wszczęcie wobec niego postępowania do rzecznika dyscyplinarnego właściwej Okręgowej Rady Adwokackiej (ORA). Twierdzą, że wpisy i aktywność Giertycha w postępowaniu dotyczącym „dwóch wież" mogą naruszać m.in. prawo o adwokaturze. Zgodnie z art. 80 adwokaci podlegają odpowiedzialności dyscyplinarnej za postępowanie sprzeczne z zasadami etyki lub godnością zawodu.

Zachowanie wiceprzewodniczącego Koalicji Obywatelskiej bulwersuje także inne środowiska, przeciwko którym stale występuje. Kilka dni temu sugerował bezprawne usunięcie sędziów Sądu Najwyższego z budynku. Stowarzyszenie Sędziowie RP złożyło więc na mecenasa Giertycha skargę do Okręgowej Rady Adwokackiej w Warszawie, żądając przeprowadzenia postępowania dyscyplinarnego. „Nie ma zgody na hejtowanie sędziów przez polityków, a szczególnie tych wykonujących jednocześnie zawody zaufania publicznego. […] Wypowiedzi te nie licują z godnością zawodu adwokata i stanowią niedopuszczalną presję na Sędziów Sądu Najwyższego" – napisali członkowie stowarzyszenia Sędziowie RP, uzasadniając swój wniosek.

KŁAMSTWO LEGŁO W GRUZACH

Platforma Obywatelska od lat próbowała przykrywać sprawą „dwóch wież" własne afery. Prokuratura ostatecznie wytrąciła jej znaczone karty z rąk. „Od lat budowali swoją siłę polityczną na fałszywych opowieściach, kłamstwach, półprawdach i wygodnych mitach. Sprawa »dwóch wież« miała być ich wielkim oskarżeniem. Miała być symbolem. Miała przykrywać brak programu, brak odpowiedzialności i brak szacunku dla faktów. Dziś postępowanie zostało umorzone. Prawdy nie da się zakrzyczeć konferencjami, emocjami i politycznym teatrem. Wielu z nich nie byłoby dziś w życiu publicznym, gdyby nie Donald Tusk – jego patronat, jego decyzje i jego polityczny system. Polacy mają dobrą pamięć. Przyjdzie czas rozliczyć kłamstwa, na których przez lata budowano kariery" – napisał Paweł Szefernaker, szef Gabinetu Prezydenta RP.

Sprawę skomentował też rzecznik PiS Rafał Bochenek: „Kolejne misternie budowane kłamstwo Tuska i usłużnych mu mediów legło w gruzach! Sprawa tzw. dwóch wież i rzekomych przestępstw wokół niej została medialnie wymyślona po to, aby zmanipulować społeczeństwo i umożliwić Tuskowi powrót do władzy... Polacy, otwórzcie oczy! Oszukują Was na każdym kroku!".

Do decyzji prokuratury odniósł się także prof. Przemysław Czarnek: „Ile osób ta władza zdążyła publicznie oskarżyć, oczernić i skazać w medialnych pokazówkach, zanim zapadły jakiekolwiek rozstrzygnięcia? Do ilu tragedii doprowadzili i jeszcze doprowadzą? »Dwie wieże« kończą się umorzeniem. Sypie się kłamliwa narracja koalicji 13 grudnia. Tak wygląda polityka oparta na spektaklu zamiast dowodów. Tak wygląda państwo, w którym kluczową rolę odgrywają Tusk, Żurek i Wrzosek".

Mimo że prawda zwyciężyła, trudno się tym w pełni ucieszyć. Już zawsze będzie się łączyć z tragiczną śmiercią śp. Barbary Skrzypek. Tej straty nie zrekompensuje nawet sprawiedliwość. Zbigniew Ziobro napisał na platformie X, że „dostała zawału po przesłuchaniu przez Ewę Wrzosek, bo Tusk z Giertychem postanowili urządzić polowanie na opozycję i prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego. Bo kazali prokuraturze brnąć w absurdalne zarzuty".

Rzekoma „afera dwóch wież" nie powinna w ogóle wzbudzić zainteresowania śledczych. Właśnie tak została rozpoznana kilka lat temu. Gdyby nie nadaktywność nielegalnie przejętej prokuratury, używanej do politycznych rozliczeń z PiS, wcale nie zostałaby podjęta. Chodziło jednak o wywołanie efektu mrożącego, o sklejenie Jarosława Kaczyńskiego z brudnym oskarżeniem, o atrakcyjne medialnie zdjęcia z prokuratury.

Przez lata mieliśmy do czynienia z piramidalnym oszustwem. Absorbowano nim media, poświęcano mu wystąpienia sejmowe, angażowano cały aparat państwa. Rodzi się pytanie: ile kosztowało śledztwo, które obiektywnie nigdy nie powinno zostać wszczęte? Dlaczego pochłaniało uwagę prokuratorów, którzy w tym czasie powinni poświęcić ją realnym problemom i rozzuchwalonym bezkarnością przestępcom?

Tak skrajnej patologii, jaka rozpanoszyła się w państwie Donalda Tuska, nie było w naszym kraju od dekad. Każda kolejna afera budzi coraz większą odrazę. Pedofilia i zoofilia w szeregach KO, niewyobrażalny wyciek pieniędzy z KPO do ludzi związanych z władzą, upartyjnienie ochrony zdrowia, a nawet mrożący krew w żyłach nekrobiznes w samorządowym szpitalu Rafała Trzaskowskiego. Jak dotąd żadna z tych spraw nie zajmuje premiera tak aktywnie, jak opętańcza walka z PiS i jego zwolennikami.

eprasa.pl 166cbf2463

Po cholerę nam kultura?

Gdy płoną lasy, czas zająć się różami. Tak, nie zwariowałem. Róże jako symbol kultury. Gdy świat się rozpada, trzeba zrozumieć, dlaczego, jaka rządzi nim kultura. Kto podpalił, co płonie? Jak pożar ugasić i jak mu zapobiec?



MACIEJ PAWLICKI

W tytule użyłem słowa powszechnie uważanego za niegrzeczny przejaw irytacji, by wzbudzić ciekawość tych, którzy nie czytają artykułów o kulturze. To gra konwencją prowokacji, a więc element kultury. Używamy jej, pilnujemy, tworzymy ją. Albo ktoś inny tworzy ją dla nas – bez naszego udziału. Jesteśmy jej świadomymi współautorami albo biernymi przeżuwaczami.

Od lat ze zdumieniem przekonuję się, jak duża część znajomych po prawej stronie wybiera bardzo wąskie rozumienie pojęcia kultury. To – sądzą – pacykarze abstrakcyjni, kakofoniści dla snobów i performerzy biegający z malowanymi na niebiesko siusiakami. Od kilku niedawnych rozmówców o przekonaniach prawicowych usłyszałem taki oto pogląd: finansowanie kultury przez państwo to wyrzucanie pieniędzy na lewackie dziwactwa, urzędy od kultury i media publiczne to darmozjady, ludzie kultury nienawidzą patriotyzmu i Polski. Trzeba ich odciąć od koryta, przegłodzić 30 lat, może niektórzy kiedyś zmądrzeją. Dla moich rozmówców prawdziwe życie to polityka, geopolityka, gospodarka, finanse, sprawy społeczne, ochrona zdrowia, technologie, zbrojenia... A kultura? Rodzaj fanaberii, niekonieczny dodatek. Niech sobie radzi na wolnym rynku.

Dwie definicje. By wobec możliwej wojny zwiększyć środki na zbrojenia, zaproponowano premierowi Wielkiej Brytanii Winstonowi Churchillowi cięcia budżetowe w sferze kultury. Ten zapytał: „O co w takim razie, do cholery, mielibyśmy walczyć?". Inna anegdota przypisuje innemu politykowi, Josefowi Goebbelsowi, słowa, które zawarł w swej sztuce niemiecki dramaturg Hanns Johst: „Gdy słyszę słowo kultura, odbezpieczam pistolet". Między tymi dwiema definicjami – Chrurchilla i Johsta–Goebbelsa – rozpina się rozumienie zadań państwa wobec kultury.

WALEC JEDZIE

Co prawda Churchill był konserwatystą, a Goebbels socjalistą, ale nie wyznaczyli linii dla swych ideowych następców. Lewica wie o kulturze coś, czego nie wie prawica. Od zawsze, od Lenina, a we współczesnej Europie Zachodniej od manifestu z Ventotene komunisty Spinellego, ma zaplanowany i z żelazną konsekwencją realizowany „marsz przez instytucje", by najpierw zdominować kulturę, a za jej pośrednictwem całość życia społecznego. Przy tak asertywnym, agresywnym, zakrojonym całościowo oraz konsekwentnym nastawieniu i działaniu przez minionych kilka dekad dla świata stało się niejako „naturalne", że kultura jest własnością lewicy. Lewica uznała kulturę za swoje wyłączne narzędzie wzięcia społeczeństw za twarz. Ideowe zdominowanie kultury wysokiej i kultury masowej, otwartą i ukrytą perswazję, bezalternatywny dyktat, kreowanie wzorców, zachowań, relacji, obyczajów, hierarchii, nagradzanie, a dla opornych zawstydzanie, szyderstwo, agresję symboliczną i fizyczną, ośmieszanie, wykluczanie, publiczne unicestwianie. I to się udało, krok po kroku, lewica zdobyła i nadal zdobywa teren wedle planu Spinellego. I jeszcze śmielej, bo technologia oraz rozmach globalistów stwarzają nowe możliwości łączenia sił z wielkim biznesem i wielkim resetem, po którym upiorne wizje Orwella będą parkiem familijnej rozrywki. Sponsorowana przez gigantyczne pieniądze setek instytucji, tysięcy korporacji i mniejszych firm, zarządzana przez lewicę kultura jedzie jak walec przez owe instytucje, przez mechanizmy polityczne, przez procesy społeczne. Przez serca i umysły. Przy niemal całkowitej bierności prawicy, której chwilowymi nadziejami stali się Trump i Musk. Prawicowe elity Zachodu zostały – uwaga, słowo z kultury

eprasa.pl 166cbf2463



Obraz Jacka Malczewskiego „Błędne koło”

Fot. Muzeum Narodowe w Poznaniu

więziennej – przecwelone. Formalnie prawicowe, w istocie nie tylko nie robią nic w obronie narodu, rodziny, wolności, chrześcijaństwa, lecz także potulnie realizują lewicową agendę i najdziksze lewackie ukazy.

A w Polsce? Czy po doświadczeniach i dokonaniach ośmioletnich rządów Prawa i Sprawiedliwości nowa, szeroka, konserwatywna, patriotyczna, niepodległościowa, przywiązana do Dekalogu, polskiej tradycji, polskiej kultury, polskiej historii, tego, co w niej najlepsze i najważniejsze, broniąca rodziny i broniąca wolności, realizująca wyłącznie polską rację stanu prawica będzie mieć wizję i plan, co chce zrobić w sferze kultury? Jakie cele osiągnąć? Dlaczego i po co?

TWORZENIE NARODU

„Ruch Narodowy za swój podstawowy cel obiera obronę i umocnienie polskiej tożsamości narodowej. […] Polska będzie taka, jak uformowani zostaną młodzi Polacy. […] Chcemy przywrócić powagę i wielkość polskiej kulturze […]”. To ważne zdania programowe narodowej części Konfederacji, a w nich kluczowe słowo „tożsamość”. Z czego składa się naród? Ano z tożsamości. Nie ma tożsamości, nie ma narodu. A z czego składa się tożsamość? Ano z kultury. Owszem, czynniki ekonomiczne, bytowe są ważne, ale jako pracownicy i konsumenci w każdej chwili dokonujemy wyborów, które podyktowała nam nasza tożsamość, czyli nasza kultura. Relacje z ludźmi, z instytucjami, relacje z samymi sobą kształtuje kultura. Nawet gdy nie wiemy, że mówimy prozą.

Prof. Jan Żaryn mówi w filmie „Młody Dmowski”: „Dla Ruchu Narodowego Adam Mickiewicz był poetą tworzącym nowoczesny naród polski”. Piękne: poeta „tworzący naród”. Bo i w istocie – czy bez opowieści kilku poetów, kilkunastu pamiętnikarzy, kilku prozaików, kilku muzyków i kilku malarzy bylibyśmy polskim narodem? Bez Paska, Mickiewicza, Słowackiego, Sienkiewicza, Matejki, Grottgera, Malczewskiego, Żeromskiego, Wyspiańskiego, a także kilku pisarzy politycznych? Naród polski przez wieki był narodem szlacheckim.

eprasa.pl 166cbf2463

Po pięknych wyjątkach w rodzaju Bartosza Głowackiego następowała galicyjska rzeź Jakuba Szeli. Dopiero Jan Ludwik Popławski zdefiniował dwoistość polskiego narodu, pisząc w słynnym eseju „Dwie cywilizacje", że równie ważną, równie cenną częścią polskiego narodu są włościanie i robotnicy przemysłowi. Rozwinął tę myśl Dmowski, budując w swych pismach pojęcie nowoczesnego narodu, który obejmuje wszystkie klasy i którego celem nie jest przeciwstawianie ich sobie, nie jest bierność i płaczliwe wspominanie dawnej potęgi i doznanych klęsk, lecz stała, codzienna dbałość o rozwój siły narodu. Siły, znaczy samoświadomości. Na tym polega nowoczesność. Artykuły Dmowskiego w „Przeglądzie Powszechnym" czytał Stanisław Wyspiański i myśli z nich wkładał do swej teatralnej poezji, do „Wesela" i „Wyzwolenia".

Kultura jest oczywiście także – i ma być – rozrywką, atrakcją, miłym czasem. Tego wymaga od niej ogromna większość odbiorców, żądających szybkiego efektu wytchnienia i zadowolenia. Ale ten sam pojedynczy odbiorca chce także być częścią czegoś większego, wzniosłego, wspólnotowego. Cieszy się więc, że ktoś zbudował katedry, ktoś zamówił u Michała Anioła malowanie sufitu w Kaplicy Sykstyńskiej, u Mozarta zamówił opery, że wiedeński wydawca Maurycy Perles zamówił u Matejki „Poczet królów polskich", Sejm Krajowy we Lwowie zamówił u niego „Hołd pruski" i „Bitwę pod Racławicami", a Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych – „Kazanie Skargi". Bez wsparcia mecenasów znaczna część sztuki i kultury przestaje istnieć. Dlaczego najgenialniejszy polski artysta Stanisław Wyspiański malował głównie akwarele? Bo nie stać go było na farby olejne. W liście do Lucjana Rydla pisał, że nie ma za co kupić ołówków, papieru, farb czy płócien. Całe życie borykał się z brakiem środków na utrzymanie, niestety możemy domniemywać, że wiele dzieł nie powstało właśnie z tego powodu. Jego monumentalne witraże wawelskie nie zostały zrealizowane, mecenas się wycofał.

NIE OPOWIADAMY O POLSCE

Kultura to opowieść narodu o sobie. Kulturowe znaki to drogowskazy. Centrum stolic to miejsca znaków – pomników, symboli, muzeów, w których narody, które chcą być sobą, opowiadają swym dzieciom, swym gościom i sobie samym kim są, jakie wartości niosły światu i wokół jakich chcą budować państwo. Polacy tego nie chcą lub nie potrafią. Nie opowiadamy o sobie. W Warszawie główne place są puste, a nieliczne wystawione w wolnej Polsce pomniki są pochowane po krzakach, aby nikt ich nie znalazł, a jak je przypadkowo znajdzie, by nie pomyślał, że są ważne. A jeśli już je widać na kilku placach, to są smutne, głowy zwieszone, wzrok wbity w ziemię. Pomników dumnych, triumfalnych i podnoszących ducha w Warszawie nie ma. Nie opowiadamy światu i sobie samym, co takiego zrobili nasi bohaterowie i czego chcemy się od nich nauczyć. Nie widzimy potrzeby, by doceniać i podawać do naśladowania kreatorów narodowej tożsamości i dumy.

> Kultura jest siłą narodu. Najważniejszą. Bez niej naród nie rozumie, że jest narodem, nie rozumie, po co mu własne państwo. Bez niej staje się niewolnikiem, który akceptuje, a nawet lubi swoją niewolę

Gdy w środku miasta, na Pl. Saskim, Rosja postawiła symbol swej dominacji, ogromny sobór św. Aleksandra, w wolnej Polsce został natychmiast rozebrany. W tym samym miejscu, miejscu cudu z 1979 r., stoi dziś skromny krzyżyk papieski, niewiele większy od cmentarnego. Zawstydzony naród 37 lat po rzekomym ponownym odzyskaniu niepodległości patrzy w otępieniu na górujący nad miastem i państwem moskiewski pałac Stalina. Znacznie większy niż sobór św. Aleksandra. To wszystko są znaki i elementy kultury, a raczej jej braku, nierozumienia jej siły i roli. Po polskiej stronie, bo Rosjanie rozumieją ją doskonale.

Dzisiejszy świat przynosi tsunami informacji. Narzucanie narracji masowemu konsumentowi staje się coraz bardziej niezauważalne, a jeśli już zostaje zidentyfikowane, budzi tylko wzruszenie ramion, że tak już musi być. Sztuczna inteligencja wzmaga liczbę bodźców i jeszcze skuteczniej zaciera różnice między prawdą a fałszem, jest wielkim rozproszeniem uwagi, tworzy wielki chaos informacyjny i aksjologiczny. Tym bardziej potrzebne są kulturowe znaki, narracje, opowieści, symbole, odniesienia – elementy stabilizujące i wskazujące, co jest ważne i co jest wartościowe. Kto wytworzy te znaki i narracje? Ano ten, kto do tego mocno dąży, konsekwentnie i energicznie ku temu działa. W przeciwieństwie do lewicy prawica ma kłopot ze sformułowaniem swych kulturowych celów, nawet z myśleniem o nich. Nie chodzi o propagandę – chodzi o sztukę, nie chodzi o przeszłość, lecz przyszłość. O system wartości, wokół którego chcemy zbudować nasze państwo i nasz nowoczesny naród. Jeden tylko przykład. Duże środki zostały wyłożone na filmy historyczne (abstrahuję od ich wartości artystycznej), których finałowy przekaz brzmi: jak będziesz bronił Polski, to pójdziesz do piachu. A zatem śmierć bohaterów, poniesione ofiary były bezsensowne. Polska to jest mała rzecz.

SYNAPSY W MÓZGACH

Klasyk sztuki wojennej Sun Tsu pisał, że najlepszy jest ten wódz, który wygrywa wojny bez walki, który niszczy wroga (wrogi naród), niszcząc jego ducha, jego serce, wiarę w siebie, ośmieszając go, deprawując, budząc wstyd, upokorzenie i chęć zmiany skóry, by móc przestać się wstydzić. O to właśnie idzie gra w Polsce już od trzech wieków. Byśmy przestali być Polakami, wstydzili się tego, porzucili polskość jak wąż porzuca

eprasa.pl 166cbf2463

niepotrzebną skórę. Tak działał Fryderyk pruski i tak działała prusko-rosyjska Katarzyna II, takie instrukcje dawała swym namiestnikom w Priwislanskim Kraju. Taki dokładnie stan umysłów opisuje Dmowski w XIX-wiecznej Warszawie. Wśród znacznej części polskich studentów warszawskiego uniwersytetu nawet chęć śpiewania po polsku (a nie po rosyjsku) była uznawana za szowinizm i należycie piętnowana.

Dziś śpiewać trzeba po europejsku, ale sankcje za szowinizm są takie same albo i większe. Nie tylko uniwersytety zostały skolonizowane przez lewicę, elementem i pochodną kultury jest cała edukacja. Uczniowie są uczeni tego, co wypracowała kultura, jej demiurdzy i kreatorzy. To, co dziś szykuje naszym dzieciom minister Nowacka, jest pochodną klęski europejskiej prawicy na polu kultury, kapitulacji w wojnie o ducha. Także nas zdominuje kultura narcyzmu, już nie tylko promowana przez biznes, lecz także instytucjonalizowana przez państwo. Także u nas dorobek kulturowy jest stopniowo unicestwiany wedle wskazań „wokeizmu" czy „cancel culture", kasowania kultury. Walec miażdżący kulturę, do której przywykliśmy, jest coraz potężniejszy i jedzie coraz szybciej.

Co w tej sytuacji zrobi, co planuje prawica? Nie chcę powtarzać oczywistości, ale czasem trzeba: polski naród powstał w kulturze i przetrwał w kulturze. Polska powstała z czującego tak samo kameralną lirykę, jak spiżową wagę narodowej sprawy poety Kochanowskiego, komedianta Stańczyka, rektora Akademii Krakowskiej ks. Pawła Włodkowica, który na soborze w Konstancji intelektem pokonał Krzyżaków, Matejki, który pokazał nam Polskę, jakby zdejmując z oczu bielmo. Polska powstała ze średniowiecznych krotochwil wychodzących z wielkanocnych obrzędów, sporu „kontusza z fraczkiem" w oświeceniowym teatrze, emigracyjnych wizji romantyków, geniuszu Reymonta, Wyspiańskiego czy Herberta. Od nich miliony maleńkich połączeń, synaps, które są w mózgach i sercach każdego z nas. Jeśli te synapsy nie będą właśnie od nich, to będą od Lenina, Spinellego i uwielbianego w Unii Europejskiej Cohn-Bendita, sławiącego pedofilię pedofila.

Kultura to wybór systemu wartości. Stanisław Poniatowski kulturę kochał, wiersze zamawiał, piękne pałace i teatry stawiał, ale – będąc królem Polski – pobierał stałą pensję od carycy moskiewskiej. I nie on jeden, jurgielt od obcych dworów pobierali polscy magnaci, szlachta, posłowie. To był upadek kultury, bo kultura to piękno, prawda i dobro razem, w połączeniu. Polityka to roztropna troska o dobro wspólne, w narodowym interesie jest jej przejrzystość, czystość i jak najszerszy udział narodu. Nie otępionego motłochu, któremu wmówiono, że ma się brzydzić polityką, bo jest brzydka i tylko dla fachowców, którzy już tam pod stołem załatwią co trzeba. Życie polityczne ma podlegać politycznej kulturze, standardom moralnym przez kulturę wytworzonym i kontrolowanym.

> Bez wsparcia mecenasów znaczna część sztuki i kultury przestaje istnieć. Dlaczego najgenialniejszy polski artysta Stanisław Wyspiański malował głównie akwarele? Bo nie stać go było na farby olejne

LENIN ALBO WYSPIAŃSKI

Kultura jest siłą narodu. Najważniejszą. Bez niej naród nie rozumie, że jest narodem, nie rozumie, po co mu własne państwo. Bez niej staje się niewolnikiem, który akceptuje, a nawet lubi swoją niewolę. Jak u Orwella, a także w bajce bp. Krasickiego sprzed 250 lat. Istnienie Polski, a także istnienie Polaków jest zagrożone. Za kilka lat wolnej Polski może już nie być, za kilkadziesiąt lat może nie być Polaków. Bitwa o to toczy się przede wszystkim na polu kultury. Jeśli w sferze polityki jesteśmy gotowaną powoli żabą, która nie potrafi wyskoczyć z gara, choć czuje, że woda coraz gorętsza, to w sferze kultury jesteśmy żabą zadowoloną, że coraz cieplej.

Kultura jest przede wszystkim wzbogaceniem DUCHA. Lub utratą ducha, ducha skarleniem. I właśnie o tak rozumianej kulturze warto rozmawiać, bo dla niej jest coraz mniej miejsca – na świecie, w Polsce, w naszym życiu. Przekonanie, że jakoś to będzie, że wartościowa kultura sama się przebije, że jakoś samo się ułoży, jest skokiem w otchłań. Nie ułoży się. Ułożą nam ci, którym zależy.

I wreszcie na koniec zmierzmy się z tematem szczególnie tajemniczym i bolesnym. Dlaczegóż to ludzie kultury są lewicowi? Bo lewica tego chce i potrafi formułować swe idee. Potrafi wspierać twórców na wielu poziomach. Prawica sądzi, że to zbędne, bo prawda obroni się sama. Zwycięży orężem przemówień i TikToka. Wspierać i dotować trzeba twórców lewicowych, bo będą krzyczeć, a prawicowych nie trzeba, bo krzyczeć nie będą. Zresztą przecież ich nie ma. Uwaga, teraz będzie cynicznie: gdyby deweloperzy zamawiali wyłącznie rotundy, większość architektów odkryłoby w sobie powołanie do tej właśnie formy, uznając rotundę za najwyższe osiągnięcie architektury.

Kultura nie jest dodatkiem, nie jest profesją. Jest istotą narodowego bytu i jest zadaniem. Kultura narodowa (Filharmonia Narodowa, Opera Narodowa, Teatr Narodowy, Muzeum Narodowe, Biblioteka Narodowa, Filmoteka Narodowa i wiele innych instytucji) ma ocalać i wzmacniać to, co cenne, nazywać i eliminować słabości i błędy, dodawać to, czego brakuje, wciąż na nowo tworzyć tożsamość Polaków. Może to być tożsamość wedle Lenina albo wedle Wyspiańskiego – zdecyduje stopień zrozumienia, wsparcia i determinacji. Czy prawa strona zachowa się tak, jak zachowała się prawica europejska, zrezygnuje z wpływu na kulturę, odpuści, podda się? Wierzę, że polska prawica nie da się przecwelić. Ale jeśli zostanie na kulturę znieczulona, zobojętniona – wyjdzie na to samo.

eprasa.pl 166cbf2463

Obywatel Sędzia i Kat

Żaden film nie wzbudził w ostatnich latach takich emocji jak obraz niemieckiego reżysera Uwe Bolla „Citizen Vigilante", czyli „Obywatel Strażnik", a może „Obywatel Mściciel"



DARIUSZ MATUSZAK

Dzieło Uwe Bolla bije światowe rekordy w liczbie komentarzy i dyskusji w mediach społecznościowych. Te tradycyjne, głównego nurtu, ograniczają się w recenzowaniu, by nie promować czegoś, co uznają za odrażające, brudne, złe. Jak napisała redaktorka „Gazety Wyborczej", „to nienawistny film żerujący na lękach [...], a jego oglądanie odbiera człowieczeństwo i wiarę w ludzkość". Tu akurat mogę się zgodzić, że Marcie Górnej z „GW" coś tam odebrano. Mimo że film nie trafił do oficjalnej dystrybucji, w sieci na różnych platformach w ciągu kilku dni obejrzało go kilkadziesiąt milionów widzów.

ZBIOROWY OJCIEC MŚCICIELA

To nie jest dzieło wybitne, ba, nawet liche, ale zasłużenie odnosi wielki sukces. Ojców triumfu jest wielu, począwszy od rządów Europy Zachodniej, zepsutych moralnie, do kości przegniłych elit, marnych intelektualistów, ale głośnych piewców zamordyzmu i cenzury w rodzaju Sławomira Sierakowskiego, recenzentów jak redaktorka „GW", po miliony internautów, którzy komentowali dzieło. Ale tych, którzy uruchomili lawinę, było dwóch.

Pierwszy to Freiwillige Selbstkontrolle der Filmwirtschaft (FSK), czyli niemiecka komisja ds. klasyfikacji filmów, która na dwóch niezależnych posiedzeniach przyznała filmowi kategorię KK, a więc tzw. brak klasyfikacji, co w istocie oznacza, że obraz stał się w Niemczech zakazany. Nie wolno go pokazywać w kinach, na platformach streamingowych czy w stacjach telewizyjnych. Nie można go też reklamować ani promować. Dlaczego? Bo według FSK okrucieństwo, brutalność, drastyczne sceny miałyby zachęcać do przemocy. Bo jego wymowa jest niebezpieczna, bo może podburzać do samosądów i przeciwko imigrantom. To pretekst, zmyślenia, bo dziś na sprzedaż jest wszystko. Nie ma żadnych barier moralnych, estetycznych czy prawnych, by pokazywać i inscenizować najstraszniejsze, a nawet najbardziej plugawe rzeczy. Przemoc jest wszechobecna i żadna komisja nie osądza, czy np. filmy z serii John Wick, w których liczba zabitych na centymetr kwadratowy ekranu jest większa niż zagęszczenie ludności w Hongkongu, zachęca do masowego wystrzeliwania ludzi, czy nie.

O co więc chodzi? Film został zakazany, bo jest skrajnie niepoprawny politycznie. Bo jest przerażająco prawdziwy. Siła „obrazu polega na tym, że pokazuje to, o czym myślą miliony Europejczyków, ale czego nie mówią otwarcie". Głównym bohaterem jest grany przez hollywoodzkiego wyrzutka Armiego Hammera zamożny, amerykański biznesmen, były oficer armii Michael Sanders, który mieszka gdzieś



eprasa.pl 166cbf2463

w Europie (film kręcono w Chorwacji, ale to nie ma znaczenia) i nadzoruje swe odziedziczone po ojcu imperium nieruchomości. W „wolnych chwilach" przedsiębiorca przeobraża się w zimnego mściciela, poluje na imigrantów przestępców i skorumpowanych funkcjonariuszy systemu. Jako samozwańczy sędzia osądza ich, orzeka karę i jako kat ją wykonuje. Karę śmierci. Dzięki wrzucanym do sieci nagraniom Sanders szybko zdobywa status gwiazdy mediów społecznościowych i staje się bohaterem dla części społeczeństwa, które ma dość przestępczości i braku reakcji władz. Film otwiera scena, w której młoda kobieta robi z kilkuletnim synem zakupy, wychodzi ze sklepu i na oczach dziecka zostaje, ot tak, bez powodu, zaszlachtowana nożem przez imigranta. Tym chłopcem jest młody Sanders.

Wróćmy do ojców, a nawet matek sukcesu filmu, jak redaktorka „GW", która w swojej recenzji dopuszcza się manipulacji na pograniczu kłamstw. Choć krew tryska z szyi kobiety jak z fontanny, choć matka umiera na oczach przerażonego i bezradnego dziecka, redaktorka „GW" pisze, iż po prostu została zraniona w szyję. To właśnie tysiące takich małych kłamstw, obłudnych opinii, to nadęte i pyszne moralizowanie, kabotyńskie pouczanie nieoświeconych maluczkich zbudowało prawdziwość i sukces kiepskiego artystycznie filmu. Im więcej takich recenzji, tym większe będą sukcesy podobnych produkcji. Obraz zamykają napisy końcowe z dedykacją: „Ten film jest poświęcony tysiącom ofiar gwałtów i morderstw w całej Europie, które zostały zdradzone przez system sprawiedliwości".

Reżyser opowiada, że do nakręcenia filmu zainspirowały go prawdziwe wydarzenia z Hamburga. W 2023 r. Sąd Okręgowy w tym mieście skazał dziewięciu mężczyzn w wieku od 19 do 23 lat na zakład poprawczy dla nieletnich za gwałt na 15-letniej dziewczynce. Ośmiu z dziewięciu skazanych, którzy popełnili zbrodnię jako nieletni, otrzymuje wyroki w zawieszeniu i zostaje tylko objętych dozorem kuratora. Sprawiedliwość filmowego mściciela jest inna. Odwiedza on 14-letnią ofiarę zbiorowego gwałtu i pytają, czego chce. Dziewczynka mówi, że tylko sprawiedliwości. Sanders idzie więc do domu, gdzie wraz matką, ojcem i siostrą mieszka uwolniony od odpowiedzialności jeden ze sprawców. Miła mieszczańska rodzinka imigrantów je właśnie obiad. Sanders, celując w nich z pistoletu, rozpoczyna pogawędkę, a właściwie rozprawę sądową. Ojciec tłumaczy syna, że jest młody i nie wiedział, co robi, a w ogóle to wychowuje go zgodnie ze wskazaniami Koranu. Synuś mówi, że 14-letnia dziewczynka sama tego chciała, ale teraz to on się poprawi, bo jest pod opieką psychologa. Siostra spowiada się z zamieszczanych w mediach komentarzy, w których pisała, że ofiara specjalnie ubierała się tak, by podniecać chłopców i zasłużyła na to, co ją spotkało. Sanders każe gwałcicielowi ściągnąć do siebie wszystkich pozostałych siedmiu zwyrodnialców, a kiedy się zjawiają, zamyka rozprawę sądową i całą sprawę. Potem wybiera się po sędziego, który uwolnił gwałcicieli, twierdząc, że oni także są ofiarami – systemu, rasizmu, kolonializmu, braku integracji i czegoś tam jeszcze.

> Film został zakazany, bo jest skrajnie niepoprawny politycznie. Bo jest przerażająco prawdziwy. Siła „obrazu polega na tym, że pokazuje to, o czym myślą miliony Europejczyków, ale czego nie mówią otwarcie"

Odpowiadając na zarzuty niemieckiej komisji ds. cenzurowania filmów (FSK) i w liście otwartym do Niemieckiej Akademii Filmowej Uwe Boll napisał, iż film zablokowano z powodów czysto politycznych. „Osiem wybranych przez FSK osób zdecydowało o tym, co będzie mogło oglądać 50 mln dorosłych Niemców" – czytamy w liście. W wywiadzie dla austriackiego radia AUF1 mówi, że gdyby nakręcił obraz o tym, jak siedmiu nazistów grupowo zgwałciło nastolatkę, to jego dzieło otwierałoby festiwal filmowy w Berlinie. „Państwo już nie funkcjonuje, sądy nie działają, przestępcy nie są karani. Doszło do całkowitego odwrócenia pojęć oraz ról sprawcy i ofiary. Zmienia się rzeczywistość za pomocą propagandy, cenzury i zakazów. Zawsze tak samo – biedni, straumatyzowani imigranci, którzy nie mieli wyjścia, musieli zgwałcić dziewczynę. Nie wzywam do przemocy, tylko pokazuję, jak to się może skończyć, jeśli nie rozwiązuje się problemów" – mówi Boll w wywiadzie. Ma rację, w ludziach coś może pęknąć.

Kiedy niemiecka komisja cenzurowania niepoprawnych politycznie filmów ogłosiła swą decyzję, do akcji wkroczył kolejny ojciec sukcesu. Boll napisał do Elona Muska na platformie X: „To film specjalnie dla ciebie. Obejrzyj go. Jest skierowany przeciwko wszystkim w branży filmowej i pokazuje przestępstwa migrantów w Europie oraz to, że znajdujemy się w kryzysie egzystencjalnym – dokładnie tak, jak od dawna mówiłeś". Miliarder, obserwowany na platformie X przez 240 mln osób, udostępnił obraz na swym profilu, a ten poszedł w świat jak pożar po bombardowanych przez Ukraińców ruskich rafineriach. Po kilku godzinach film był już na tysiącach kont i w ciągu dwóch dni trafił do dziesiątków milionów widzów. Udostępnił go także portal wPolityce.pl. Nie ma znaczenia, że jest blokowany, usuwany – wciąż gdzieś będzie wyskakiwał, wzbudzał emocje i wywoływał wielkie dyskusje. Jego pokaz w Bundestagu zapowiedziała AfD.

SPALIĆ ROTHERAM

Nakręcony za ledwie 3 mln euro film jest artystycznie naprawdę słaby, a także naprawdę wart obejrzenia. Jego siłą jest odwołanie się do prawdy i do tęsknoty za elementarną sprawiedliwością i godnością. Każdy normalny człowiek, widząc bezwstydną niegodziwość, ma czasami ochotę wziąć sprawy w swoje ręce.

eprasa.pl 166cbf2463



Każdy mówi, że spaliłby to wszystko, że gdyby dorwał w swoje ręce tego czy tamtego, to rozerwałby go na strzępy. Nie robimy tego nie tylko dlatego, że panujemy nad emocjami, że ograniczają nas normy kulturowe, lecz także ze zwykłego, zrozumiałego strachu. Wymierzający sprawiedliwość morderca psychopata jest go pozbawiony i pewnie miliony widzów mu tego zazdroszczą. Komentarze, że chcemy takiego bohatera, idą w setki tysięcy, jeśli nie w miliony. Któż nie chciałby mieć w swym ręku jak w biblijnej Księdze Sędziów miecza Gedeona i nim dokonywać zemsty?

Rozumie to także Fares Mongy, aktor wcielający się rolę muzułmańskiego ojca młodego gwałciciela. „Sprawiedliwość nie zawsze znajduje się na salach sądowych. Czasem ukryta jest w najbardziej mrocznych miejscach" – pisze na Instagramie. „W filmie »Citizien Vigilante« nie tylko zagrałem rolę Ibrahima, lecz także stoczyłem ze sobą pierwotną walkę, walkę z czymś, co zmusza do zakwestionowania wszystkiego. Czy wzięcie sprawiedliwości w swoje ręce wtedy, gdy prawo nie chroni słabych, jest moralnym obowiązkiem, czy przestępstwem? To nie jest po prostu kolejny film. To wyzwanie dla reżimu, w którym żyjemy. Kto z was odważy się stanąć w prawdzie?".

Dla setek tysięcy Europejczyków to nie są abstrakcyjne dylematy. Poseł do Izby Gmin Rupert Lowe przedstawił raport, z którego wynika, że w ciągu trzech dekad w Wielkiej Brytanii muzułmańskie bandy pedofilów wykorzystały seksualnie (w tym gwałty zbiorowe, zmuszanie do prostytucji) ponad 250 tys. dziewcząt w wieku od 11 do 15 lat w 140 gminach, hrabstwach i dystryktach. Być może szacunki są przesadzone, ale wiadomo, że tylko w jednym mieście – Rotherham na południu Anglii – ofiarami padło ok. 2 tys. dziewcząt. Przez co najmniej 25 lat policja, władze miasta, lekarze, nauczyciele, kuratorzy, ludzie z opieki społecznej, po prostu wszyscy tuszowali gwałcenie i zmuszania do prostytucji tysięcy odurzanych narkotykami, szantażowanych dziewczynek. Wszystko tłumaczono tak jak młody gwałciciel z filmu Bolla: dziewczynki same chciały, same się prostytuowały za prezenty.

A tak naprawdę chodziło o nędzny, lepki strach, o kariery i posady zagrożone tym, że jak się podejmie sprawę, to zostanie się oskarżonym o rasizm. Przez blisko 30 lat z powodu politycznej obłudy system, całe Rotherham i wszystkie jego instytucje – podobnie jak w ponad 100 innych miastach i miasteczkach – były zorganizowane, aby chronić imigrantów pedofilów i rzucać im dzieci na ofiarę. Spalić całe Rotherham to za mało.

Kiedy Musk udostępniał film, w Wielkiej Brytanii ogłoszono, że na wolność wychodzi Shabir Ahmed, szef gangu pedofilów i gwałcicieli z Rochdale, którzy mają na sumieniu co najmniej kilkadziesiąt ofiar. Zwyrodnialec został skazany w 2012 r. na 19 lat więzienia, ale wychodzi 5 lat wcześniej, bo jest już grzeczny czy też źle się czuje albo coś innego. Pomyślmy: ilu braci, ojców, dziadków wujków, może już nawet mężów tych dziewcząt chciałoby je pomścić? Ilu również zadaje sobie pytanie: kto jest większym wrogiem – muzułmańscy imigranci, gwałciciele i pedofile, czy ludzie systemu, którzy ich chronili, zdradzili własne wspólnoty i bóstwom politpoprawności składali ofiary z tysięcy dziewczynek?

STAROŻYTNY ZWYCZAJ WIESZANIA

Film zbiera miażdżące recenzje krytyków, wzbudza pompatyczne oburzenie jaśniepaństwa postępowych i oświeconych, ale 94 proc. internetowej populacji wie swoje i odbiera go pozytywnie lub entuzjastycznie. Właściwie zgodne jest twierdzenie, że wreszcie ktoś zniszczył tabu, tę skrajnie załganą lewicową konwencję, jakoby imigranci nie mogli ponosić odpowiedzialności za swoje czyny, bo winne są bieda, kolonializm, prawica, rasizm, nierozumienie zachodnich norm i co tam jeszcze. Przecież biednych przybyszy nie można zmuszać do tego, by uznali nasze zasady. Kiedy Hindusi oznajmili kolonizatorowi, brytyjskiemu generałowi i administratorowi prowincji Sindh Charlesowi Napierowi, że mają starożytny zwyczaj sati, iż palą żywcem wdowy na stosie pogrzebowym męża, ten odpowiedział: „Niech tak będzie. Palenie wdów to wasz zwyczaj, przygotujcie stos pogrzebowy. Ale mój naród ma taki zwyczaj, że gdy mężczyźni palą kobiety żywcem, to my ich wieszamy i konfiskujemy cały ich majątek. Moi cieśle więc wzniosą szubienice obok stosu, na których, gdy wdowa spłonie, powiesimy wszystkich w to zaangażowanych". Barbarzyństwo skończyło się z dnia na dzień.

Opinie w sieci pełne są entuzjazmu i radości, że ktoś odważył się zrobić taki film, ale te emocje są zalane goryczą. Powszechne jest przekonanie, że będzie dochodzić do aktów przemocy, że znajdą się naśladowcy Sandersa, a także iż zainstalowane w Europie Hamas, Hezbollah, ISIS oraz miliony imigrantów wypowiedzą otwartą wojnę i Europa stanie się kolejnym Libanem, Libią czy Syrią.

Komentarze do filmu pisze też niestety życie. Dzień po tym, jak Musk go udostępnił, w niemieckim Stade Turek zastrzelił w ośrodku dla młodzieży sześć osób. Cztery ofiary to kobiety. We Francji zatrzymano pięciu nastolatków z rodzin afrykańskich, którzy skatowali na śmierć autystycznego 17-latka. Kraj był wtedy wstrząśnięty zgwałceniem i zamordowaniem 11-letniej Lyhanny. System pozwolił przez lata wymykać się prawdopodobnemu sprawcy, Francuzowi, notorycznemu pedofilowi i gwałcicielowi. Być może więc niemiecka komisja od cenzurowania filmów, wszyscy ci postępowi, czystej krwi unijczycy mają rację – film Bolla obudzi mścicieli. To chyba nawet nie jest pytanie czy, ale kiedy.

eprasa.pl 166cbf2463



Jaka będzie odpowiedź Rosji?

Zdaniem wielu komentatorów Putin nie ustąpi i nie uzna, że przegrywa wojnę. Prawdopodobny wydaje się zatem scenariusz eskalacyjny, podjęcie przez Rosjan próby odzyskania inicjatywy, pokazania Ukrainie i światu, że Kreml nie ustąpi i ma zamiar kontynuować wojnę nawet przez następne kilka lat



MAREK BUDZISZ

Po raz pierwszy od wybuchu wojny Władimir Putin musiał przyznać publicznie, że nie przebiega ona po myśli Kremla. Pytany przez dziennikarza o kryzys paliwowy, który wybuchł w następstwie ukraińskich ataków, powiedział, że uderzenia „stwarzają problemy, to oczywiste. Obecnie obserwujemy pewien niedobór, ale nie jest on krytyczny". „Pewien niedobór paliwa", jak to ujął Putin, objął już 72 na 89 regionów Federacji Rosyjskiej. W niektórych, np. na okupowanym Krymie, nie sprzedaje się benzyny i oleju napędowego ludności cywilnej, w innych ustawiają się kilometrowe kolejki przed stacjami paliwowymi, niektóre z nich są już zamknięte. Agencje informują, że Rosja rozpoczęła rozmowy w sprawie importu benzyny i oleju napędowego z Indii i Kazachstanu, a ludzie czekają nawet 18 godzin, aby móc kupić paliwo.

PERTURBACJE W GOSPODARCE

Ekonomiczne skutki tego, co się dzieje, będą poważniejsze niż psychologiczne. Te ostatnie też są ważne, bo wszyscy w Rosji już wiedzą, że wojna wróciła, ale wymiar gospodarczy jest boleśniejszy. W tym przypadku nie chodzi o spadek dochodów rosyjskiego budżetu, który jest wymierny,

Fot. Dimitrije Ostojic/Shutterstock.com

eprasa.pl 166cbf2463

lecz o rosnącą presję inflacyjną. W ciągu dwóch ostatnich tygodni czerwca paliwo w Rosji podrożało średnio – jak obliczyli analitycy agencji Bloomberg – o 4,6 proc., co było największym jednorazowym skokiem ceny w ciągu ostatnich 20 lat. Ale to dopiero początek, bo niektóre stacje zaczęły sprzedawać benzynę po 100 rubli za litr, mimo że średnia cena w Federacji wynosi 74 ruble. Elwira Nabiullina, szefowa rosyjskiego banku centralnego, już wypowiedziała się przeciw skokowemu obniżeniu stóp procentowych (podstawowa stawka wynosi obecnie 14,25 proc.), bo jej zdaniem doprowadzi to do stagflacji, czyli powrotu wysokiej inflacji, czemu będzie towarzyszyć recesja w rosyjskiej gospodarce. Zdaniem jej krytyków tego rodzaju polityka doprowadzi jednak do pogłębienia już widocznych trendów. Sektor cywilny rosyjskiej gospodarki będzie się kurczył, a niewielki wzrost rosyjskiego PKB – po pięciu miesiącach wyniósł on 0,3 proc. i niedawno resort rozwoju trzykrotnie zmniejszył tegoroczną prognozę – będzie rezultatem produkcji na potrzeby wojny.

Z perspektywy zwykłych Rosjan niedogodności związane z kontynuowaniem „operacji specjalnej" będą narastać, a korzyści – w minionych latach wymierne, bo szybko rosły wynagrodzenia – przejdą do historii. Nastroje zaczną się szybko zmieniać, a niekorzystne dla Kremla procesy już się rozpoczęły, ponieważ w świetle oficjalnych danych ranking popularności Putina jest najniższy od 2022 r.

Wołodymyr Zełenski ogłosił niedawno 40-dniowy „plan przymuszenia Rosji" do rozpoczęcia rozmów pokojowych, którego istotą będzie intensyfikacja działań podjętych przez ukraińskie siły zbrojne. Będziemy obserwować częstsze uderzenia na rosyjskie rafinerie i obiekty przemysłowe, bo system obrony przestrzeni powietrznej został w poważnym stopniu osłabiony. Ukraińcy będą też chcieli przekształcić Krym w wyspę, metodycznie niszcząc mosty, przeprawy promowe i drogi, a także zmusić ludność cywilną do ucieczki po tym, jak bombardowanie magazynów gazu i niszczenie systemu energetycznego doprowadzi do sytuacji, w której na półwyspie nie będzie prądu, gazu, a problemem staną się również codzienne zakupy. Równolegle – jak zapowiedział Robert „Magyar" Browdi, dowódca ukraińskich wojsk dronowych – podległe mu jednostki przejmą „kontrolę ogniową" nad wszystkimi trasami lądowymi na okupowanych terenach, aby najpierw utrudnić, a docelowo nawet uniemożliwić zaopatrzenie sił rosyjskich.

ATAKI NA CYWILÓW

Jak Rosjanie odpowiedzą na ukraińskie działania, oczywiście o ile nie zdecydują się na rozpoczęcie negocjacji? To pytanie nurtuje wielu ekspertów obserwujących obecną fazę wojny. W grę wchodzi co najmniej kilka możliwości, bo zdaniem wielu komentatorów Putin nie ustąpi i nie uzna, że przegrywa wojnę.

Aleksiej Soczniew, rosyjski komentator wojskowy, napisał, iż ci, którzy myślą, że Putin może rozpocząć negocjacje pokojowe na ukraińskich warunkach, nie znają rosyjskiego prezydenta, jego biografii i psychologii. Krewni Putina przeżyli oblężenie Leningradu, przypomniał Soczniew, a on nie jest typem człowieka, który powie: „Dobra, chłopaki, rozumiem, zróbmy to na waszych warunkach". Bardziej prawdopodobny wydaje się zatem scenariusz eskalacyjny, podjęcie przez Rosjan próby odzyskania inicjatywy, pokazania Ukrainie i światu, że Kreml nie ustąpi i ma zamiar kontynuować wojnę nawet przez następne kilka lat. Co według tego scenariusza mogą zrobić Rosjanie?

W pierwszym rzędzie należy się spodziewać przejścia do powszechnego atakowania z powietrza celów cywilnych. Ta rosyjska odmiana wojny totalnej już się w gruncie rzeczy rozpoczęła. Na początku lipca zaatakowali oni ponad 30 celów w Kijowie, głównie budynków wielorodzinnych, zabijając jednej nocy 13 osób i raniąc niemal 90. O ile wcześniej starali się naprowadzać swe Gierany na cele wojskowe, o tyle teraz uderzenia będą miały na celu zastraszenie ludności, wywołanie paniki, może nawet sprowokowanie ucieczki.

Już w kwietniu, po spotkaniu z szefem wywiadu wojskowego i przygotowując się do trwającej właśnie rozgrywki, Zełenski zaczął mówić o pięciu możliwych rosyjskich „scenariuszach eskalacji wojny". Jednym z nich jest powtórny atak z północy. Gen. Syrski, dowodzący ukraińskimi siłami zbrojnymi, analizując w wywiadzie dla stacji telewizyjnej TCH możliwy rozwój wydarzeń, powiedział, że Rosjanie planują wkroczyć głębiej w obwód czernihowski i w ten sposób zmusić dowództwo ukraińskie do przegrupowania sił oraz obrony północno-wschodniej części kraju. „To najbardziej realistyczna opcja i przygotowujemy się do niej" – zauważył Syrski, a ukraińskie media uzupełniają te lakoniczne informacje doniesieniami o trwających pracach nad umacnianiem granicy.

Cel takiego działania Rosjan jest oczywisty. Chodzi o to, aby „rozciągnąć front i pozbawić nas rezerw" – zauważył dowódca ukraińskiej armii. Tego rodzaju manewr wojsk Kremla miałby zostać skoordynowany z intensywniejszymi atakami w Donbasie, bo rosyjscy korespondenci wojenni są zdania, że rezerwy kadrowe ukraińskich sił pozostają szczupłe i na wyczerpaniu. Dowodem na potwierdzenie ich tez ma być to, że w obronę najważniejszych punktów oporu w Donbasie Ukraińcy zaangażowali elitarne jednostki sił specjalnych podlegające GUR, czyli wywiadowi wojskowemu, normalnie przeznaczone do innych celów niż walka na froncie.

WCIĄGNĄĆ BIAŁORUŚ DO WOJNY

W ostatnich dniach światowe media zaczęły pisać także o tym, że Rosjanie chcą wciągnąć do wojny Białoruś, przekształcając konflikt dwustronny w starcie regionalne. Te doniesienia miał potwierdzić w rozmowie z Zełenskim szef ukraińskiego wywiadu wojskowego, a trwającą grę otwarcie opisali dziennikarze „The Wall Street Journal". Powołując się na nieujawnionych z nazwiska „rosyjskich i europejskich urzędników", napisali oni, że już na początku roku Rosja zwiększyła presję na Łukaszenkę, która w ostatnich tygodniach uległa nasileniu. Jej celem jest doprowadzenie do wojny regionalnej w związku z zaangażowaniem Białorusi, co miałoby stać się elementem scenariusza eskalacyjnego. Z tym właśnie miała być również związana zarówno rozmowa telefoniczna Macrona z Łukaszenką, którą inicjował Paryż, jak i tajemnicza podróż Nicolasa Lernera, szefa francuskiego wywiadu, który na początku czerwca odwiedził Mińsk i miał rozmawiać z białoruskim dyktatorem.

Wyprzedzając ruchy Rosjan, Zełenski sformułował pod adresem Mińska ultimatum, domagając się wyłączenia przez Białoruś czterech retransmiterów

eprasa.pl 166cbf2463

służących do naprowadzania rosyjskich systemów bezzałogowych na cele na zachodniej Ukrainie. W tym przypadku gra toczy się o znacznie poważniejszą stawkę, bo Łukaszenka przyznał publicznie, że spotkał się z ukraińskimi wysłannikami i miał rozmawiać na temat rozpoczęcia negocjacji Moskwy i Kijowa. Zaraz potem poleciał, by spotkać się z Putinem, ale jego rosyjska podróż wywołała więcej pytań. Przede wszystkim z tego powodu, że rozmowy w Wałdaju – a rosyjski prezydent zazwyczaj nie przyjmuje zagranicznych gości w tej rezydencji – trwały dwa dni, co oznacza, że zostały przedłużone i inaczej niż zwykle nie zakończyły się wydaniem wspólnego komunikatu.

Potem było jeszcze ciekawiej. Łukaszenka wezwał z Mińska drugi samolot i prosto z Rosji poleciał do Pekinu, gdzie z pompą spotkał się z Xi Jinpingiem. Chińskie rozmowy białoruskiego dyktatora zakończyły się wydaniem przez Pekin oficjalnego oświadczenia, w którym Chiny zagwarantowały suwerenność Białorusi, a ambasador Fu Cong na posiedzeniu ONZ wezwał Moskwę i Kijów, aby „wróciły do stołu rokowań" i w tym trybie zakończyły wojnę. Pojawiły się też spekulacje na temat wysłania przez Chiny kontyngentu wojskowego na Białoruś, co miałoby być gwarancją, że kraj nie zostanie wciągnięty do wojny lub anektowany przez Rosję.

ESKALACJA NA BAŁTYKU

Inną możliwością Kremla jest destabilizowanie sytuacji na Bałtyku czy granicy z Finlandią lub Estonią. W minionym tygodniu pojawiły się fotografie wykonane przez estońskie służby, na których widać, że na statku Marszałek Wasilewski Rosjanie zamontowali karabiny maszynowe, a wśród załogi są najprawdopodobniej wagnerowcy. Jest to o tyle istotna informacja, że statek ten służy do przewozu gazu LNG, obsługuje przede wszystkim obwód królewiecki i nie wchodził w skład rosyjskiej floty cienia, co oznacza, że nie istnieją formalne powody, aby obawiać się jego zatrzymania. „Nie ma żadnego uzasadnienia dla środków samoobrony na Bałtyku takich jak karabin maszynowy" – powiedział Agencji Reutera Yörük Işık z Bosphorus Observer, firmy zajmującej się analizowaniem bezpieczeństwa żeglugi. Jego zdaniem tego rodzaju posunięcie jest krokiem eskalacyjnym, ale może też świadczyć o tym, że Rosjanie przygotowują się do czegoś i uważają, że rytmiczne dostawy gazu do Królewca mogą być zagrożone.

Na początku lipca rząd Miszustina podjął również zaskakującą decyzję o zamknięciu przejść kolejowych na granicy z Finlandią, Estonią i Łotwą. Jukka Savolainen, fiński ekspert, powiedział w rozmowie z portalem yle.fi, że „może to być wstęp do ogłoszenia mobilizacji", ale w krótszej perspektywie chodzi o zablokowanie handlu, bo rosyjski rząd podjął też decyzję o ośmiokrotnym podniesieniu cen frachtów kolejowych.

W najbliższym czasie Rosjanie mogą podjąć próbę zakłócenia ruchu statków na Bałtyku, bacznie obserwowali bowiem działania Iranu i doszli do wniosku, że broń ekonomiczna jest skutecznym narzędziem presji. Tym bardziej jeśli koszty nie rozkładają się równomiernie, a tak jest w tym przypadku. Jak obliczyli eksperci ze szwedzkiego think tanku Politea, utrudnienia żeglugi, czyli częściowa blokada Bałtyku, będą kosztować gospodarkę Szwecji 4 proc. spadku PKB, podczas gdy cała UE tego właściwie nie odczuje, bo negatywne skutki takiego posunięcia Rosjan będą dla innych państw Wspólnoty dziesięciokrotnie mniejsze. W przypadku Finlandii, znaczenie bardziej niż Szwecja uzależnionej od dostaw morskich, skutki nawet częściowej blokady handlu będą jeszcze gorsze. W ten sposób Rosjanie mogą chcieć pokazać Polsce i północnej Europie, że „popieranie Ukrainy kosztuje" i zwiększyć napięcie, choćby na linii Warszawa–Kijów.

> W ostatnich dniach światowe media zaczęły pisać też o tym, że Rosjanie chcą wciągnąć do wojny Białoruś, przekształcając konflikt dwustronny w starcie regionalne

WIELKA MOBILIZACJA

Na Kremlu może wreszcie zapaść decyzja o mobilizacji. Raczej nie wcześniej niż po wrześniowych wyborach do Dumy, ale przygotowania do tego już trwają. Jak policzyli aktywiści kanału informacyjnego Groza, już od lutego w rosyjskich wyższych uczelniach prowadzona jest intensywna agitacja na rzecz wstępowania studentów do wojska. W przeszłości ich oszczędzano, ale teraz w ponad 320 uczelniach namawia się studiującą młodzież, aby zaciągała się do wojsk dronowych. W świetle tej narracji konsolidacja obozu władzy po wyborach umożliwi podjęcie niepopularnych decyzji, czyli wprowadzenie w życie scenariusza powszechnej lub częściowej mobilizacji.

W Rosji pojawiają się też głosy, aby zacząć walczyć „na serio", czyli użyć taktycznej broni jądrowej. Za tego rodzaju formułą eskalacji od dawna opowiadają się doradcy Kremla, tacy jak Karaganow czy Trenin, ale w tym wypadku nie chodzi o wywołanie wojny jądrowej, lecz o demonstracyjne użycie – w pierwszym kroku nad obszarem niezabudowanym – głowicy o niewielkiej mocy. Celem takiego posunięcia miałoby być pokazanie – przede wszystkim Europejczykom – że Rosja „nie może przegrać" wojny z Ukrainą.

Wreszcie niektórzy eksperci występujący w rosyjskich mediach argumentują, że Kreml nie musi podejmować żadnych nadzwyczajnych działań. Nawet jeśli Ukraińcom uda się przekształcić Krym w wyspę, to i tak nie mają oni sił na przeprowadzenie desantu i zdobywanie umocnionego i bronionego półwyspu. Ich zdaniem Kijów prowadzi obecnie „operację PR", której celem jest rozpoczęcie rokowań na własnych warunkach i wystarczy, że Rosja przetrwa napór ukraiński, a za kilka tygodni będzie jasne, że siły, którymi dysponuje Zełenski, nie są nieograniczone. Jesienią, kiedy okaże się, iż Kijów nie doprowadził do rokowań i nie jest też w stanie odbić okupowanych terytoriów, inicjatywa na froncie automatycznie znajdzie się w rękach Rosjan i wejdziemy w kolejną, tym razem być może rozstrzygającą fazę konfliktu.

eprasa.pl 166cbf2463

Czy będą wybory na Ukrainie?



JAN ROKITA

Jak uczy historia, pod koniec każdej długiej wojny demokratycznie rządzone narody pozbywają się swoich najwybitniejszych wojennych przywódców

Jeśli jesienią br. istotnie miałoby dojść do wyborów prezydenckich na Ukrainie, byłby to zapewne najbardziej doniosły akt wyborczy w Europie w ciągu całego 2026 r. W przeciwieństwie do przyszłego roku, kiedy planowane są wybory o kolosalnym znaczeniu dla przyszłości Europy – w Polsce, Francji, Włoszech i Hiszpanii – rok obecny jest czasem wyborczej posuchy.

Tymczasem właśnie dowiadujemy się z przecieków, że w Kijowie mniej więcej od połowy czerwca trwają intensywne konsultacje na temat terminu wyborów na Ukrainie. I wygląda na to, że taki plan poważnie rozważa i osobiście konsultuje prezydent Wołodymyr Zełenski. Przecieki te są wiarygodne i szczegółowe, co sprawia wrażenie, jakby były celowe i kontrolowane przez otoczenie głowy państwa. Całkiem możliwe, że jest to sposób na przetestowanie reakcji ukraińskich polityków, wpływowych mediów, a przede wszystkim potencjalnych konkurentów wyborczych obecnego prezydenta.

Przecieki na temat wyborów upowszechniła w ostatnich dniach „Ukraińska Prawda", bodaj najpoważniejsze i najbardziej bezstronne medium polityczne ukazujące się w Kijowie. Warto przypomnieć, że to gazeta (obecnie internetowa), założona niegdyś przez Heorhija Gongadze, ikonę ukraińskiego dziennikarstwa, który za swoją niezależność i krytykę władzy zapłacił życiem, porwany i zamordowany przez funkcjonariuszy bezpieczeństwa za czasów reżimu prezydenta Leonida Kuczmy. I do dziś, choć sytuacja na Ukrainie radykalnie się od tamtego czasu zmieniła, gazeta nadal specjalizuje się w niezależnym dziennikarstwie śledczym, nieraz sprawiając tym duże kłopoty ekipie prezydenta Zełenskiego.



Gen. Wałerij Załużny

ZAŁUŻNY: „TAK, WYSTARTUJĘ"

To właśnie w „Ukraińskiej Prawdzie" pojawiła się w ubiegłym tygodniu informacja o wezwaniu do Kijowa ukraińskiego ambasadora w Londynie Wałerija Załużnego pod pretekstem zdania prezydentowi sprawy z przebiegu nagłego kryzysu rządowego w Wielkiej Brytanii, a w rzeczywistości na rozmowę z Zełenskim na temat wyborów prezydenckich.

Wedle tej relacji, pochodzącej (według gazety) z kilku źródeł, prezydent miał przedstawić Załużnemu pogląd, iż po raz pierwszy od moskiewskiej inwazji sprzed przeszło czterech lat zarówno sytuacja na froncie, jak i powoli powracająca wiara Ukraińców w wojenne zwycięstwo pozwalają na

Fot. UkrPictures/Shutterstock.com

eprasa.pl 166cbf2463

w miarę bezpieczne przeprowadzenie wyborów. Zełenski miał się wyrazić, iż właśnie teraz widzi otwierające się „okno możliwości", po czym wprost zapytał byłego naczelnego dowódcę Sił Zbrojnych Ukrainy, czy w takich okolicznościach wystartuje w wyborach prezydenckich. „Tak, wystartuję" – miała paść szybka i pozbawiona wahań odpowiedź Załużnego.

Jak pamiętamy, 52-letni ambasador Załużny został „zesłany w dyplomację" dwa lata temu, gdy po przewlekłym konflikcie dotyczącym planów i przebiegu sławnej ukraińskiej kontrofensywy z 2023 r. Zełenski usunął go z funkcji naczelnego dowódcy i posłał do Londynu. Zresztą prezydent nie miał wtedy innego wyjścia, skoro po fiasku kontrofensywy, z którą zwłaszcza wojskowi w Ameryce wiązali pewne nadzieje, Załużny publicznie obciążył winą za tę porażkę głowę państwa. Chodziło wtedy o odrzucenie przez prezydenta opracowanego wspólnie przez sztab Załużnego i Amerykanów planu kontruderzenia na Moskali „jedną pięścią" na małym odcinku na Zaporożu, by szybko przebić się do Morza Azowskiego i odciąć od Rosji Krym.


Gen. Kyryło Budanow

Załużny nie krył tego, iż jego plan militarny dawał szanse na sukces, a operacja, którą armia przeprowadziła na rozkaz prezydenta, była strategiczną pomyłką. W efekcie na przekór państwowej propagandzie, optymistycznie rysującej wizję przebiegu wojny, generał udzielił brytyjskiemu „The Economist" wywiadu, w którym otwarcie mówił o krytycznej sytuacji armii ukraińskiej z początku 2023 r. Było to jeszcze długo przed tym, zanim Ukraina osiągnęła perfekcyjną zdolność przeprowadzania zmasowanych ataków dronowych na obiekty militarne i przemysłowe, zarówno w strefie przyfrontowej, jak i w głębi terytorium Rosji, wyraźnie zmieniając tym samym wojenny układ sił.

W Londynie, w zaskakującej zapewne dla niego samego roli dyplomaty, gen. Załużny zbywał pytania o swą przyszłą polityczną rolę, czyniąc to nawet z pewną dozą arogancji. Ale za to rezydencję dyplomatyczną w Holland Park przekształcił w ważny ośrodek ukraińskiej polityki, gdzie na spotkania i rozmowy nieustannie przybywali goście z Kijowa, a zachodni politycy pojawiali się, aby poufnie zorientować się w sprawie politycznej przyszłości Ukrainy. Podobno jednym z tych, którzy sondowali na tę okoliczność Załużnego, był także wiceprezydent J.D. Vance.

Sam ambasador chętnie wygłaszał przed brytyjską publicznością prelekcje na temat polityki międzynarodowej, technologii militarnych i przyszłych sojuszów, np. w lutym br. w Chatham House. Ostentacyjnie nie dbał zaś o lojalność, którą ambasador winien okazywać głowie państwa. W lutym br. udzielił agencji AP politycznie skandalizującego wywiadu, w którym ponawiał oskarżenia wobec Zełenskiego i prezentował własną wersję konfliktu z prezydentem. W Kijowie musiano zareagować sprostowaniami.

Wszystko wskazuje na to, iż czerwcowe wezwanie do Kijowa i rozmowy, które tam odbył zarówno z samym Zełenskim, jak i z ludźmi z jego ekipy (z pewnością z szefem frakcji Sługi Narodu w Radzie Najwyższej Arachamią i szefem Rady Bezpieczeństwa Umerowem) miały na celu nie tylko wysondowanie intencji ambasadora generała, lecz także zniechęcenie go do startu w wyborach. Wedle wspomnianych przecieków z kancelarii Zełenskiego prezydent był gotów zaoferować za to Załużnemu powrót do Kijowa i ważną funkcję państwową.

FAWORYT

Zdaje się, że to wszystko spaliło na panewce, a to znaczy, że w hipotetycznych wyborach – jeśli wierzyć ukraińskim sondażom – gen. Załużny wystąpiłby w roli faworyta. Wieść niesie, że swoją świetną reputację w ukraińskim społeczeństwie generał zawdzięcza w dużej mierze żołnierzom, którzy wśród bliskich i dalszych znajomych propagują mit o wybitnym, sprawiedliwym i nieprzekupnym dowódcy.

To całkiem możliwe, bo jeśli w wyborach Zełenski miałby mieć poważnych rywali, to zapewne tylko wojskowych. Cywilni politycy, którzy parę lat temu trzęśli ukraińską sceną polityczną, tacy jak Julia Timoszenko czy prezydent Poroszenko, wegetują teraz gdzieś na marginesach tamtejszej polityki.

Jakieś trzy miesiące temu Kijów obiegła pogłoska, iż zmęczony ośmioletnią

Fot. Volodymyr Tarasov/Ukrinform/East News

eprasa.pl 166cbf2463

prezydenturą i skrajnie wyczerpującymi czterema latami wojny Zełenski omawia ze współpracownikami wariant rezygnacji z ponownego ubiegania się o urząd głowy państwa. Najzupełniej realistycznie można to sobie wyobrazić. Zełenski jest przecież świadom, że przez te lata swoje musiał zrobić zarówno kiepski dla Ukrainy bieg zdarzeń wojennych, zwłaszcza w okresie 2023–2025, jak i śmierć dziesiątków tysięcy ludzi wysłanych przezeń na front. Do tego łapanki na młodzież w celu wcielenia jej do armii, korupcja na szczytach władzy związana z zamówieniami wojennymi i ustawicznie ataki przeciwników politycznych, zarzucających prezydentowi stworzenie na poły dyktatorskiego systemu rządów. Znów jeśli wierzyć ukraińskim badaniom opinii, prezydent może dziś liczyć na poparcie mniej więcej jednej trzeciej Ukraińców.

To i tak dużo, zważywszy na znaną łatwość, z jaką pod koniec każdej długiej wojny demokratycznie rządzone narody pozbywają się swoich najwybitniejszych wojennych przywódców.

Pod koniec II wojny światowej Anglicy, gdy tylko poczuli, że Hitler nie zagraża już Wyspom Brytyjskim, pozbyli się w pierwszych wyborach Winstona Churchilla, który ocalił kraj, zastępując go w roli premiera jakimś marnym lewicowym aktywistą, o którego charakterze najlepiej świadczy fakt, iż zgodził się na fałszywe oskarżenie Niemców w Norymberdze o zbrodnię katyńską. De Gaulle czy Piłsudski też musieli odejść zaraz po wojnach, podczas których byli wybitnymi przywódcami swoich narodów.

W każdym razie nie ma wątpliwości, że Zełenski nie tylko odegrał już historyczną rolę w dziejach Ukrainy, lecz także dokonał przy tym czegoś, co w pierwszym okresie wojny było wręcz niewyobrażalne. Zaatakowane przez Moskali państwo, które przed wojną nie odgrywało żadnej roli w światowej polityce, uczynił politycznym i militarnym mocarstwem oraz kluczowym partnerem USA, Unii Europejskiej i NATO. Po wojnie Ukraina nie utraci tej mocarstwowej – przynajmniej na skalę naszego regionu Europy – roli, a to radykalnie zmieni przyszły, powojenny obraz polityki środkowo- i wschodnioeuropejskiej. Ten, kto będzie przyjacielem Ukrainy po wojnie, będzie mógł na tym sporo zyskać, a polityczni wrogowie Kijowa mogą mieć poważne kłopoty. Tylko wybitny przywódca potrafi w taki sposób odmienić pozycję własnego kraju.

A MOŻE BUDANOW?

Podobno w kręgu Zełenskiego nie kryje się, iż jeśli zrezygnowałby on z walki o prezydenturę, to niejako z „jego nadania" wystąpi nowy szef jego kancelarii, 40-letni gen. Kyryło Budanow. To z pewnością postać niezwykła jak na polityka, a po trosze tajemnicza.

> Wedle przecieków z kancelarii Zełenskiego za cenę rezygnacji w wyborach prezydenckich prezydent był gotów zaoferować gen. Załużnemu powrót do Kijowa z placówki w Londynie i ważną funkcję państwową

Od młodości aż do tego roku Budanow był oficerem ukraińskiego wywiadu, przez krótki czas cywilnego, a od 2020 r. z nominacji Zełenskiego szefem HUR – wywiadu wojskowego, który odgrywa kluczową rolę w obecnej wojnie. Najbardziej brawurowe rajdy ukraińskich komandosów są dziełem Budanowa, który najczęściej sam nimi dowodził, tak jak w 2016 r. desantem na okupowany Krym, który wywołał publiczny atak wściekłości Putina.

Od tamtego czasu Budanow (podobnie jak jego żona) stał się dla moskiewskich służb zwierzyną łowną. Przeżył (jak opisywał „The Washington Post") co najmniej 10 zamachów na swoje życie.

Dziełem Budanowa są również obecne masowe ataki dronów na Moskwę i rosyjskie platformy wiertnicze, a najprawdopodobniej również wysadzenie niesławnej pamięci bałtyckich rur gazowych z Rosji do Niemiec. Jednak naprawdę – mimo ugruntowanej popularności Budanowa na Ukrainie – trudno ocenić, czy ukraiński James Bond mógłby mieć szanse w starciu wyborczym ze statecznym i trzeźwo myślącym gen. Załużnym.

Nie wiadomo, czy wybory prezydenckie na Ukrainie istotnie odbędą się jesienią br., ale wiemy, że po raz pierwszy od wybuchu wojny Kijów przygotowuje się na taką możliwość. Oczywiście przeprowadzenie wyborów w warunkach wojny niesie za sobą liczne trudności – trzeba choćby wymyślić jakąś fikcję prawną, aby zawiesić akt wyborczy na terytoriach okupowanych, i to w taki sposób, aby nie stało się to potem pretekstem do kontestacji wyniku wyborczego i możliwego przewrotu inspirowanego przez Moskwę. Tak czy owak wybory to operacja wysokiego ryzyka, ale także przynosząca liczne pożytki Ukrainie. Rok temu Zełenski był przecież otwarcie kontestowany przez Trumpa jako „dyktator bez wyborów" i nawet przez chwilę mogło się wydawać, że Waszyngton dał się przekonać Kremlowi do takiej kontestującej jego władzę argumentacji. Co jednak ważniejsze, ogłoszenie wyborów stanowiłoby spełnienie powracających żądań formułowanych na samej Ukrainie. Nowo wybranemu prezydentowi łatwiej by też było podpisać się pod hipotetycznym rozejmem z Moskwą, z pewnością wymagającym co najmniej faktycznej rezygnacji z okupowanych przez Moskali terytoriów Ukrainy.

Ale największym ryzykiem wyborczym dla Ukrainy jest nagłe odejście przywódcy tego formatu co Wołodymyr Zełenski, i to w chwili, gdy zapewne zbliża się kluczowy moment politycznego przetargu o kształt rozejmu i przyszłe losy kraju. Bo też żaden następca, zwłaszcza w krótkim czasie, nie będzie w stanie zapewnić sobie porównywalnej z Zełenskim pozycji w świecie.

eprasa.pl 166cbf2463

Nowy czarny charakter

Premier Bułgarii Rumen Radew zapowiedział weto wobec kolejnego unijnego pakietu sankcji na Rosję, tłumacząc to obroną interesów narodowych. A prasa europejska znów zaczęła nawoływać do zniesienia jednomyślności w Radzie UE i odebrania Sofii funduszy unijnych. Orbána już nie ma, ale jest tak, jakby wciąż był



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Gdy Péter Magyar, lider partii TISZA, pokonał Viktora Orbána w kwietniowych wyborach na Węgrzech, większość europejskich przywódców odetchnęła z ulgą. „Po raz pierwszy od lat na sali nie ma Rosjan" – zażartował premier Donald Tusk na szczycie Unii Europejskiej w tym samym miesiącu. Jednak niedługo potem, patrząc na południowy wschód Europy, niektórym znów zrzedły miny. 8 maja Rumen Radew został zaprzysiężony na premiera Bułgarii, po tym, jak jego ugrupowanie Postępowa Bułgaria zyskało absolutną większość w 240-osobowym Zgromadzeniu Narodowym, kończąc długi okres politycznego klinczu i niestabilnych rządów koalicyjnych. Gabinet 62-letniego generała rezerwy, byłego dowódcy sił powietrznych i prezydenta w latach 2017–2026 jest pierwszym od 20 lat, który będzie mógł rządzić samodzielnie.

NIE DLA MILITARNEJ POMOCY

Radew uchodzi za populistę i eurosceptyka. Gdy był prezydentem, sprzeciwiał się wojskowemu wsparciu dla Ukrainy, a jego stosunek do Rosji – jak sam wielokrotnie podkreślał – był i jest „pragmatyczny". Podczas swojej prezydentury wielokrotnie próbował zablokować pakiety pomocy wojskowej dla Ukrainy, stosując weta prezydenckie, jednak parlament, poparty przez proeuropejską większość, zdołał je odrzucić. Tuż przed pełnoskalową agresją Kremla w 2021 r. nazwał Krym „rosyjskim", co wywołało protesty Kijowa i zaniepokojenie Waszyngtonu. Podczas kampanii skupiał się wprawdzie na tematach wewnątrzpolitycznych, jak rozbicie modelu „oligarchiczno-korupcyjnego", trapiącego kraj. Jej ostatniego dnia zapowiedział jednak, że nie chce blokować unijnych mechanizmów wsparcia Kijowa, ale zarazem nie zamierza w nich uczestniczyć (podobnie jak Czechy, Słowacja i Węgry).

Gdy przywódcy UE zebrali się w Brukseli na czerwcowym szczycie, zapowiedział, że Sofia zawetuje proponowany przez UE 21. pakiet sankcji wobec Rosji. Jego sprzeciw dotyczył zarówno kwestii geopolitycznych, jak i łańcuchów dostaw, a także wpisania patriarchy Cyryla na unijną listę osób objętych zamrożeniem aktywów i zakazem podróżowania, Łukoilu, operującego jedyną bułgarską rafinerią w Burgas oraz możliwych zakłóceń w dostawach nawozów i części zamiennych do sofijskiego metra. Podczas konferencji o odbudowie Ukrainy w Gdańsku Radew demonstracyjnie nie wziął udziału w spotkaniu pozostałych przywódców wschodniej flanki NATO. Kwestia patriarchy wydawała się przy tym szczególnie istotna i wywołała ostrą debatę w bułgarskim parlamencie.

Bożydar Bożanow, wiceprzewodniczący opozycyjnej frakcji parlamentarnej Demokratycznej Bułgarii, koalicji partii centroprawicowych i proeuropejskich, zarzucił nowemu premierowi, że „zmienia Bułgarię w Węgry Orbána". „Ochrona patriarchy Cyryla nie czyni Bułgarii bezpieczniejszą, bogatszą, bardziej wpływową, bardziej konkurencyjną, nie wzmacnia naszej pozycji w Unii Europejskiej i bezpieczeństwa regionu Morza Czarnego" – dodał.

ROPA I RELIGIA



Radew uważa jednak, że sankcje „szkodzą gospodarce Bułgarii i UE" oraz że należy zwiększyć import rosyjskich paliw kopalnych (który Unia chce zakończyć do 2027 r.), w tym w szczególności ropy. Jego zdaniem Europa powinna zaprzestać sprzedaży broni Ukrainie i naciskać na szybkie zawarcie pokoju. Ponadto Bułgaria nie poparła utworzenia Specjalnego Trybunału ds. Zbrodni Agresji Rosji przeciwko Ukrainie. Rzecznik prasowy Kremla Dmitrij Pieskow pochwalił Radewa, mówiąc, że jest „pod wrażeniem".

Na domiar złego, jak pisze „The Economist", Radew krytykuje Zielony Ład, postuluje wsparcie dla przemysłu węglowego (odpowiedzialnego za produkcję ok. 30 proc. energii elektrycznej w Buł-

eprasa.pl 166cbf2463

garii), a do tego chce wzmacniać relacje z Ameryką Donalda Trumpa i szuka kontaktów w ruchu MAGA. Chociaż Radew poparł rozpoczęcie rozmów akcesyjnych UE z Ukrainą i spotkał się w Brukseli z prezydentem Wołodymyrem Zełenskim, aby omówić bezpieczeństwo energetyczne i produkcję dronów, publicznie bronił również roli rosyjskiego Kościoła prawosławnego w historii Bułgarii, który miał pomóc wyzwolić ją „spod osmańskiej niewoli", a byłego prezesa Łukoilu Wagita Alekperowa opisywał jako osobę, która zainwestowała „znaczne zasoby i wysiłki" w rafinerię w Burgas. Za co – w domyśle – Bułgarzy powinni okazać mu wdzięczność. Łukoil grozi zresztą Sofii sądem za zakaz importu rosyjskiej ropy, wprowadzony w 2024 r. „Nie pozwolimy na sankcje, które szkodzą Bułgarii i jej gospodarce" – powiedział Radew bułgarskim dziennikarzom w Brukseli podczas wywiadu 18 czerwca.

Jak pisze „Deutsche Welle", Bułgaria nie byłaby pierwszym państwem UE, które zablokowałoby lub opóźniłoby sankcje UE przeciwko Rosji (Węgry i Słowacja robiły to w przeszłości), ale stanowiłoby to odejście od dotychczasowego kursu Sofii w polityce zagranicznej, bo od 2022 r. nie blokowała ona żadnych pakietów sankcyjnych. Według „The Economist" bułgarskie firmy zbrojeniowe przeżywają znaczny rozkwit od początku wojny, sprzedając Ukrainie amunicję w stylu radzieckim. Niemiecki Rheinmetall planuje budowę fabryki pocisków w Bułgarii o wartości 1 mld euro, częściowo finansowaną ze środków unijnych.

BARDZIEJ FICO NIŻ ORBÁN?

Posunięcia Radewa pozostają więc dla europejskich elit niezrozumiałe. Eksperci wskazują jednak na dążenie nowego premiera do konsolidacji władzy pod hasłami obrony interesów narodowych i suwerenności. Jako prezydent cieszył się największym zaufaniem spośród bułgarskich polityków i był powszechnie uważany za człowieka nieuwikłanego w partyjne układy, niesplamionego uczestnictwem w aferach korupcyjnych, które doprowadziły do masowych protestów w grudniu 2025 r. i upadku ówczesnego rządu Rosena Żelazkowa. Obiecał on Bułgarom gospodarczy rozkwit i stabilność. Czyli priorytetem zamiast pomocy dla Ukrainy ma być dobrobyt własnych obywateli.

Retoryka Radewa spotkała się zresztą z uznaniem wśród Bułgarów. Według najnowszego badania Eurobarometru 45 proc. z nich (prawie dwa razy więcej niż średnia w UE) nie popiera sankcji przeciwko Rosji. Pozostaje pytanie, czy Radew to rzeczywiście nowy Orbán. Niektórzy eksperci, np. z European Policy Council, argumentują, że pozycja Bułgarii w UE jest o wiele słabsza niż pozycja Węgier, szczególnie pod względem gospodarczym. Kraj znajduje się w kryzysie, na dodatek w Bułgarii niedawno wprowadzono euro, więc państwo stało się jeszcze bardziej zależne od Brukseli, czyli Europejskiego Banku Centralnego i funduszy unijnych. Radew nie będzie więc chciał iść na pełną konfrontację z UE. Będzie chciał grać na wielu fortepianach, ale bardziej w stylu premiera Słowacji Roberta Ficy niż byłego już premiera Węgier.

> Radew nie będzie chciał iść na pełną konfrontację z UE. Będzie chciał grać na wielu fortepianach, ale bardziej w stylu premiera Słowacji Ficy niż byłego już premiera Węgier

Inni eksperci wskazują na to, że poprzez Radewa i jego otoczenie „rosyjska narracja oraz interesy są od dawna konsekwentnie wprowadzane do bułgarskiej rzeczywistości". A sam Radew, który podczas pierwszych lat swojej prezydentury rzeczywiście starał się być pragmatyczny, ostatnio się zradykalizował i antyunijność stała się „jego politycznym credo".

27 czerwca w Sofii odbył się pierwszy protest przeciwko nowemu premierowi. Demonstrację zwołali aktywiści inicjatywy Bułgarzy Zjednoczeni w Jednym Celu. Wiec zgromadził ok. 1 tys. osób, a jego przedmiotem była m.in. „kompromitacja Bułgarii na arenie międzynarodowej", czyli prorosyjska postawa Radewa.

ILUZORYCZNA ULGA

Tymczasem w europejskiej prasie polityczne decyzje nowego bułgarskiego premiera zapoczątkowały kolejną już dyskusję o zniesieniu jednomyślności w Radzie Europejskiej, szczególnie w dziedzinie polityki zagranicznej i obronnej. „Problemem UE nigdy nie był wyłącznie Orbán. To system, w którym jednomyślność może przekształcić sprzeciw jednego kraju w kontynentalne weto. Jednomyślność jest broniona jako gwarancja suwerenności. Wielokrotnie wykorzystywana jako instrument blokujący odwraca ona mechanizm zabezpieczający, który miała zapewniać. Jeden rząd uzyskuje władzę w polityce zagranicznej nad pozostałymi 26 krajami. To nie jest konsensus w żadnym sensownym sensie. Konsensus wymaga perswazji i kompromisu" – czytamy na portalu EU Observer. Według niego „groźba blokady Bułgarii pokazuje, jak iluzoryczna była ta ulga [po przegranej Orbána w wyborach – przyp.red.]".

Pojawiły się także apele o użycie mechanizmu warunkowości wobec Bułgarii, która właśnie otrzymała 1 mld euro z funduszu odbudowy UE. Radew wykorzystał tę okazję, aby argumentować, że krajowi krytycy przesadzają w swojej ocenie jego decyzji o zawetowaniu sankcji, a instytucje UE wierzą w nowy rząd Bułgarii.

W skrócie: Orbána już nie ma, ale jest tak, jakby wciąż był. Weto przeniosło się z Budapesztu do Sofii i przeniesie się zapewne jeszcze wielokrotnie, z jednej stolicy do drugiej. Podobnie jak rola czarnego charakteru, która po Orbánie na razie przypadła Radewowi. Czy Bułgaria zrealizuje swoją groźbę zawetowania unijnego pakietu sankcji, okaże się podczas serii spotkań stałych przedstawicieli UE w tym miesiącu.

eprasa.pl 166cbf2463

Wolne narody nie chcą superpaństwa

Co powinien zrobić nowy rząd? Wycofać się z SAFE, wycofać się z ETS. Skończyć z ideologią rozwoju fotowoltaiki i wiatraków. Nie kontynuować zamykania kopalń i elektrowni węglowych. Trzeci element to małe reaktory jądrowe. Mamy polskie programy



Z prof. Zbigniewem Krysiakiem ze Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, przewodniczącym Rady Programowej Instytutu Myśli Schumana oraz członkiem Rady Gospodarczej przy Prezydencie RP, rozmawia Jerzy Szmit

Jest pan czołową postacią Instytutu Myśli Schumana. Jak dziś Robert Schuman, jeden z twórców Unii Europejskiej, zareagowałby na to, jak funkcjonuje Wspólnota?

Zbigniew Krysiak: Bardzo ostro, oczywiście w sportowym znaczeniu tego słowa. Wiem, że to zaskakuje, bo Schuman oficjalnie jest czcigodnym sługą Bożym Kościoła katolickiego. Nigdy nie atakował ludzi, zawsze walczył o sprawę. Jestem jednak pewien, że dzisiaj ze wszystkich sił organizowałby opór przeciw budowie europejskiego superpaństwa. A potrafił to robić. W sprawach zasadniczych był bardzo stanowczy. W latach 20. ub.w. francuski rząd chciał zerwać konkordat i usunąć religię ze szkół w Lotaryngii. Wówczas Schuman organizował wielkie demonstracje i protesty oraz zawiązywał polityczne koalicje, aby do tego nie dopuścić. On zawsze był zwolennikiem silnych, suwerennych państw, dobrowolnie współpracujących ze sobą.

Dzisiaj to federalizm stał się agresywny.

Obecne dążenia do centralizacji władzy w UE i likwidowania suwerenności narodów mają ideologiczne podstawy w manifeście z Ventotene, stworzonym przez komunistów. Jego głównym autorem był Altiero Spinelli. Dokument powstał w 1941 r. Trwała wtedy wojna, a potem rozpoczął się czas odbudowy i obrony przed komunizmem Zachodniej Europy, więc idee federalistyczne pozostawały na marginesie. Ale wraz ze stabilizacją i tworzeniem wspólnoty europejskiej federaliści ruszyli do ofensywy. W 1993 r. wszedł w życie traktat z Maastricht, który oparł budowę UE na usunięciu modelu wspólnoty według koncepcji Schumana. Ostro zarysował kurs ograniczania suwerenności państw, zapowiedział wprowadzenie wspólnej waluty – euro. Schuman przewidywał, że kiedyś „apostołowie" Spinellego dojdą do głosu i będą dążyli do stworzenia europejskiego superpaństwa.

Czy spotkało się to z reakcją?

Niestety była ona stanowczo zbyt słaba, można nawet powiedzieć, że istniała wielka nieświadomość zagrożeń i rzeczywistych celów centralistów. Również w środowiskach katolickich nie pamiętano, że Schuman proroczo przestrzegał przed budowaniem superpaństwa. Po podpisaniu traktu z Maastricht nie było już wspólnoty europejskiej, tylko Unia. Pogłębiły to traktaty zawarte w Amsterdamie, a następnie w Lizbonie w 2007 r., który podpisała także Polska.

A federaliści nabrali siły.

Tak. W sierpniu 2016 r., zaraz po tym, jak Brytyjczycy zdecydowali w referendum o opuszczeniu UE, zorganizowano spotkanie Angeli Merkel, kanclerza Niemiec, François Hollanda, prezydenta Francji, i Matteo Renziego, premiera Włoch, na którym zadeklarowano wolę dalszego tworzenia europejskiego superpaństwa. Co najciekawsze, odbyło to się w formie rozmowy z nieżyjącym Spinellim, tak jakby był obecny wśród nich. To pokazuje, że u podstaw tego kierunku politycznego leży przesłanie duchowe odwołujące się do życia nadprzyrodzonego, tyle że nie w rozumieniu chrześcijańskim, lecz antychrześcijańskim i masońskim. Ten negatywny wymiar daje im impet do czynienia zła. Schuman otwarcie o tym mówił i pisał.

Jak się temu przeciwstawić?

Najważniejszy jest wymiar duchowy. Politycy prawicowi powinni pójść za przykładem Schumana i działać zgodnie z duchem dobrych relacji z Bogiem, bo daje on siłę do walki z tymi, którzy chcą tworzyć świat bez niego.

W konsekwencji działania przywódców dzisiejszej UE prowadzą do dławienia rozwoju gospodarczego, odbierania wolności ludziom, absurdu multi-kulti czy masowego wpuszczenia nielegalnych emigrantów. Nowy ład ma być wprowadzany za pomocą tych narzędzi?

Przywódcy UE są świadomi, że z tej polityki nie ma pożytków ekonomicznych,

21/0626/F

eprasa.pl 166cbf2463

a dla społeczeństwa są to działania destrukcyjne. Jednak – co zdecydowanie powtórzę – nad wszystkim jest ideologia zapisana w manifeście z Ventotene. Im więcej chaosu, tym szybciej będą kontrolować społeczeństwo, a to pozostaje bezwzględnym celem władzy. Dlatego chcą usunąć państwa i instytucje narodowe, skoncentrować finanse, zawładnąć obronnością i wszczepić nowe, przewrotne znaczenie podstawowych wartości oraz pojęć, takich jak wolność, dobro, piękno, tolerancja, prawa człowieka i rodzina. Dzisiaj projekt budowania superpaństwa ma wymiar wyłącznie fałszywej ideologii.

Czy tym taranem ma być też Ukraina, która puka do bram Unii? Pojawiło się nawet odnoszące się do niej pojęcie „odwróconej akcesji", tzn. że Kijów dostaje pełne kompetencje polityczne, a całą resztę będzie negocjował z czasem. Jakie może to nieść zagrożenia dla Polski?

Całe szczęście, że ten pomysł nie przejdzie, ale to, co się dzisiaj dzieje wokół pamięci o rzezi wołyńskiej, świadczy o tym, że Ukraińcy nie chcą wspólnie przepracować tej sprawy. Zgoda na to, by Ukraina weszła w takim stanie do UE, będzie oznaczała zachętę do agresji w innych dziedzinach: ekonomii, gospodarki, kultury. Kijów woli rozmawiać z Berlinem niż z Warszawą, a co gorsze, w Polakach widzi zagrożenie. Wypowiedzi ukraińskich polityków są bardzo agresywne. Nie chcą rozmowy ani normalnych, partnerskich stosunków. Budują listę swoich oczekiwań, sięgając po polskie zasoby, a jeżeli życzenia nie są spełniane, wyrażają swoje rozgoryczenie. Polski punkt widzenia nie ma dla nich znaczenia. W tym kontekście – moim zdaniem – Niemcy wykorzystują obecnie Ukrainę jako narzędzie do budowania IV Rzeszy o nazwie Mitteleuropa.

Z pomocą Zachodu Ukraina broni się przed agresją Rosji. Wojna jednak kiedyś się skończy. Co będzie potem?

Gospodarczo Ukraina już dziś jest zależna od koncernów amerykańskich, niemieckich, holenderskich i od wielkiego międzynarodowego kapitału. Garstka rodzimych oligarchów wydaje zarobione na Ukrainie pieniądze w Monako czy Dubaju. Gdy wojna się skończy, ta zależność jeszcze się pogłębi, do tego dojdą konflikty wewnętrzne. Oby nie było tak jak w Polsce, gdzie według Tuska za wszystkie kłopoty odpowiada PiS, i oby nie okazało się, że odpowiedzialność za problemy Ukrainy ponosi Polska.

Po 2,5 roku rządów Donalda Tuska finanse publiczne znalazły się w katastrofalnym stanie. Kiedy osiągniemy punkt krytyczny?

Czasami słyszę, że mimo wszystko gospodarka się rozwija, na co miałyby wskazywać wyniki gospodarki podawane przez GUS. Są trzy filary rozwoju wzrostu gospodarczego: inwestycje, eksport i konsumpcja wewnętrzna. Niestety dwa pierwsze, długoterminowe, przeżywają regres. Wysoka konsumpcja wynika z kapitałów zgromadzonych wcześniej przez

REKLAMA

niedziela.pl

katolicki portal,

który niesie INFORMACJĘ I FORMACJĘ

■ ZAWSZE BIEŻĄCE WIADOMOŚCI Z ŻYCIA KOŚCIOŁA, POLSKI I ŚWIATA,
■ MULTIMEDIA ■ KULTURA I PODRÓŻE

www.niedziela.pl

Zeskanuj i sprawdź!

eprasa.pl 166cbf2463

Polaków, jest też wspierana przez środki unijne i inne zewnętrzne. Niestety obserwujemy redukcję inwestycji i wychodzenie podmiotów gospodarczych z Polski, dotyczy to także naszych rodzimych firm.

Co jest tego przyczyną?

Jest ich wiele, ale wspomnę o fundamentalnej – cenach energii. Pomysł, aby rezygnować z energetyki bazującej na węglu czy atomie i oprzeć energetykę na elektrowniach wiatrowych albo panelach fotowoltaicznych jest szkodliwym absurdem, którego skutki już odczuwamy. Są dostępne wyniki amerykańskich, niemieckich i polskich badań pokazujące, że koszt wytworzenia w ten sposób 1 MWh jest do kilkunastu razy wyższy niż pozyskanie energii z tradycyjnych źródeł. Dotychczas dzięki dotacjom tzw. OZE się rozwijają. Do tego dochodzą absurdy niszczące europejską gospodarkę, czyli ETS. Niestety to wszystko wynika z ideologii, o której mówiłem wcześniej.

Czy w finansach publicznych grozi nam scenariusz grecki?

Niedawno napisałem o tym do „Naszego Dziennika". Zmierzamy dokładnie w tym kierunku, zaczynając od przenoszenia publicznych zakupów do Niemiec. Sztandarowym przykładem jest program SAFE, na którym skorzystają nasi zachodni sąsiedzi, a my poniesiemy gigantyczne koszty. Zamiast skorzystać z zasobów finansowych Narodowego Banku Polskiego, co przedstawiono w propozycji prezesa NBP prof. Adama Glapińskiego, które są wielokrotnie tańsze od SAFE, rząd Donalda Tuska chce płacić wysokie odsetki, dzięki czemu będą się bogacili Niemcy. Grecja zaciągała zobowiązania, chętnie udzielano jej kredytów – do czasu, gdy okazało się, że nie radzi sobie ze spłatą. Wtedy wykupywano ich publiczny majtek, infrastrukturę, porty, koleje, lotniska. Robili to głównie Niemcy. Kilka miesięcy temu Komisja Europejska opublikowała raport, z którego wynika, że za siedem lat polski dług w stosunku do PKB sięgnie 107 proc. Wtedy pojawi się pretekst, aby pod hasłem naprawy finansów publicznych ograniczać wydatki i wyprzedawać majątek publiczny.

Prof. Leszek Balcerowicz twierdzi, że sposobem na rozwiązanie problemów budżetowych jest cięcie wydatków socjalnych.

Prowadzono badania na temat wpływu 500+ i 800+ na gospodarkę w mniejszych miejscowościach. W czasach rządów Tuska małe biznesy zamykano, a po wprowadzeniu 500+ w 2016 r. zaczęły powracać do życia, bo te pieniądze nie były transferowane za granicę, lecz poprawiały byt milionów Polaków i napędzały gospodarkę. Co więcej, udało się to zrobić mimo znaczącego wzrostu inflacji. Podobnie z płacą minimalną. Jej wzrost miał zabijać firmy, a okazało się, że wpłynął na podniesienie efektywności pracy. To pokazują wyniki badań, a nie bezrefleksyjnie głoszone poglądy.

Przyszły rząd odziedziczy finanse publiczne w fatalnym stanie. Od czego powinien zacząć?

Wycofać się z SAFE, wycofać się z ETS. Skończyć z ideologią rozwoju fotowoltaiki i wiatraków. Nie kontynuować zamykania kopalń i elektrowni węglowych. Trzeci element to małe reaktory jądrowe. Mamy polski reaktor POLA w Narodowym Centrum Badań Jądrowych w Świerku. Minister Czarnek doprowadził do tego, że w 2018 r. przeznaczono pieniądze na ten projekt. W ciągu kilku lat – co jest fenomenem – przygotowano jego koncepcję. Jest to pierwsza w Europie, najbardziej zaawansowana technologia małego reaktora wysokotemperaturowego, który oprócz produkcji prądu i ciepła do domów może wytwarzać ciepło o temperaturze ok. 600 st. Celsjusza, które jest kluczowe dla wielu gałęzi przemysłu, takich jak przemysł stalowy, chemiczny i hutniczy. Trzeba wycofać się z umowy wojskowej z Niemcami i przejrzeć umowę z Wielką Brytanią pod kątem polskiego interesu. Zdaję sobie sprawę, że te sprawy wywołają wielkie poruszenie i sprzeciw, ale czy chcemy naprawiać sytuację, czy biernie czekać na katastrofę?

Od strony prawnej będzie to trudne.

Potrzebna jest przede wszystkim wola. Np. w sprawie wyjścia z ETS wystarczy w polskiej ustawie rozszerzyć katalog źródeł energii nieobciążonych podatkiem za emisje CO_2 o węgiel i gaz, bo np. biomasa jest wyłączona, mimo że także emituje dwutlenek węgla. Niech w UE system działa dalej, ale bez udziału Polski. Do tego trzeba też namawiać państwa Trójmorza i budować z nimi koalicję.

Jak pan ocenia postawę swoich studentów, przyszłych ekonomistów, wobec zagrożeń stojących dziś przed Polską?

Studenci są bardzo zaniepokojeni sytuacją i negatywnie nastawieni do tego, co się dzieje. Co ciekawe, z tych obserwacji wynika, że zwolenników rządu jest coraz mniej. Rośnie sympatia do Konfederacji i innych ugrupowań prawicowych. Młodzi ludzie widzą wzrost bezrobocia i malejące szanse, mimo że są dobrze wykształceni oraz posiadają umiejętności w zakresie tak ważnych zastosowań sztucznej inteligencji. Sądzę, że zostanie to wyrażone w najbliższych wyborach. Niestety wielu myśli o wyjeździe, ale już nie do Europy Zachodniej, bo widzą rosnące tam zagrożenia, ale do USA.

Instytut Myśli Schumana, którego jest pan założycielem, formuje młodych ludzi do pracy na rzecz dobra Polski. Jak idzie ta praca?

Okazuje się, że ta trudna sytuacja czasem sprzyja rozwojowi. Nadal prowadzimy Powszechny Uniwersytet Nauczania Chrześcijańsko-Społecznego im. Jana Pawła II, na którym ludzie w różnym wieku poznają tajniki ekonomii, energetyki jądrowej, kwestię płacy minimalnej, przedsiębiorczości. Nie pytamy, czy jesteś katolikiem i czy chodzisz do kościoła – mówimy o tym, jak wartości chrześcijańskie sprzyjają rozwojowi biznesu. Pokazujemy, że te idee były i są produktywne. Prowadzimy Akademię Schumana, organizujemy konkursy myśli Schumana. Ostatnio wręczaliśmy nagrody w liceum w Piekarach koło Krakowa. Wśród tych młodych ludzi było widać wielkie poruszenie. Wspieraliśmy młodzież z Piekar w obszarze wiedzy ekonomicznej, ostatnio w konkursie organizowanym przez NBP ci młodzi ludzie zajęli trzecie miejsce. To pokazuje, że talenty i potencjał rozwojowy są wszędzie. W innej szkole podczas Konkursu Myśli Schumana uczennica wyraziła pretensje wobec dyrekcji, że nie słyszała o wizji Europy, o jaką walczył Schuman. Dlaczego? Bo według niej Europa Schumana jest taką, jaką pragnie ona i wielu jej rówieśników. Jak widać, wartości chrześcijańskie zawsze prowadzą do pozytywnych efektów.

eprasa.pl 166cbf2463

Zwierciadła polityki

Polityka to świetny materiał na film. Obraz pomaga rozumieć jej mechanizmy, a także tajemnice. Pokazać zimną przemoc instytucji, ułomność demokracji, banalne zło totalitaryzmów oraz potęgę techniki w służbie nowoczesnego państwa



Kadr z filmu „Trzy dni Kondora”

Fot. Impuls/East News

eprasa.pl 166cbf2463



MACIEJ WALASZCZYK

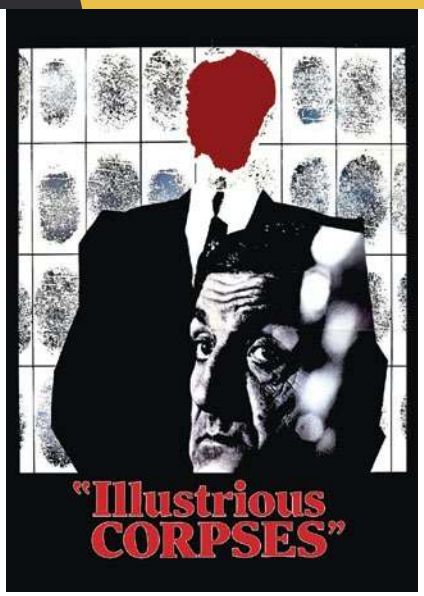
Czas letniej kanikuły zachęca do sięgnięcia po dawno nieoglądane lub nigdy niewidziane filmy. Jeśli więc ktoś nie ma dosyć polityki, warto odświeżyć stare, dobre kino

Nie będę zachęcał do obejrzenia jeszcze raz takich amerykańskich hitów jak „Wszyscy ludzie prezydenta", „JFK", serialu „House of Cards" czy też polskich przebojów: „Psy", „Gry uliczne" albo kina moralnego niepokoju, które są znane dość powszechnie.

Oto całkiem subiektywny zestaw wakacyjnego kina okołopolitycznego. To pozycje różne stylistycznie, lecz aktualne i uniwersalne, bo upadek demokratycznych elit, groźne oblicza totalitaryzmu, problem niejawnej władzy oraz zmieniającej życie technologie to nasza codzienność. Oglądajmy – z zastrzeżeniem, że „wszelkie podobieństwa do osób i zdarzeń są celowe".

1. „Szacowni nieboszczycy" (1976)

Włosko-francuski thriller w reżyserii Francesca Rosiego, włoskiego mistrza gatunku. Film na motywach „Kontekstu" Leonarda Scasciego faktycznie ukazuje włoskie realia przełomu lat 60. i 70., tzw. lat ołowiu, porwań, zabójstw i politycznej przemocy. Uczciwy inspektor Rogas (Lino Ventura) poszukuje więc zabójcy trzech wybitnych, lecz skorumpowanych sędziów. Na ekranie widzimy również Charlesa Vanela, Fernanda Reya i rewelacyjnego Maksa von Sydowa.



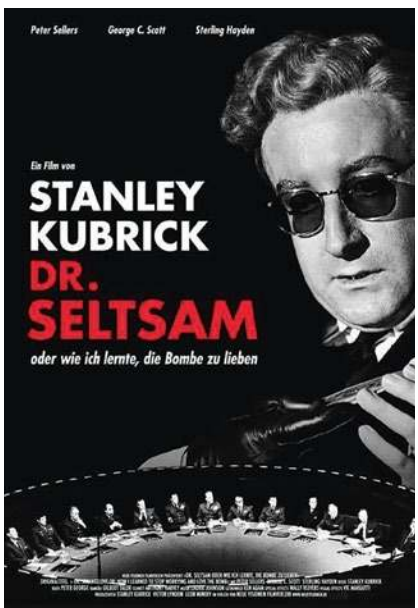
Napięcie nieustannie rośnie, bo obraz miał być przestrogą przed nieokreśloną prawicową dyktaturą. Dziś jest znakomitym studium wyradzania się demokratycznej władzy, dążącej do samozachowania jej za wszelką cenę. Odsłaniającym kulisy zmowy między partiami i wymiarem sprawiedliwości, w którym „nadzwyczajna kasta" sędziów widzi siebie w roli kapłanów politycznego porządku. Gdzie sieć mafii, polityków i mylących tropy, gromadzących informacje oraz inspirujących np. akty lewackiego ekstremizmu służb specjalnych stapia się w jeden system. Co więcej, rządzący i nawet ich najbardziej radykalna komunistyczna opozycja spiskują, spotykając się na wspólnych imprezach, bo – jak mówi jeden z towarzyszy – „Prawda nie zawsze jest rewolucyjna". Tryumfuje niejawne oblicze polityki.

2. „Doktor Strangelove, czyli jak przestałem się martwić i pokochałem bombę" (1964)

Czarno-biały hit Stanleya Kubricka w pełnej autentycznego komizmu fabule ukazuje wspinanie się po kolejnych szczeblach eskalacyjnej drabiny prowadzącej wprost do wybuchu III wojny światowej. Oczywiście w realiach obowiązującej już wówczas zimnowojennej doktryny wzajemnie gwarantowanego zniszczenia (MAD), czyli atomowej apokalipsy. Mimo upływu 60 lat historia ta wciąż jest aktualna, szczególnie dziś, gdy Moskwa z nonszalancją filmowego gen. Rippera grozi użyciem atomówek, a rakiety balistyczne regularnie bombardują cele w Iranie, Izraelu czy na Ukrainie.

We wrześniu 1983 r. ekran sowieckiego radaru pokazał, że do terytorium ZSRR zbliża się pięć amerykańskich rakiet balistycznych. Oficer, który pełnił dyżur, mimo procedur na szczęście zignorował alarm, spowodowany błędem urządzenia. Na ekranie, gdy jeden z bombowców nie odbiera sygnału odwołującego atak, zawodzi zautomatyzowany system, niezdolny do ludzkiego rozpoznania.

Naprawdę warto to zobaczyć, choćby ze względu na prowadzoną w słynnym war roomie rozmowę między prezydentem USA, kapitalnie odgrywanym przez Petera Sellersa, a nie mniej komicznym sowieckim przywódcą. Sellers wcielił się tu w trzy postaci, w tym tytułowego dr. Strangelove'a. Gdy atomowa zagłada już się rozpoczęła, szalony naukowiec rodem z Niemiec proponuje zorganizowanie w podziemnych bunkrach idealnego społeczeństwa przyszłości. Po covidzie wiemy, że to wszystko jest możliwe, a – jak twierdził Bauman – ludobójstwo to produkt nowoczesności: zaplanowane, przewidywalne i racjonalne.



aprasa.pl 166cbf2463



3. „O uroczystości i gościach" (1966)

Znakomity czechosłowacki nowofalowy film w reżyserii Jana Němeca jest uznawany za jeden z najostrzejszych ataków na system komunistyczny. Nakręcony w okresie poprzedzającym tzw. praską wiosnę, a więc okres chwilowej liberalizacji przerwanej inwazją wojsk Układu Warszawskiego w 1968 r.

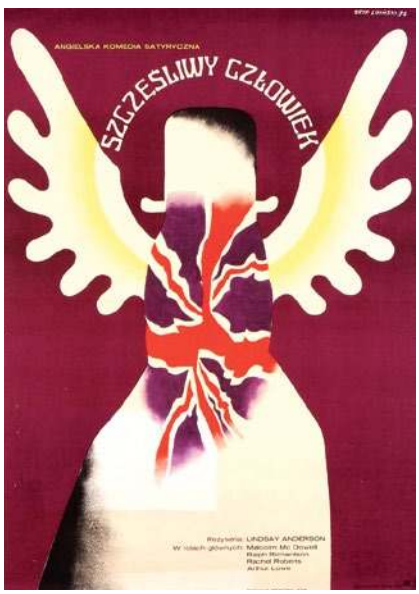
To groteskowa przypowieść o relacji między jednostką a władzą, jej nadużyciach, strachu, konformizmie i logice totalitarnej opresji, odbierającej kawałek po kawałku indywidualną wolność. Często za zgodą i w obliczu uległości poddanych jej przemocy. Akcja zaczyna się od plenerowego pikniku kilku mężczyzn i kobiet, którzy w lesie zostają otoczeni i psychologicznie sterroryzowani. Kobiety zostają rozdzielone od mężczyzn, rozpoczynają się przesłuchania, w wyniku których dla przetrwania i spokoju podejmują współpracę. Gospodarz reprezentuje archetyp władcy, arbitralnie nagradzającego i karzącego swych poddanych, a goście – poza jednym wyjątkiem – są uosobieniem bierności i tchórzostwa.

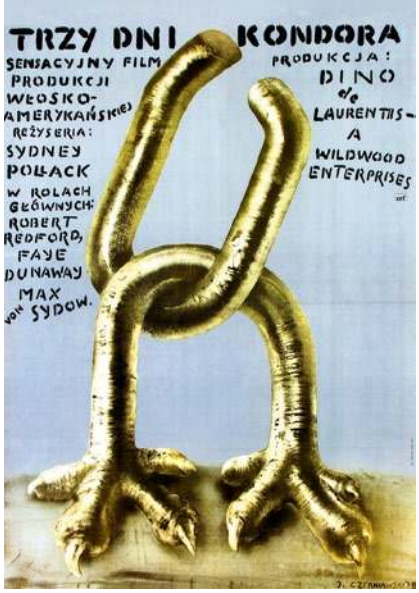
Film został najpierw pokazany sekretarzowi Novotnemu, który zakazał jego wyświetlania, uznając wyśmiewanie społeczeństwa socjalistycznego za absurd, podatny na „niepożądane interpretacje polityczne". Legendarny film aż do 1989 r. był więc zakazany, ale do dziś nic a nic nie utracił ze swej aktualności. Ludzie zawsze są konformistami.

4. „Szczęśliwy człowiek" (1973)

To kąśliwa przypowieść Lindsaya Andersona o nowoczesnym społeczeństwie, w której główną rolę gra znany z „Mechanicznej pomarańczy" Malcolm McDowell. Streszcza los jednostki stającej wobec wielkich, bezdusznych korporacji, którym musi się podporządkować. Film jest pełnym niepokojącej siły i przywołującym ducha Kafki czy Swifta trzygodzinnym dramatem o Travisie, będącym uosobieniem dobroduszności i podporządkowania regułom systemu.

Ambitny, młody sprzedawca kawy zostaje wysłany na podbój rynku w północnej Anglii. Na swojej drodze nieustannie spotyka się jednak z korupcją współczesnego społeczeństwa, policjantów czy przedstawicieli lokalnej, małomiasteczkowej socjety, prowadzącej podwójne życie. Seria przypadków sprawia jednak, że idealny obywatel zostaje wciągnięty w eksperymenty medyczne, aferę szpiegowską i apokaliptyczne gry wojenne, a w końcu handel bronią. Prawo i sprawiedliwość zastępuje skorumpowana władza. „Granica między Izbą Lordów a więzieniem jest bardzo cienka", więc w roli kozła ofiarnego trafia do więzienia, które z ambitnego karierowicza zamienia go w idealistycznego aktywistę społecznego. Jeden naiwny światopogląd zastępuje mu inny.





5. „Trzy dni Kondora" (1975)

Jeden z najsłynniejszych thrillerów szpiegowskich w reżyserii Sydneya Pollacka ze znakomitą rolą główną Roberta Redforda, a także udziałem m.in. Maksa von Sydowa w roli najemnego zabójcy Jouberta. Film, zawierający też intrygujący wątek romantyczny, stawia odwieczne pytanie o to, jaki sens ma pojęcie „wolnej prasy", jeśli posiadający wpływy korumpują media. Jak wiadomo, powstał on po ujawnieniu afery z podsłuchami w wieżowcu Watergate, gdzie mieściły się biura Partii Demokratycznej, doprowadzając po dwóch latach do impeachmentu prezydenta Nixona w 1974 r. Dwuznaczną rolę odegrali w tym dziennikarze „The Washington Post", którzy za sprawą informacji z CIA ujawnili włamanie do biur. Zdaniem republikańskich komentatorów afera zmieniła amerykańską politykę i media tak, jak heroina atakuje mózg. Sens dziennikarstwa nieodwracalnie odszedł bowiem od przekazywania wiadomości do osiągania politycznych celów.

Film przedstawia Josepha Turnera, tytułowego „Kondora", a zarazem agenta CIA odpowiedzialnego za czytanie książek – choćby po to, by zwrócić uwagę na fakt, że jakiś kiepsko sprzedający się kryminał jest tłumaczony na egzotyczne języki. W ten sposób odkrywa on tajną operację, której stawką jest pozyskiwanie bliskowschodniej ropy, zapewniającej USA bezpieczeństwo na dekady, przez co „firma" postanawia wyeliminować całą tajną komórkę białego wywiadu wraz z pracownikami. Tu racja stanu zwycięża nad jawnością życia publicznego, wzmagając do dziś falę paranoicznych teorii spiskowych. Prawda jest jednak taka, że tajne

eprasa.pl 166cbf2463

służby – nie tylko amerykańskie – prowadziły podejrzane operacje na długo przed objęciem urzędu przez Nixona i po jego rezygnacji. Jak przyznaje Higgins, tych wojen nie da się już ponumerować.



6. „Salvatore Giuliano" (1962)

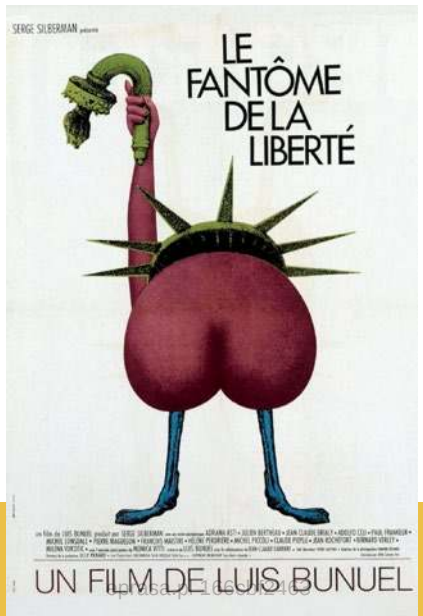
Kolejny znakomity włoski dramat w reżyserii Francesca Rosiego. Opowiada o roli, którą w latach 1943–1950 odegrał sycylijski bandyta Salvatore Giuliano. W 1943 r. wraz z wojskami amerykańskimi na Sycylię wróciła mafia rozbita przez Mussoliniego. Pozapaństwowa organizacja o korzeniach sięgających czasów feudalnych idealnie nadawała się do zorganizowania ruchu oporu wobec faszystów. Stawką była obiecana wyspie autonomia, a nawet niepodległość. Jednak im szybciej Niemcy byli wypierani przez wojska alianckie, tym powstańczy ruch stawał się bardziej kłopotliwy, a ostatecznie władzę objęli zwolennicy republiki.

Osamotnione oddziały kontynuowały jednak walkę, odpowiadając m.in. w 1947 r. za masakrę uczestników komunistycznego wiecu w Portella della Ginestra. Film ukazał, że za ich antykomunistycznymi działaniami stała tajna policja polityczna, co dokumentował sekretny dziennik Giuliana, w którym skrupulatnie odnotował on relacje z politykami, mafiosami i wysokimi funkcjonariuszami służb. Najbarwniejsze fragmenty filmu rozgrywają się na sali sądowej, a tajemnicze okoliczności śmierci sycylijskiego „Robin Hooda" do dziś są przedmiotem teorii spiskowych.

7. „Widmo wolności" (1974)

Surrealistyczny francusko-włoski film Luisa Buñuela lub komedia absurdu w klimacie Mrożka. Reżyser zaatakował w nim zarówno francuską burżuazję, która w tym czasie uległa już jednak dekadencji, jak i cały tworzony przez nią porządek społeczny. Katolicka kultura została wyparta, moralność wywrócona do góry nogami, a dziś tylko obserwujemy skutki następujących po sobie kolejnych etapów tej rewolucji, wraz z sekularyzacją, degradacją kultury i odwróceniem pojęć (zjawisk tych z opóźnieniem doświadczamy też w Polsce). W każdej scenie system wartości i norm społecznych jest odwrócony do góry nogami, czego symbolem staje się obrzydzenie, z jakim rodzice małej dziewczynki oglądają fotografie paryskich zabytków. To, co święte, jest sprofanowane, tabu zostało przełamane, a syte społeczeństwo nie potrafi korzystać z przywileju wolności – samo stało się surrealistyczne. „Precz z wolnością!", „Niech żyją kajdany!" – woła hiszpański lud w stronę wojsk Napoleona.

Po latach Buñuel przyznał, że urodził się w mieście, w którym średniowiecze trwało aż do I wojny światowej. „Miałem szczęście spędzić dzieciństwo w średniowieczu, bolesnym materialnie, ale wykwintnym duchowo. Przeciwieństwie czasów dzisiejszych".



8. „Transcendencja" (2014)

Choć film będący reżyserskim debiutem Wally'ego Pfistera nie zdobył wielkiego uznania, z biegiem lat nabiera wymowy. Nie jest on spektakularnym widowiskiem science fiction, lecz solidną, klasyczną filmową dystopią o tym, co ukradkiem wdziera się do naszego życia, a więc sztucznej inteligencji. Z Johnnym Deppem i Morganem Freemanem w rolach głównych.



To opowieść o walce między człowieczeństwem a postępem naukowym, za którym stoi potęga anonimowego państwa. Pytanie o próbę skutecznego przekroczenia granicy między ludzkim mózgiem a maszyną, stworzenie posiadającego samoświadomość komputera i osiągniecie cyfrowego życia po śmierci. Widmo „nowej ludzkości" rodzi jednak ruch oporu, bunt współczesnych luddystów, dokonujących ataków na laboratoria badawcze. W pewnym momencie nawet FBI ma wątpliwości, czy zwalczając ich, stanęło po słusznej stronie. Słynny „Unabomber" Ted Kaczynski twierdził przecież, że tylko akty rewolucyjne zatrzymają niekończący się rozwój społeczeństwa przemysłowego i zwrócą człowiekowi wolność. Naukowcy, studząc histerię, zapewniają, że komputer to tylko moce obliczeniowe, a nasza wiedza jest głębsza niż ta, którą może on pozyskać. Czy zostaliśmy przekonani?



Nie można zatajać zbrodni

Dekadę temu odbyła się premiera filmu „Wołyń" Wojciecha Smarzowskiego. Przypominamy emocje i wypowiedzi towarzyszące tej produkcji

Nie w rocznicę wołyńskiej kulminacji – 11 lipca, ale 7 października 2016 r. trafił do widzów „Wołyń". Produkcja od czasu reżyserskiej zapowiedzi budząca zarówno wiele emocji, jak i nadziei. Na dialog. Na przywrócenie pamięci bestialsko pomordowanym. Przede wszystkim Polakom, a także Ukraińcom, którzy nie chcieli się godzić na mord. Czy to z przyzwoitości, czy z racji – choćby rodzinnych – powiązań. Scenariusz wydawał się otwierać drogę do dyskusji – o przeszłości, a także teraźniejszości, w której wreszcie pojawiłaby się realna szansa na godne pochówki. „Wydawał się", bo już wtedy wyraźnie rysowało się stanowisko strony ukraińskiej.

„Trzepnie po sercu i głowie. Sponiewiera. Ale remisu nie będzie" – zapowiadał Smarzowski jeszcze w trakcie zdjęć. „Bo choć racje każdej ze stron zostaną uwzględnione, liczby ofiar mówią za siebie" – dodawał.

„Wołyń" powstawał w czasie – jak wtedy oceniano – wyjątkowego zbliżenia z Ukrainą. Reżyser uznał jednak, że to nie powód do przemilczeń. „Nigdy nie było dobrego czasu, żeby ten film zrobić" – podkreślał. „Czy za komuny, czy później, czy dziś z Majdanem w tle. […] Kiedy mówimy o pojednaniu Polska–Ukraina, nie można zatajać prawdy o zbrodni, bo zatajanie jej to prosta droga do nowych zbrodni".

Scenariusz autorstwa Smarzowskiego powstał na motywach zbioru opowiadań „Nienawiść" Stanisława Srokowskiego. Filmowy tekst był konsultowany wielokrotnie i z różnymi środowiskami, począwszy od kresowych, najbardziej zaangażowanych emocjonalnie, po historyków (m.in. Grzegorza Motykę czy Leona Popka), z których opiniami zgadzały się środowiska ukraińskie. „Każdą uwagę, jaka do mnie dotarła, także ze strony ukraińskiej, uczciwie analizowałem" – zapewniał reżyser.

ZABICI DWA RAZY

Akcja „Wołynia", rozpoczęta w 1939 r. – kiedy społeczność małej wsi, w której obok siebie mieszkają Ukraińcy, Polacy i Żydzi, spotyka się na hucznym weselu – znajduje finał w 1945 r. Ludobójstwo na Kresach zostało pokazane oczami Zosi Głowackiej, w pierwszych scenach 18-latki. Zagrała ją wówczas studentka drugiego roku warszawskiej AT, Michalina Łabacz.

„Rzeź wołyńska przywołuje mocne obrazy i wymusza mocne określenia. Jak to, że »kresowiaków zabito dwa razy, raz siekierami, raz przez niepamięć«. Dalej tak uważam. Dlatego robię ten film" – mówił Smarzowski.

Pytany, czy nie obawia się zaognienia relacji polsko-ukraińskich, odpowiadał, że jeśli relacje te mają być dobre, to będą. Ale nie ma zgody na pomijanie racji tysięcy pomordowanych i traumy, która towarzyszy tym, którzy przeżyli.

KONSTRUOWANIE WROGA

Jak „Wołyń" został odebrany przez Ukraińców? Chętnie także dziś cytowana autorka Oksana Zabużko dwa lata po polskiej premierze filmu, którego nie widziała, nazwała obraz szkodliwą propagandą „działającą przeciw Ukraińcom tak samo jak propaganda rosyjska". Oceny dokonała po przeczytaniu scenariusza, przesłanego jej w 2014 r. przez jednego z ukraińskich aktorów.

Co takiego dostrzegła Zabużko w historii o prostych ludziach, sąsiadach, członkach mieszanych rodzin, którzy latem 1943 r. trafili do piekła?

Przede wszystkim „konstruowanie" wroga, „tworzenie" obrazu Ukraińca – rzeźnika. „To jest szkoła nienawiści z myślą o barbarzyńskiej przyszłości" – mówiła w wywiadzie udzielonym w 2018 r. W najnowszych wypowiedziach też powtarza narrację, że „gra na traumach" jest manipulacją.

„Wołyń" nie był wyświetlany w ukraińskich kinach. Zdaniem rozmówczyni „to by nie dodało Polsce sympatii". „Dawne krzywdy polsko-ukraińskie zarosły trawą. A teraz jest to rozdrapywane" – mówiła osiem lat temu. „Nie chciałabym, aby zburzyły nasze dobre relacje. […] to wzywanie uśpionych demonów" – dodawała, uzupełniając: „Terroryzm ukraiński w latach 30. nie pojawił się znikąd. Polska musi przewietrzyć swoją bieliznę historyczną z dwudziestolecia międzywojennego". Brzmi znajomo.

POMNIK PAMIĘCI

Pięć lat temu Rada Gminy Jarocin zdecydowała, by w Domostawie stanął pomnik, oficjalnie nazywany Memoriałem Ofiar Ludobójstwa na Kresach Wschodnich. Odsłonięto go 14 lipca 2024 r.

Do sieci ma trafić zrealizowany własnym sumptem, trzyodcinkowy serial dokumentalny „Sąsiedzi. Ostatni świadkowie ukraińskiego ludobójstwa na Polakach" w reżyserii Jacka Międlara, „czterokrotnie skazanego dzięki dochodzeniom i postępowaniom zainicjowanym przez Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych" za „wspieranie propagandy Rosji i szczucie Polaków na Ukraińców", czyli „dzień w dzień mówienie o ludobójstwie na Wołyniu".

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Forum Film

eprasa.pl 166cbf2463



HITY i KITY ZAREMBY



Kronika „prawie powstania” – „Poznań 1956”

W upalną niedzielę Poznaniacy obchodzili 70. rocznicę Czerwca 1956 r. Przyjechał prezydent Nawrocki i zagraniczni goście. Pisałem z tej okazji artykuł o tym, co ta rocznica oznacza dzisiaj. Przypomniałem sobie też film Filipa Bajona „Poznań 1956”

Stworzony w 1996 r. – w 40. rocznicę poznańskiego „prawie powstania” – czarno-biały obraz zdarzeń, kręcony chwilami prawie jak dokument, chropawy, o poszarpanej narracji. Reżyser obserwował to wystąpienie na poznańskich ulicach jako 9-letni chłopiec.

Poznaniacy zawsze byli przedstawiani jako beznadziejni legaliści. „Dlaczego podczas wojny nie było tam konspiracji? Bo była nielegalna” – ten dowcip opowiada się do dziś. A tu tamtejsze masy ruszyły nie do demonstracji jak później, w 1970 r. w Gdańsku czy Szczecinie. Nie zamknęły się też w zakładach pracy jak w Trójmieście w 1980 r. Ruszyły do regularnej walki, rozbrajały milicjantów, a czasem również żołnierzy, a potem strzelały ze zdobytej broni.

Dlaczego akurat tam? Na pewno było to pokolenie, które dopiero co przeżyło wojnę. Ryzyko śmierci w walce było dla niego wciąż naturalne. Bajon to pokazał. Zarazem rozmawiając ze znawcami tamtych zdarzeń z Poznania, wyczułem dystans wobec jego filmu. Ma być zbyt relatywistyczny. Faktycznie, robotnik Stach Kaczmarek, grany przez Tadeusza Szymkówa, najpierw wyprowadza ludzi na ulice, a potem zaczyna odwodzić ich od dalszych działań. Z kolei robotnik Zenek (młody Michał Żebrowski) to zapalczywy watażka, chcący odkupić jakieś swoje ustępstwa wobec władzy chojrakowaniem. „Radykałowie” wydają się niezbyt obliczalni.

Tyle że nie wiemy, co naprawdę sądzi o poszczególnych zachowaniach sam Bajon. Także zachowania dwóch chłopców, których wędrówki po zrewoltowanym mieście spajają całość, jawią się jako chwilami wręcz irracjonalne. Ale autor filmu zdaje się nikogo nie osądzać. Pokazuje, że w momencie wybuchu za bohaterami zdarzeń ciężko nadążyć. Na początku trochę zabrakło czytelniejszego sygnału, dlaczego naprawdę wybuchł bunt. Ale da się wyłowić z tego gwaru robotnicze żale bytowe, a także lęk przed wszechobecnym systemem, zmieniony w zaciętość. Pokazuje to już początek: dzieci w podstawówce, które odmawiają przystąpienia do lekcji, nie chcą zdjąć tornistrów, przyprawiając o wzburzenie nauczycielkę (w tej roli młoda Agata Kulesza).

Potem mamy chaos, a także wcale nie relatywizowane nagie okrucieństwo tej władzy. To w końcu jej funkcjonariusze zabijają jednego z chłopców, Piotrka. Ujęcie, jak siedzi martwy na krześle na podwórku, wprost nawiązuje do śmierci 13-letniego Romka Strzałkowskiego, który stał się twarzą finalnej masakry.

Mamy zdezorientowanego czołgistę (Olaf Lubaszenko), którego tłum chce powiesić, ale w końcu zabija go strzałem w plecy oficer, uznając za dezertera. Zdarzenia, które pokazał Bajon, są prawdziwe. Grupy młodych buntowników naprawdę wyjeżdżały zdobytymi pojazdami poza Poznań, atakując lokalne komendy milicji.

Mamy też wstrząsające sceny w konkretnym szpitalu. O tym, jak dzielne były tamtejsze pielęgniarki, zaświadczał Konrad Doberschütz, dziennikarz i poeta, aresztowany i skazany w 1959 r. na trzy lata więzienia za wiersze o tamtych zdarzeniach:

„Wtedy byłyście dla nas – promykiem nadziei. / Siostry ze szpitala Raszei!”. I dalej: „Za tę zaciętość na Waszych twarzach. / Gdy opatrywałyście nas na sali. / I za ten zgiełk śmiertelny na korytarzach, / Kiedy na Waszych rękach nasi konali. / Za te ostatnie pocałunki na czole, byśmy już nie cierpieli, / Za biel Waszych fartuchów, / I za czerwień krwi na tej bieli...”.

Piotr Zaremba

Fot. TVP

Naprawdę zły Zełenski?

Zbigniew Parafianowicz wstrzelił się książką „Kłopot z Zełenskim" w sprzyjający jej czas. Narasta antagonizm polsko-ukraiński i zaczęliśmy potrzebować odbrązowienia wojennego wizerunku prezydenta Ukrainy. Mam wątpliwości, czy autor nie posunął się w tym szukaniu skaz zbyt daleko. Ale przeczytać warto

Pewien filmowy producent zażądał na swoim profilu na Facebooku, aby Parafianowiczem zajęły się polskie służby specjalne. Jego narracja ma się podobno pokrywać z putinowską. Absurd tego ataku na mainstreamowego dziennikarza (kiedyś „Dziennik Gazeta Prawna", dziś Wirtualna Polska) pokazuje, jak trudno rozstać się z mitami. Jeszcze niedawno wielu Polaków (ja także) nie miało odwagi spojrzeć na Wołodymyra Zełenskiego inaczej niż jak na bohatera wojennego.

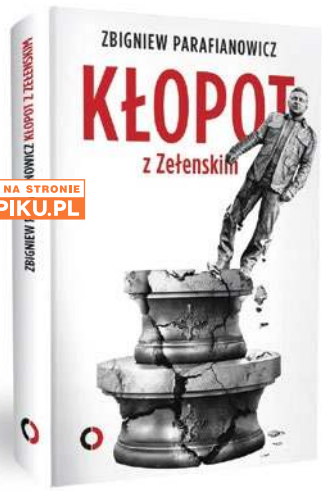
Co nie znaczy, że nie mam wątpliwości. Odrzucam zarzut, że padają tu wyłącznie anonimowe wypowiedzi. Opowiadają: „polski dyplomata" albo „współpracownik Zełenskiego". Inaczej takiej książki, zaglądającej za kulisy, nie dałoby się napisać. Wiara, że wszystko jest tu autentyczne, zależy od zaufania do autora.

Ale chwilami miałem wrażenie, że to bardziej zbieranie faktów do aktu oskarżenia niż do wyważonej sylwetki. „Pyta pan o bezczelność Zełenskiego" – tak zaczyna pewien dyplomata. Dowiadujemy się, że polityk bywa chamski, kłamliwy, zakochany w sobie. Choć skądinąd nawet ta wypowiedź nie jest jednoznaczna. Dyplomata opowiada, że pewność siebie ukraińskiego przywódcy wynika m.in. z tego, że liderzy innych państw odchodzą, a on trwa na szańcach. „Do tego polowali na niego Rosjanie. Po co miałby gryźć się w język, skoro jutro mogło go nie być"?. Ano właśnie.

Parafianowicz pokazuje, jak łatwo oszukać się na pozorach przyjaźni Zełenskiego. Kieruje to do polskich polityków, także do ekipy Donalda Tuska, którego ukraiński prezydent wsadził do osobnego pociągu jadącego na Ukrainę, oddzielając od wielkich tego świata. Chciał go upokorzyć. Powtarza też absurdalne zarzuty: każdy osaczony prezydent próbowałby wciągnąć w konflikt innych.

Skądinąd obszerne partie książki nie dotyczą Zełenskiego, lecz np. sprawczości polskiej dyplomacji, ba, polityki Trumpa. W książce nie ma wątku wojny o Wołyń, choć sam temat naturalnie się pojawia.

Jest to wolne od prawicowej ortodoksji. „Zełenskiego naprawdę trudno lubić. Niczym się nie różni od Muska czy Trumpa" – mówi polski urzędnik. Ponownie: no właśnie.



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Fot. Materiały prasowe

MŁODY HŁASKO W KOLORZE MROKU

Słuchowisko Radia dla Ciebie „Wilk. Już za późno na wszystko" według debiutanckiej prozy Marka Hłaski traktuję trochę w kategoriach ciekawostki, choć dobrze przyrządzonej i zagranej. Interesujące jest w nim jednak spojrzenie na realia II RP

Aleksandra Głogowska, dyrektorka programowa Radia dla Ciebie, sprawna reżyserka radiowa, lubi niespodzianki. A to wystawi w eterze dwa odkryte utwory Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, a to sięgnie po nigdy niegrany dramat „Gąsienica" Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, przykład międzywojennego feminizmu.

Debiutancką powieść Marka Hłaski z 1953 r. przyniósł do radia biograf pisarza Radosław Młynarczyk. Wcześniej Głogowska zrealizowała pierwszą część, ta jest druga. Warto nadmienić, że sławny potem buntownik napisał „Wilka" w wieku niespełna 20 lat. Jego rówieśnikiem jest bohater powieści Lewandowski, chłopak z robotniczej rodziny.

Tekst przedstawia życie na proletariackim Marymoncie jako pasmo koszmarów i udręk. Młynarczyk i Głogowska mają rację: język młodego Hłaski był całkiem dojrzały. Co nie znaczy, że nie został przeładowany filozofowaniem i przesadną retoryką. Unosi się nad nim smutek straconego życia. Główny bohater mówi o tym nieustannie. Gdyby Hłasko używał mniej smolistej czerni, opowieść byłaby bardziej naturalna. Choć kilka momentów porusza, przynajmniej w adaptacji.

Mamy nieustanne przeczucie śmierci. Mamy gruźlicę, która dopada głównego bohatera. W tle mamy też zapowiedź rewolucji – jeden z bohaterów, Janek Rączyn, jest komunistą. Spojrzenie na przeważnie dziś lukrowane międzywojnie jako na czas beznadziei jest na swój sposób ciekawe. Przestrzenie biedy i beznadziejności były tam spore. Tyle że Hłasko pisał to w czasach zadekretowanego socrealizmu i nie wiemy, co w tym było szczerym przekonaniem. Nie ma tu jednak aż takich schematów jak, powiedzmy, w „Pamiątce z celulozy" Igora Newerlego.

Główną rolę znakomicie poprowadził Krzysztof Szczepaniak. Jego głosu słucha się jak muzyki. W tle galeria weteranów: Henryk Talar, Witold Dębicki czy Andrzej Grabowski. Ciekawostką jest udział lektorki Krystyny Czubówny jako Lekarki. Świetne epizody tworzą Przemysław Bluszcz (Ojciec) i Olga Sarzyńska (Barmanka).

A nagrodę na festiwalu Dwa Teatry dostał 70-letni Henryk Gołębiewski, występujący tu jako Narrator. To dziecięcy aktor z lat 70., znany z takich produkcji jak „Stawiam na Tolka Banana" czy „Podróż za jeden uśmiech". Odkrył go ponownie dla kina Piotr Trzaskalski, od kilku lat występuje w Teatrze Klasyki Polskiej. Zdawało się, że jego dykcja jest mało radiowa. A jednak jego chropawy głos nadał opowieści autentyzmu.

Ostatni rejs kapitana

Robert Lewandowski żegna hiszpańską bryzę i z portu w Barcelonie wyrusza za ocean do Wietrznego Miasta, by złapać w żagle sprzyjający wiatr. Po tym, jak polska reprezentacja straciła szansę na amerykański mundial, jej kapitan postanowił na koniec kariery spełnić własny amerykański sen. Czy transfer do Chicago to szansa na powiew świeżości, czy raczej kapitulacja?



MICHAŁ MUZYCZUK

Małżeństwa z rozsądku rzadko kończą się w blasku fleszy – decyduje o nich cicha, bezwzględna kalkulacja księgowych. Choć jeszcze w maju Robert Lewandowski świętował z FC Barceloną mistrzostwo Hiszpanii, pod powierzchnią sielanki od miesięcy mocno buzowało. O tym, że pozycja „Lewego" drastycznie słabnie, świadczyła boiskowa rzeczywistość. W minionym sezonie kapitan kadry regularnie rozpoczynał mecze na ławce lub opuszczał murawę przed końcowym gwizdkiem. W kluczowych starciach kampanii – jak przegrany kwietniowy dwumecz z Atlético Madryt w ćwierćfinale Ligi Mistrzów czy majowy klasyk z Realem Madryt – Hansi Flick oszczędnie korzystał z usług Polaka. Lewandowski rozegrał w lidze niespełna 1,7 tys. minut i zdobył 14 goli. Po raz ostatni tak rzadko grał i strzelał 15 lat temu, w debiutanckim sezonie w Borussii Dortmund.

Klubowy regres zbiegł się w czasie z narodową traumą. Podczas gdy piłkarski świat żyje mistrzostwami świata, reprezentacji Polski tam nie ma. Brak awansu okazał się potężnym ciosem dla Lewandowskiego, odbierając mu szansę na ostatni wielki turniej w narodowych barwach, w których rozegrał dotąd 167 meczów i zdobył rekordowe 89 bramek. Świadomość, że zamiast walki o puchar na amerykańskiej ziemi czeka go rola widza, podziałała jak katalizator.

W ciągu czterech sezonów na Camp Nou napastnik wypracował świetny bilans – 83 gole w 134 meczach ligowych – walnie przyczyniając się do zdobycia trzech tytułów mistrzowskich. To przestało mieć jednak znaczenie w starciu z nieubłaganą metryką – w sierpniu „Lewy" skończy 38 lat. Władze Barcelony, cierpiącej na permanentną finansową zadyszkę, nie zamierzały spełniać finansowych oczekiwań weterana. Zamiast znosić marginalizację, „Lewy" uznał, że czas, by opuścić kataloński okręt. Transoceaniczna przeprowadzka to jednak nie tylko sportowa frustracja. W grę wchodziły też interesy rodzinnego imperium biznesowego oraz planowanie życia po zakończeniu kariery. Suwerenny wybór podyktowany urażoną sportową ambicją oznaczał w tym przypadku ewakuację z Europy, zgrabnie opakowaną w mit o amerykańskim śnie.

SZEJKOWIE ODPRAWIENI Z KWITKIEM

Gdy europejskie salony powoli gaszą światła przed swoim bywalcem, na stole lądują dwie waluty: prestiż albo absurdalne pieniądze. Chociaż wyjazd poza Europę przestał być domeną emerytów – dziś to rynkowa norma, na którą w sile wieku decydują się gracze formatu Neymara czy Karima Benzemy. Wokół Lewandowskiego machina spekulacji kręciła się od miesięcy. Media donosiły o astronomicznych ofertach z Rijadu – Al-Ahli oraz Al-Ittihad kusiły Polaka kontraktami opiewającymi na blisko 100 mln euro rocznie. Na Bliskim Wschodzie to Saudi Pro League dyktuje warunki, a Al-Nassr płaci Cristiano Ronaldo rekordowe 200 mln euro za sezon.

W Europie szeptano o Atlético Madryt czy Juventusie, ale żaden gigant nie zamierzał oferować 37-latkowi wieloletniej umowy. Wybór sprowadzał się do dylematu: walka o prestiż za grosze albo odcinanie kuponów w złotej klatce szejków.

Superagent Pini Zahavi szybko zrozumiał, że europejski rynek przestał dla Roberta istnieć. Musiał lawirować pomiędzy bajecznymi ofertami Arabów a wyraźnym wetem rodziny Lewandowskich, dla której przeprowadzka na Bliski Wschód była wizerunkowym i życiowym kompromisem, na który nie chciano się zgodzić. Ponieważ poważne granie na Starym Kontynencie zamieniło się w pobożne życzenia, agent wyczarował trzecią drogę: amerykańską Major League Soccer.

Owszem, liga z USA finansowo nie może równać się z pustynnymi krezusami. Nawet kontrakt Lionela Messiego w Interze Miami (70–80 mln dol. rocznie) wymagał wsparcia ze strony Apple czy Adidasa. Stany Zjednoczone zaoferowały jednak coś cenniejszego – zachodni styl życia, bezpieczeństwo i gigantyczny rynek dla prywatnych marek zawodnika.

WIETRZNE MIASTO I ZŁOTE WARUNKI

Dla Chicago Fire pozyskanie Lewandowskiego to bezprecedensowy pokaz siły. Polak podpisał kontrakt do końca sezonu 2027/28 jako tzw. designated player, czyli gwiazda wyjęta

eprasa.pl 166.61.24.63

spod ligowego limitu płac. Za kulisami mówi się o pensji sięgającej 20 mln dol. rocznie, co stawia go w finansowej elicie MLS. Sportowo „Strażacy" zaoferowali mu status absolutnego lidera. Trener Gregg Berhalter, którego rodzina ma polskie korzenie, otwarcie zapowiada budowanie tożsamości drużyny wokół 37-latka. Co więcej, dotychczasowy as ataku, Hugo Cuypers, bez żalu oddał Polakowi koszulkę z numerem 9, nazywając go publicznie jednym z najlepszych napastników w historii.

Choć klub z Illinois ma w gablocie mistrzostwo MLS Cup, wywalczone w 1998 r., przez ostatnie lata uchodził za ligowego średniaka szorującego po dnie tabeli, dopiero niedawno przełamując siedmioletnią posuchę bez awansu do fazy play-off. „Strażacy" grają na 61-tysięcznym Soldier Field, jednak ich mecze gromadzą średnio skromne 15–18 tys. widzów, przez co obiekt często świeci pustkami. „Lewy" ma być magnesem, który to zmieni. Dla rodziny marzącej o życiu w anglojęzycznej metropolii Chicago to idealny kierunek. Amerykańska liga zaoferowała Polakowi unikalny pakiet: bezpieczne środowisko, brak toksycznej presji mediów oraz status nietykalnego idola, który z uśmiechem może realizować swój biznesplan na przyszłość.



Fot. Chicago Fire/x.com

SOCCER, CELEBRYCI I POLSKI BASTION

Przeskok z Europy do MLS to potężny wstrząs kulturowy. W USA futbol – nazywany soccerem – to przede wszystkim gałąź przemysłu rozrywkowego, gdzie brak spadków z ligi eliminuje strach przed porażką. Poziom sportowy rośnie, jednak wciąż nie jest wysoki, co weryfikuje Puchar Mistrzów CONCACAF, zdominowany przez kluby z meksykańskiej Ligi MX. Amerykanie przeżywają jednak boom na piłkę, napędzany trwającym mundialem, a liga pęka od gwiazd. Już 23 lipca dojdzie do hitu, w którym Chicago Fire zmierzy się z Interem Miami pod wodzą Messiego. Choć sceneria jest luksusowa, zakulisowe głosy studzą optymizm. „On nie był pewny tego ruchu. Barcelony ani Bayernu nie musiał wcześniej sprawdzać" – zauważył przytomnie Łukasz Gikiewicz na antenie TVP Sport.

Wybór Chicago nie był przypadkowy – to tam bije serce amerykańskiej Polonii, stanowiącej naturalną bazę kibicowską, która natychmiast ruszyła po klubowe gadżety. Polskie tradycje w Chicago Fire są niezwykle głębokie. W barwach tego klubu Piotr Nowak jako kapitan poprowadził zespół do mistrzostwa w 1998 r., grając ramię w ramię z Jerzym Podbrożnym i Romanem Koseckim. Nowak był zresztą trzykrotnie wybierany najlepszym zawodnikiem sezonu w Chicago. Za oceanem szlaki przecierali wcześniej tak wybitni piłkarze jak Kazimierz Deyna w San Jose Earthquakes czy Robert Warzycha w Columbus Crew, a w ostatnim czasie markę wyrobił tu chociażby Przemysław Frankowski. Lewandowski wkracza na niemal polską ziemię, do szatni, w której od wielu dni nie mówi się o niczym innym. Wietrzne Miasto potrafi kochać swoje gwiazdy, ale Lewandowski musi pamiętać, że w Chicago Michael Jordan jest tylko jeden.

KRAJOBRAZ PO ROBERCIE

Czy transoceaniczny rejs polskiego kapitana to początek złotej emerytury, czy szansa na odnalezienie blasku? Lionel Messi udowodnił, że grając za oceanem, wciąż można dyktować warunki w reprezentacji i sięgać po trofea. Dla polskiego futbolu ta przeprowadzka to jednak moment krytyczny. Choć napastnik nie zawiesza butów na kołku, to gigantyczny dystans geograficzny, wielogodzinna różnica czasowa oraz specyfika rozgrywek MLS (marzec–listopad) drastycznie utrudnią mu regularne przyjazdy na zgrupowania. Dla kadry podnoszącej się po mundialowym niepowodzeniu to potężny cios. Na horyzoncie nie widać dziś nikogo, kto dysponowałby chociaż ułamkiem geniuszu, jaki Lewandowski prezentował przez ostatnie 15 lat w Dortmundzie, Monachium czy Barcelonie. Zostajemy z solidnymi rzemieślnikami, ale bez lidera światowej klasy.

Jako kibice szybko za nim zatęsknimy, gdy tylko dotrze do nas brutalna prawda: zamknął się najważniejszy rozdział w historii nowoczesnego polskiego sportu. Robert Lewandowski wypisał się z morderczego europejskiego wyścigu i odrzucił arabskie miliony na rzecz bezpiecznej amerykańskiej przystani. W Wietrznym Mieście złapie w żagle wiatr, który pozwoli mu dopłynąć do końca kariery na własnych warunkach.

Dla niego to bezwzględny sukces wizerunkowy i biznesowy – spektakularne zwieńczenie drogi w blasku jupiterów. Dla nas, obserwujących ten ostatni rejs z brzegu, to melancholijne pożegnanie z wielkim futbolem, który reprezentował „Lewy". Niechaj polskiemu kapitanowi sprzyjają pomyślne wiatry, a dla nas niech flauta na krajowym podwórku nie trwa wiecznie.

Fot. Peter Sereda/Shutterstock.com



HENRYK Z ŻYCHLINA*

I jak tu jej odmówić

Żychlin, w którym się urodziłem i w którym nadal mieszkam, to prawie dzielnica Konina. Mam wielki sentyment do tego miejsca. Tu chodziłem do szkoły, tu pracowali moi rodzice, tu mieliśmy rodzinny dom.

W ostatnim czasie Żychlin bardzo się rozbudował. Stał się trochę „sypialnią" Konina. Jest tu spokojnie, sielsko, zielono, nie brak także różnych wydarzeń.

W Pałacu Bronikowskich, gdzie dziś mieści się zespół szkół i w którym koncertował Fryderyk Chopin (przed budynkiem stoi pomnik kompozytora, a szkoły noszą jego imię), w sali balowej odbywają się koncerty i różne spotkania. W Żychlinie znajduje się też najdłużej działająca parafia ewangelicko-reformowana. Jest również wybudowany niedawno katolicki kościół.

Przez lata pracowałem jako kelner, a potem kucharz. Z naszych lokalnych potraw wymieniłbym np. szare kluski (robione z surowych ziemniaków, stąd ich kolor), czerninę z kaczki i prażochy (gotowane ziemniaki zasypuje się mąką i ugniata).

Na jednym ze szkoleń kulinarnych, na Węgrzech, poznałem lepiej tamtejszą kuchnię. Potem podawaliśmy np. strogonowa z kluskami kładzionymi albo kiełbasę po węgiersku – to ekonomiczna wersja strogonowa. Kroi się kiełbasę (jaką się ma) w talarki albo półksiężyce. Podsmaża się ją z cebulką i czerwoną sypką słodką papryką. Dodaje się słodką dobrą śmietanę trzydziestkę. Można dołożyć koncentrat pomidorowy. No i oczywiście taki sos musi być delikatnie pikantny, ale doprawiony w zależności od tego, co kto lubi.

Niedzielne obiady w Żychlinie... Myślę, że w wielu domach nadal nie mogą obejść się bez rosołu z własnoręcznie robionym makaronem (oczywiście z jaj prosto od kury). I to chyba smak rosołu najbardziej kojarzy mi się z domem i dzieciństwem. Była nas szóstka (ja najmłodszy). Duża rodzina, więc w ciągu tygodnia jadaliśmy raczej skromnie, za to w niedzielę musiał być rosół (mama hodowała kury na domowe potrzeby).

Najbliżej mi do tradycyjnej polskiej kuchni, ale w lżejszej wersji. Dziś na obiad dla siebie robię np. filet z kurczaka bez panierki, do tego ziemniaki purée i zasmażane buraczki na ciepło. Bardzo lubię pierogi i kluski pod każdą postacią. Na szczęście geny pozwalają mi na takie jedzenie [uśmiech].

Mieszkam w domu z jedną z córek. Oni na górze, ja na dole i zdarza się, że wpada do mnie ośmioletnia wnuczka Zuzia z prośbą: „Dziadziu, zrób naleśniczka". Mam jeszcze trzy starsze wnuczki – Gabrielę, Michalinę i Julię, ale to najmłodsza składa takie zamówienia. I jak tu jej odmówić? Kobiety były i są ważne w moim życiu [uśmiech].

***Notowała** Jolanta Gajda-Zadworna*

**Uczestnik 8. edycji „Sanatorium miłości"*

Naleśniki dla Zuzanny i nie tylko

Niestety dla tych, którzy pytają o moje kulinarne przepisy, mam jedną odpowiedź: wszystko robię na oko. Naleśniki też, ale jedno się nie zmienia. Zawsze daję dwa jajka (jedno to za mało, oczywiście muszą to być jajka wiejskie). Do tego mąka, mleko, trochę wody gazowanej, by ciasto było pulchniejsze, odrobina soli, cukru waniliowego. Dobrze mieszamy i lejemy średniej wielkości naleśniki na rozgrzaną i natłuszczoną patelnię (ja używam oleju rzepakowego).

Gdy naleśniki są już gotowe, podaję je z którąś ze zrobionych przez siebie konfitur, np. z jagód (dawniej sam je zbierałem, teraz kupuję; w ubiegłym roku kupiłem z 10 l i przerobiłem na różne sposoby). Zuzia lubi też naleśniki z nutellą.



Fot. Weronika Marczyk-Kiełbasa/TVP, Shutterstock

eprasa.pl 166cbf2463



SŁODKO-SŁONY

Czyste owoce i warzywa

ANNA MONICKA

Czy istnieje jeszcze „czysta" żywność bez pestycydów? Coraz częściej zadaję sobie to pytanie, gdy kupuję truskawki, maliny, jabłka, brzoskwinie, pomidory, paprykę. Oczywiście staram się wybierać owoce i warzywa ekologiczne, ale doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że chociaż płacę więcej, bezpieczeństwo moje i mojej rodziny może być iluzoryczne. To, co jest synonimem zdrowia i witamin, okazuje się trującym koktajlem różnych substancji chemicznych. W teorii mają one chronić żywność przed pleśniami, grzybami czy szkodnikami. Niestety ich nadmiar okazuje się szkodliwy także dla nas. Wystarczy poczytać o badaniach fundacji Pro-Test, by człowiekowi ścierpła skóra. Okazuje się, że nawet w produktach bio znanych firm, oznaczonych zielonym listkiem, który ma symbolizować bezpieczeństwo, wykrywane są pestycydy, i to zakazane w Unii Europejskiej.

Amerykańska organizacja Environmental Working Group co roku tworzy listy najbardziej zanieczyszczonych pestycydami owoców i warzyw – Dirty Dozen (najczęściej skażone więcej niż jedną substancją) oraz tych najczystszych – Clean Fifteen. Wszystko po to, by konsumenci mogli dokonywać bardziej świadomych wyborów. Na czarnej liście są moi ulubieńcy: truskawki, jabłka, winogrona, gruszki, wiśnie, nektarynki. Na tej drugiej, dla równowagi, znajdują się marchewki, kalafiory, kapusta, kukurydza, ananasy. Każdy może ściągnąć ze strony takie zestawienie i nawet jeśli dane dotyczą rynku amerykańskiego, powinny dawać do myślenia. Zwłaszcza jeśli nie masz w okolicy zaufanego rolnika albo nie uprawiasz sam warzyw i owoców, tylko kupujesz je w sklepach czy na bazarkach.

Co zrobić z tą wiedzą? Po pierwsze, mieć świadomość, że samo mycie nie wystarczy. Produkty warto także moczyć w wodzie z sodą lub octem, dokładnie płukać i obierać ze skórki. Po drugie, można czyścić żywność, wykorzystując specjalne płyny albo ozonować. Ja wybrałam właśnie to drugie rozwiązanie. Za niewielkie pieniądze kupiłam wyprodukowany w Polsce poręczny domowy generator ozonu z silikonowymi rurkami, którym czyszczę nie tylko owoce (w kąpieli ozonowej w misce z wodą), lecz także od czasu do czasu odświeżam pokoje, szafę, buty. Taka dezynfekcja, wykonywana zgodnie z instrukcją, pomaga pozbyć się pestycydów, herbicydów, wirusów, pleśni, bakterii. Żywność jest czystsza i dłużej świeża.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Trujący miód

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Wśród polskiej flory wyróżnia się jedyny gatunek rododendrona rosnący dziko. Jest to azalia pontyjska, znana też jako różanecznik żółty lub rododendron żółty.

Roślina pochodzi z obszarów południowo-wschodniej Europy i południowo-zachodniej Azji. Rośnie od Bałkanów, przez Kaukaz, aż po Turcję i okolice Morza Czarnego. W Polsce występuje naturalnie tylko na jednym stanowisku – w rezerwacie w Kołaczni koło Woli Zarczyckiej na Podkarpaciu. Stanowisko to uznaje się za relikt trzeciorzędowy. Oznacza to, że azalia pontyjska rosła tu w ciepłym okresie początkowego kenozoiku (66–2,6 mln lat temu). Wraz z czwartorzędowymi zlodowaceniami jej zasięg skurczył się do rejonów ciepłego Kaukazu, aby ponownie rozszerzyć się na te tereny ok. 11 tys. lat temu. Stanowi więc żywy pomnik dawnej, przedlodowcowej flory Europy.

Azalia pontyjska jest gatunkiem chronionym. Ten liściasty krzew dorasta do 4 m wysokości i ma intensywnie żółte, wonne kwiaty zebrane w baldachogrona. Lubi – jak wszystkie rododendrony – kwaśną glebę. Kwitnie w maju i czerwcu, wydzielając silny, miodowy zapach przyciągający zapylacze. Ale uwaga! Wszystkie części rośliny są trujące – zawierają grayanotoksyny. Z tego powodu roślinożerne zwierzęta jej unikają. Nie można tego jednak powiedzieć o pszczołach.

Toksyczność rośliny przenosi się na miód. Pszczoły zbierające nektar z kwiatów azalii produkują tzw. miód szaleńców lub miód pontyjski. Toksyny w miodzie powodują u ludzi bradykardię, czyli stan, w którym serce bije zbyt wolno, hipotensję – zagrażające życiu obniżenie ciśnienia tętniczego krwi, zawroty głowy, nudności, wymioty, biegunkę, zaburzenia widzenia, a w większych dawkach halucynacje, drgawki i zaburzenia pracy serca. Objawy pojawiają się zwykle w ciągu kilku godzin i mijają po 1–2 dniach, rzadko kończąc się śmiercią.

Już w starożytności znano jego właściwości. Grecki wódz i historyk Ksenofont w „Anabazie" (401 r. p.n.e.) opisał, jak armia dziesięciu tysięcy, obozująca nad Morzem Czarnym, raczyła się lokalnym miodem. Po jego spożyciu żołnierze masowo chorowali: wymiotowali, mieli biegunkę, tracili orientację i nie mogli wstać, niektórzy zachowywali się jak pijani, inni – jak szaleńcy. Podobne incydenty wspominał Strabon.

eprasa.pl 166cbf2463



3 MIŁOŚCI

Samba z duchami



ROBERT TEKIELI

99 proc. tekstów w polskiej prasie opiniotwórczej zajmują kwestie polityki krajowej i międzynarodowej, gospodarki, kultury, sportu oraz świata idei. Wystarczy spojrzeć na tytuły działów tygodników czy dzienników. Jednak większy wpływ, choć czasem oddalony w czasie, mają na naszą rzeczywistość tektoniczne przemiany zachodniej duchowości.

Zastępowanie wiary wierzeniami i ideologiami, co ma miejsce od czasów renesansu, w tym renesansu pogaństwa – to proces, po stronie nielewicowej jest dość oczywisty. Jednak europejskie konserwatywne elity nie mają świadomości głębi i konsekwencji tej Wielkiej Wymiany. Elity liberalne i lewicowe przyklaskują zmianom, nie biorąc pod uwagę, że kapitał kulturowy i kapitał duchowy zachodniej cywilizacji właśnie się wyczerpuje. Właściwie nikt nie ma świadomości, że jesteśmy blisko wyciągnięcia tej ostatniej cegiełki i katedra się rozpadnie. Bo kropla przepełnia czarę.

Progresywiści żerujący na organizmie Zachodu nie chcą wiedzieć, że nie można w nieskończoność rozbijać instytucji i form życia, takich jak rodzina, wspólnota, uniwersytet, szkoła, moralność, piękno, prawda, obyczaj. Że hołdowanie zasadzie rób co chcesz, niech twoja wola będzie najwyższym prawem, to postawa satanistyczna.

Kierując się więc tą podstawową intuicją – analfabetyzm duchowy konserwatywnych elit jest zabójczy dla rzeczy pospolitej i cywilizacyjnej wspólnoty – dokumentuję tutaj, już bez większych nadziei, Wielką Duchową Podmianę. Okultyzm, szamanizm, zabobony, przesądy intelektualne w miejsce wiary i prawdy.

Smutne jest, że nawet większość ludzi Kościoła nie wie niczego o naturze inicjacji chrześcijańskiej i demonicznej kontrinicjacji. Prawie jedna trzecia działań Jezusa Chrystusa była powiązana z wyrzucaniem demonów. Dziś społeczeństwa za pomocą popkultury uczestniczą w wyścigu, jak otworzyć duchowo kolejne nieświadome niczego pokolenia.

Wiele osób widziało na kanale Discovery czy BBC taki obraz: krąg tańczących ludzi, transowy rytm bębnów, nagle kapłan czy kapłanka pada, błyskają białka oczu, całe ciało owładniętego ogarniają drgawki. Towarzyszący reporterowi przewodnik tłumaczy szeptem: właśnie teraz dosiadają go demony... Wydawałoby się – całkowicie egzotyczna historia. Ale dziś to już nie jest prawda. W Polsce kilkadziesiąt tysięcy osób doświadczyło szamańskiej inicjacji, i to w wydaniu importowanym. Dwa miesiące temu, jadąc przez Pl. Trzech Krzyży, zauważyłem przed sobą czarny, amerykański samochód na tablicach Voodoo 666. Gdy go mijałem, przy lusterku, gdzie w wielu polskich samochodach wisi różaniec lub maskotka, zauważyłem woreczek na fetysze. Karaibski satanizm traktowany na poważnie.

Adam rozmawiał z wilkami, był Rainbow Warrior. Tęczowym Wojownikiem. Przez kilkanaście lat podążał za głosem, który usłyszał jako mały chłopiec wewnątrz siebie. Głos uczył go, jak łączyć się z duchami drzew, Adam słyszał odczucia zwierząt na leśnej polanie. Potrafił zobaczyć zdarzenia mające miejsce kilka kilometrów od niego. Szkoła, rodzina były gdzieś obok. Ważniejsze pozostawały przestrzenie, w które wprowadzał go jego wewnętrzny nauczyciel, demon. Jako nastolatek potrafił narzucić swoją wolę obcemu, dorosłemu człowiekowi i skłonić go, by np. oddał mu zawartość portfela.

Po spotkaniu Tęczowych Wojowników jego szamańska edukacja przyspieszyła. Najmocniejsze doświadczenie było związane z ogniem. Adam mógł włożyć rękę do rozpalonego pieca bez szkody dla zdrowia. Gdy bawił się, rękami poprawiając kłody w ognisku, ogień szedł za nim, łasząc się do jego dłoni. Był szamanem. Jednym z ponad tysiąca Tęczowych Wojowników w Polsce.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 166cbf2463

Spotykał ich na zlotach odbywających się dwa razu do roku. O jednym z nich mówi, że wymknął się starszym spod kontroli i zamienił w całonocną orgię.

Najsilniejszym doświadczeniem Adama było sprowadzenie deszczu w rodzinnej wiosce. Tańczył przez kilkanaście godzin. Nawet dziś, opowiadając tę historię, boleśnie się uśmiecha. „Będąc szamanem, miałem poczucie całkowitej kontroli. Nad przyrodą, ludźmi, własnym ciałem. Ale w pewnym momencie okazało się, że to nie ja władam tym wszystkim. Nagle okazało się, że ta wewnętrzna obecność jest realnym kreatorem zjawisk". Wtedy Adam zaczął walczyć. Walka trwała osiem lat. Zakończyły ją egzorcyzmy.

Dla polskiego inteligenta siedzącego w wygodnym fotelu czy na kanapie rzecz wydaje się ekscentryczna. Nie łączy on popularności „Gwiezdnych Wojen" czy „Awatara" z elitarnym szamanizmem opisanym powyżej. Ale ci szamani inicjują setki tysięcy młodych ludzi na dziesiątkach dorocznych ekofestiwali, przyciągając ich ideami wegetarianizmu, samorozwoju czy radosnej wspólnoty bez alkoholu.

Bartek ćwiczył aikido. Po paru miesiącach zaczął wygrywać wszystkie swoje walki. Wyczuwał posunięcia przeciwników tak szybko, że nie byli w stanie go zaskoczyć. Miał poczucie nieludzkiej mocy. Atmosfera psychiczna wokół niego była jednak taka, że w pracy nikt nie chciał zostawać z nim w pokoju sam na sam. Jednocześnie ten mierzący 2 m mężczyzna potwornie schudł i ważył ledwie 60 kg. W trakcie medytacji przed treningami i walkami uzyskiwał połączenie z jakąś nieokreśloną, zewnętrzną wobec niego mocą i dzięki tej symbiozie mógł dokonywać zadziwiających rzeczy. Kiedyś, sprzątając pokój, natknął się na leżący na ziemi różaniec. Gdy wziął go do ręki, przez jego umysł zaczął przelatywać potok wymyślnych bluźnierstw. Bartek był pewien, że to nie on bluźni. Nie znał nawet niektórych wyrazów, które słyszał. Od tego momentu nie musiał medytować. Kontakt z tą zewnętrzną wobec niego nadnaturalną mocą odczuwał każdego dnia. Aż do dnia egzorcyzmów. Aż do dnia, w którym znów odzyskał kontrolę nad swoim życiem.

Dla człowieka XXI w. takie opowieści wydają się całkowitą abstrakcją. Czy rzeczywiście? Kiedyś przeprowadziłem eksperyment: próbowałem przywitać się z 10 osobami przez próg. O mało nie skończyło się to wyrwaniem mi ręki z barku. Jako społeczeństwo jesteśmy niesamowicie przesądni. Czarne koty, czerwone wstążki, miesiące, w których można i nie można zawrzeć małżeństwa... To są dalekie refleksy naszego rodzimego pogaństwa. To, które teraz przychodzi do Polski z zewnątrz, trafia na przygotowany grunt. Czy będzie to voodoo, czy new age'owe ruchy szamańskie, czy sataniczne wierzenia brazylijskich niewolników, religia candomblé, która jest dziś promowana w świecie za pomocą capoeiry. Modnej wśród młodzieży formy spędzania wspólnego czasu, która

Kiedyś przeprowadziłem eksperyment: próbowałem przywitać się z 10 osobami przez próg. O mało nie skończyło się to wyrwaniem mi ręki z barku. Jako społeczeństwo jesteśmy niesamowicie przesądni. Czarne koty, czerwone wstążki, miesiące, w których można i nie można zawrzeć małżeństwa... To są dalekie refleksy naszego rodzimego pogaństwa

bywa bądź walką, bądź tańcem. Capoeira jest odbierana przez ludzi Zachodu jako forma aktywności fizycznej. Istniejąca i kształtująca się od XVIII w. wśród niewolników w Brazylii capoeira stała się dla nich sposobem na manifestowanie odrębności kulturowej, sposobem rozrywki, zabawy pozwalającej zapomnieć o codziennej niedoli. Najważniejszym wydarzeniem w życiu każdego capoeiristy jest batizado. Inicjacja. Ruch capoeira opiera się na charyzmatycznych mestre, tworzących szkoły. Są mistrzowie coapoeiry, którzy głoszą, że nauczają wyłącznie technik walki i tańca, są też mestre głoszący publicznie, że capoeira jest fizycznym aspekt religii candomblé.

Candomblé to animistyczna religia afrykańska wymieszana z indiańskim okultyzmem. Candomblé to taniec ku chwale bóstw Orixás, to taneczne wołanie do duchów, by te wstąpiły w ciała tańczących i wprowadziły uczestników rytuału w trans. Candomblé ma dziś w Brazylii 40 mln wyznawców. Związek pomiędzy candomblé a capoeirą, czyli sambą z duchami, jest bezpośredni i ścisły. Jeden z największych autorytetów capoeiry, Mestre Pastinha (Vincente Ferreira Pastinha, 1889–1981), mówił: „Capoeria jest religijna. Pochodzi z religii candomblé". Może być inaczej wyrażana przez różnych mestre, ale energia axe jest ukryta i w candomblé, i w capoeirze. „Wyrażana jest inaczej, ale ilość jest taka sama. Religia jest ta sama". „Nie ma rywalizacji pomiędzy candomblé i capoeirą. Jesteśmy z tej samej podstawy. Praktykujący capoeirę jest tym, który praktykuje taniec orixás".

Symbolem synkretyzmu tej religii jest gest wykonywany na początku rytuału (tańca/walki). Capoeiras najpierw dotykają ziemi, oddając cześć bóstwom Orixás, potem czynią znak krzyża. Capoeirę można dziś ćwiczyć na polskich uczelniach w miejsce zajęć wychowania fizycznego. Na moim kanale na YouTube „Otwórz oczy" można wysłuchać świadectwa Dominika Pałki, który został opętany na skutek praktykowania capoeiry. Do Polski trafiają dziś wierzenia z różnych stron świata. Egzorcyści mają coraz więcej pracy.

Jakie społeczne skutki mają demoniczne inicjacje? Ludzie wpadają w depresje, niedające się leczyć farmakologiczne, rozpoznają u siebie statystycznie nieprawdopodobną liczbę negatywnych wydarzeń w życiu, rozpadają się ich doskonałe wcześniej relacje.

Ateistyczna psychiatria, nieświadoma istnienia przestrzeni duchowej, ordynuje cierpiącym psychotropy, nierozwiązujące niczego. Społeczeństwa stają się coraz bardziej histeryczne, ludzie wpadają w rozpacz. „Epidemia psychotropów", czyli skokowy wzrost spożycia leków, takich jak antydepresanty, leki nasenne i uspokajające, to już nasza rzeczywistość. W Polsce obserwuje się trend, w którym blisko 4 mln osób przyjmuje leki psychotropowe. W Stanach to – według różnych szacunków – od 30 do 50 proc. populacji, w tym sześcioletnie dzieci. Ozempic górą. Zmierzamy ku przepaści.

eprasa.pl 166cbf2463

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Ku pojednaniu

Zgodnie z zapowiedzią prezydenta Wołodymyra Zełenskiego Rada Najwyższa Ukrainy przyjęła ustawę o utworzeniu Panteonu Narodowego. Mają się w nim znaleźć osoby uznane za „szczególnie zasłużone w walce o niepodległość i rozwój państwa ukraińskiego". Listę ustali specjalna komisja rządowa. A więc nie wszystko jeszcze jest przesądzone (głównie chodzi o nazwisko Stepana Bandery), ale po buńczucznej wypowiedzi Zełenskiego, że „nikt nie będzie nam mówił, jakich bohaterów mamy szanować", jest prawie pewne, że w Panteonie znajdzie się także twórca zbrodniczej UPA. Już został uczczony przez ukraińskiego prezydenta nadaniem jednej z ważnych jednostek wojskowych imienia „Bohaterów UPA". Wzbudziło to powszechne i słuszne oburzenie w Polsce, a także w świadomej historii Europie.

Nikt nie odmawia Ukrainie prawa do uczczenia tych, którzy zasłużyli się w walce o swobody i wolności dla Rusinów oraz Kozaków zamieszkałych nad Dniestrem, Prutem, Prypecią, Dnieprem czy południowym Bugiem. Byli tacy, poczynając od Iwana Mazepy, dworzanina króla Jana Kazimierza, który wspólnie z Polakami walczył przeciwko Rosji. Postać tę pięknie opisał Juliusz Słowacki w dramacie „Mazepa", wydanym w Paryżu w 1840 r. W ciągu wieków byli też inni hetmani i dowódcy kozaccy, który walczyli o wolność dla swoich pobratymców, Rusinów. Już od czasów Chrobrego używana była wobec nich nazwa Rusini, bo była to Ruś. Nazwa Ukraina ugruntowała się dopiero na przełomie XIX i XX w. Wcześniej znaczyła tyle co rubież, ubocze – bo „u kraja" dawnej Rzeczypospolitej.

Nikt nie odbiera Ukrainie prawa do honorowania własnej historii oraz jej bohaterów. Jest jednak jeden wielki problem. Nie wszyscy „bohaterowie wolności Ukrainy" prezentowali postawy patriotyczne, niepodległościowe, ogólnoludzkie. Nie wszyscy zasłużyli się tak pozytywnie, aby znaleźć się dziś w Panteonie. Prezentowany przez nich nacjonalizm nie był bowiem częścią nacjonalizmu, jaki kształtował się w Europie na początku XIX w. Część ukraińskich przywódców przyjęła nacjonalizm dążący do wyniszczenia innych narodów, szczególnie Polaków i Żydów. Był to więc czysty szowinizm, koncepcja nowego państwa ukraińskiego zasadzającego się na ideologii faszystowskiej i rasistowskiej. Większość przywódców OUN-UPA była przeświadczona, że członkowie innych narodów są śmiertelnymi wrogami nacji ukraińskiej, dlatego trzeba ich fizycznie wyeliminować. Porównywanie Ukraińskiej Armii Powstańczej z Armią Krajową jest ze wszech miar błędne. W składzie elitarnych jednostek Waffen-SS służyło ponad 27 tys. Ukraińców. Polskie Państwo Podziemne nie stworzyło ani jednej formacji działającej ręka w rękę z faszystowskimi Niemcami.



Konsekwencją przyjęcia koncepcji państwa ukraińskiego według ideologii Dmytra Doncowa (na czele nacji stoi „wódz", w drugiej kolejności „elita", a na końcu tłum, zwany przez niego „czernią" lub „nieokiełznanym bydłem") była też polityka eksterminacji tej części narodu ukraińskiego, która nie akceptowała owej ideologii i potrafiła się zachować po chrześcijańsku, po ludzku. Uznawano ich za zdrajców i karano śmiercią. Nikt nie wie, ilu Ukraińców zginęło z rąk swoich rodaków, tak jak nie jest też znana dokładna liczba Polaków zamordowanych z inspiracji OUN-UPA. Historycy mówią nawet o 120 tys. ofiar.

Ale współcześnie, dzięki zespołowi pod kierunkiem prof. Jana Żaryna, tworzy się nowa lista ukraińskich bohaterów. Dziś znajdują się na niej nazwiska ponad 500 Ukraińców zamordowanych przez UPA za pomoc Polakom w czasie rzezi wołyńskiej. Na liście jest też nazwisko kpt. Zygmunta Rumla, komendanta XVIII Okręgu Wołyń Batalionów Chłopskich, oficera Armii Krajowej. 10 lipca 1943 r. bez obstawy udał się na rozmowy w sprawie wspólnej walki z Niemcami do kwatery lokalnego dowództwa OUN. Za to, że „nie umiał rozdzielić w sobie tożsamości ukraińskiej i polskiej", rozerwano go końmi tego samego dnia. Był autorem wzruszającego wiersza „Dwie matki", w którym wyraził swoje przywiązanie do dwóch ojczyzn – Polski i Ukrainy. Powstaje więc lista bohaterów, którzy zachowali się godnie i zginęli męczeńską śmiercią.

Prof. Stanisław Domański skierował do prezydenta Karola Nawrockiego list z prośbą o odznaczenie i upamiętnienie Ukraińców ratujących Polaków podczas rzezi wołyńskiej. Pojawił się też pomysł, aby na wzór istniejącego w Jerozolimie Instytutu Yad Vashem powstał w Warszawie Park Sprawiedliwych wśród Ukraińców. Podzielający ten pomysł mogą wesprzeć inicjatywę profesorów, pisząc na stronie: www.prezydent.pl/kontakt.

To jedyne, co może dziś zrobić Polska: tworzenie pozytywnych faktów umożliwiających pojednanie i trwałe zbliżenie obu narodów w oczekiwaniu na nazwiska Ukraińców uznanych za godnych upamiętnienia ich w ukraińskim Panteonie Narodowym.

Oczekujemy od Ukrainy oddzielenia w jej historii tego, co było patriotyczne, niepodległościowe, od tego, co było ludobójczym nacjonalizmem, także w stosunku do własnych obywateli. Ku pojednaniu.

www.wojciechreszczynski.pl

OGNIEM NA WPROST

Generał wchodzi do gry



Andrzej Rafał Potocki

Rządząca czeska partia Wolność i Demokracja Bezpośrednia (SPD) domaga się, by ukraiński przywódca stracił Order Białego Lwa (Řád bílého lva). Jest to najwyższe odznaczenie Republiki Czeskiej, kontynuujące tradycję czechosłowackiego orderu o takiej samej nazwie, ustanowionego w 1922 r. jako odznaczenie dla zasłużonych cudzoziemców. Obecnie order jest nadawany przez prezydenta Czech obywatelom i cudzoziemcom za znamienite zasługi ich kraju. Jindřich Rajchl, przewodniczący partii PRO z frakcji SPD, poinformował, że zamierza złożyć do koalicji rządowej wniosek o odebranie orderu Zełenskiemu dokładnie z tego samego powodu co w Polsce. SPD chce, by czeska Izba Poselska wystąpiła do prezydenta Petra Pavla z takim samym wnioskiem. Rajchl podkreślił, czerpiąc przykład z decyzji prezydenta Karola Nawrockiego, że „nie możemy milczeć, gdy nasze najwyższe odznaczenie państwowe posiada osoba, która nadaje jednostkom wojskowym nazwy nazistowskich potworów". Jednak według prawa odebranie państwowego odznaczenia w Czechach jest możliwe jedynie w przypadku prawomocnego wyroku sądu i skazania na co najmniej dwa lata więzienia za umyślne przestępstwo o szczególnie nagannym charakterze. I co wy na to, barany z kręgów rządowych, którzy w poddańczym geście chcecie wręczać Zełenskiemu jakiś medal z kartofla (Obywatelski Order Przyszłości) w zamian za zabrany przez prezydenta Nawrockiego Order Orła Białego? Łyso wam, pajace?!

A Zełenskiemu zaczyna powoli palić się grunt pod nogami. Ze względu na upadek brytyjskiego gabinetu premiera Keira Starmera ambasador Ukrainy w Londynie gen. Wałerij Załużny został zaproszony do Kijowa na rozmowę z ukraińską głową państwa. W kompleksie prezydenckim przy ul. Bankowej Zełenski sondował go, czy faktycznie wystartuje w wyborach prezydenckich. Sam Zełenski mówi już o „jesiennych wyborach". Pod znakiem zapytania stoi kwestia, czy wybory mają się odbyć po rozejmie, czy też w ekstraordynaryjnym trybie legislacyjnym z ominięciem stanu wojennego – ale wtedy pojawia się kontrowersja, dlaczego nie zorganizowano ich wcześniej. Tak czy inaczej rodzi się pytanie, kto będzie najgroźniejszym przeciwnikiem Zełenskiego. Na spotkaniu z gen. Załużnym pojawiła się cała wierchuszka od prezydenta. Wśród nich byli gen. Kyryło Budanow (były szef wywiadu wojskowego, obecnie szef kancelarii prezydenta), Rustem Umerow (były szef resortu obrony, obecnie sekretarz prezydenckiej Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony Ukrainy), Dawyd Arakhamia vel. David Braun, lider ugrupowania Sługa Narodu, a także wiceszef biura prezydenckiego Oleg Tatarow i szef resortu obrony Ukrainy Michaił Fedorow. W końcu prezydent zapytał byłego głównodowodzącego: „Czy będziesz kandydował, jeśli wybory odbędą się jesienią?". Otrzymał jednoznaczną odpowiedź: „Tak, będę". Przypomnijmy, że to Zełenski zdymisjonował gen. Załużnego ze stanowiska głównodowodzącego SZU, wstawiając w jego miejsce gen. Ołeksandra Syrskiego. Przypomnijmy także to, że Załużny wraz ze swoją ekipą skrytykował obecnego prezydenta za jego postawę wobec Polski, oraz to, że generał jest gotów wystąpić jako gwarant odbudowy relacji Ukrainy z bratnią Polską! To jego słowa.

A teraz front. Warto tylko odnotować informację, że pod Wołczańskiem Moskalom powoli udaje się okrążyć elementy broniącej się tu 159. Brygady Zmechanizowanej. W nocy z 14 na 15 czerwca Moskal uderzył dronami i rakietami na Kijów, co wywołało pożar i uszkodziło Ławrę Peczerską, która dla prawosławnych ma takie znaczenie jak Jasna Góra dla polskich katolików. Odwet był szybki i skuteczny. Na drugi dzień Tryzuby uderzyły dronami w rafinerię Kapotnia pod Moskwą, a następnego dnia doszło do powtórki. Ciała dała ruska OPL (obrona przeciwlotnicza). Pancyry i systemy S-300 czy S-400 waliły rakietami w drony, ale trafiały głównie we własne obiekty naziemne. Epicka eksplozja potężnego baniaka z ropą, którego pokrywa poszybowała na kilka pięter w górę, była właśnie skutkiem trafienia rakietą Pancyra. Siatki antydronowe nad magazynami paliw też niewiele dały, bo płonące odłamki po eksplozji na siatce i tak wywoływały pożar. Nasycenie OPL w bezpośrednim sąsiedztwie chronionych obiektów (zamiast obrony strefowej, która miałaby na celu po prostu nie dopuścić pocisków nad cel) wręcz pogarszało sytuację, powodując pożary w zupełnie nieoczekiwanych miejscach. Po tej masakrze Kacapy ściągają do Moskwy resztę systemów przeciwlotniczych z frontu! Pracownica moskiewskiej rafinerii, widząc słup dymu uznała, że dalsza podróż do pracy nie ma sensu. Słuszna decyzja. Gratulujemy tej pani zdrowego rozsądku. Ciąg dalszy nastąpi.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 166cbf2463

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Dojny kraj



Aleksander Nalaskowski

Mówi się, że polityka to służba publiczna. Coraz częściej wygląda jednak na to, że dla wielu (i ta liczba wciąż rośnie!) stała się wyjątkowo dochodowym biznesem. Chciwość przestała być wstydliwą wadą – bywa wręcz modelem kariery. Liczy się nie to, ile zrobiono dla obywateli, lecz to, ile udało się wycisnąć z systemu. Potocznie nazywa się to „dojeniem". Niekiedy ze zdumieniem czytam oświadczenia majątkowe osób publicznych. Wiele z nich jest zwyczajnych, rzekłbym – normalnych, ale niemało jest też takich, które rodzą same pytania. Jak to bowiem możliwe, że radny wojewódzki, będący nauczycielem, ma dom, dwa mieszkania i dwa nowe auta znakomitych marek? Jak to możliwe, że rajca miejski ma kilka działek budowlanych, cztery mieszkania i dom?

Ale to nie tacy „bogacze" są najliczniejsi, rady nadzorcze pękają bowiem od stricte politycznych nominacji, wysokie premie wypłacane są z zadziwiającą regularnością, a zarobki rosną daleko szybciej niż zaufanie społeczne. Instytucje samorządowe, które powinny być wzorem gospodarności, niejednokrotnie stają się miejscem rozdawania stanowisk (i forsy) swoim ludziom. Kompetencje schodzą na drugi plan, gdy pierwszeństwo ma legitymacja partyjna lub odpowiedni telefon od wpływowego znajomego. Przykład Dawida Kacprzyka jest tu modelowy. W wyłudzaniu nienależnych pieniędzy od państwa osiągnął absolutne mistrzostwo.

Nie brakuje polityków, którzy z uporem przekonują obywateli o konieczności zaciskania pasa, podczas gdy sami są właścicielami kilku mieszkań, inwestują w działki budowlane i przesiadają się do coraz bardziej luksusowych samochodów. Trudno nie odnieść wrażenia, że hasło „dla dobra wspólnego" kończy się tam, gdzie zaczyna się ich prywatny interes.

Posłowie i senatorowie często przekonują, że ciężko pracują dla kraju. Obywatele mają jednak prawo pytać, dlaczego oprócz diet i uposażeń pojawiają się kolejne dodatki. Bezczelnie zawyżone kilometrówki (Żukowska), nieuzasadnione dopłaty do mieszkań (Gajewska i Myrcha) czy miejsca w spółkach kontrolowanych przez państwo lub samorządy (Gawłowski). Czy w tym ostatnim przypadku naprawdę chodzi o wykorzystanie doświadczenia, czy raczej o stworzenie wygodnego systemu wzajemnych przysług? A horrendalnie wysokie dodatki za obecność w komisjach sejmowych? A wykorzystywanie samochodów służbowych do prywatnych celów? To przykłady finansowego rozpasania i cwaniactwa. Jak śmiesznie i zgrzebnie wyglądają tu zarobki profesorów na uniwersytetach.

Jeszcze wyżej, w instytucjach europejskich, politycy również nie są wolni od pytań o przejrzystość wydatków i odpowiedzialność za publiczne pieniądze. Im większe wynagrodzenie, tym większa powinna być odpowiedzialność. Posłowanie do Parlamentu Europejskiego to gruba i wymarzona synekura oraz duże pieniądze. A ja pytam, co takiego zrobiła tam dla Polski Scheuring-Wielgus (wyjątkowy przykład osoby ograniczonej), Śmiszek i Biedroń (romantyczne podróże do 100 krajów!) czy Kohut (wyjątkowy zaprzaniec)? Najkrócej – za co im płacimy? Czy kiedykolwiek zarobili na swoje diety i honoraria? Czy czymkolwiek się zasłużyli!?

Jeśli chciwość staje się ważniejsza od odpowiedzialności, demokracja traci sens

Opinia publiczna często słyszy o kolejnych aferach, nadużyciach czy podejrzeniach o łapówki, które podważają zaufanie do całej klasy politycznej. Oczywiście nie każdy polityk, samorządowiec, poseł, senator czy europoseł zasługuje na taką ocenę. Wielu wykonuje swoją pracę uczciwie i z zaangażowaniem. Problem polega na tym, że wystarczy garstka pazernych ludzi, by cień podejrzeń padł na wszystkich.

Państwo nie może być bankomatem dla wąskiej grupy uprzywilejowanych. Polityka nie może oznaczać wyścigu po kolejne premie, rady nadzorcze, stanowiska i przywileje. Jeśli chciwość staje się ważniejsza od odpowiedzialności, demokracja traci sens, obywatele przestają zaś wierzyć, że władza działa w ich interesie. A społeczeństwo, które traci zaufanie do swoich przedstawicieli, prędzej czy później wystawi im rachunek – przy urnach wyborczych.

Chciwość pomału staje się znakiem rozpoznawczym naszych czasów. Przestała być cechą wstydliwą, a stała się atutem w rozpychaniu się do tego ogólnonarodowego bankomatu. Najbardziej rozpychają się ci, którzy najmniej potrafią i nie chcą pracować. Wychodzą bowiem z założenia, że miejsce przy dojnym cycku im się należy. Czują się lepsi i ważniejsi od innych. To dla nich był słynny VIP room w warszawskim szpitalu i to oni wynieśli ponad wyobrażenie młokosa po ledwie ukończonych studiach medycznych. Nie wyobrażają sobie innego, niedojnego życia. Dojne życie im się należy i już.

A jednocześnie miliony Polaków, nie bacząc na koszty, miłosiernie przyjęło pod swój dach miliony wystraszonych Ukraińców. I jak to wszystko połączyć?

eprasa.pl 166cbf2463

Michał Korsun prezentuje:
Koalicja Pustych Serc



Wycinki z przeszłości

„Myszy zjadły 1100 złotych” – donosił „Expres Zagłębia” w 1938 r. Odszkodowanie, które rolnik Stefan Góralczyk dostał „za spalenie się stogu i stodoły, schował w mieszkaniu pod podłogę”. Gdy zajrzał do kryjówki, okazało się, że pieniądze „są pogryzione przez myszy”. Udało się wymienić tylko 600 zł, a 1100 zł bezpowrotnie przepadło. Gazeta puentowała: „A tak łatwo było uniknąć straty, składając pieniądze na książeczkę oszczędnościową w PKO”.

(sp)


Troje dzieci spłonęło żywcem

EXPRES ZAGŁĘBIA

Krwawy odwet Żydów w Pale

Sesja nadzwyczajna Sejmu

Groźny pożar

DONIOSŁA KONFERENCJA

Mussolini odwiedzi

Myszy zjadły
1.100 ZŁOTYCH

Do Banku Ludowego w Sławicach, pow. tucholskiego zgłosił się zrozpaczony rolnik Stefan Góralczyk ze wsi Zazdrość, prosząc o wymianę całkowicie zniszczonych dwóch banknotów 500-złotowych i siedmiu 100-złotowych.

Jak się okazało Góralczyk pieniądze te, otrzymane jako premię asekuracyjną za spalenie się stogu i stodoły, schował w mieszkaniu pod podłogę.

Można sobie wyobrazić jego rozpacz i przerażenie, gdy zajrzawszy do kryjówki, stwierdził, że pieniądze są pogryzione przez myszy. 600 złotych udało się odzyskać przez wymianę na dobre banknoty, natomiast 1100 złotych bezpowrotnie przepadło. A tak łatwo było uniknąć straty składając pieniądze na książeczkę oszczędnościową w P. K. O.

Z WOLEJA

„Auf Wiedersehen”, czyli radość o poranku



Ryszard Czarnecki

Mecz o wejście do „szesnastki” piłkarskiego mundialu Paragwaj–Niemcy. Poza stadionem oglądano go w telewizji w setkach domów i barów pod różnymi szerokościami geograficznymi. Nagranie z jednej z takich knajp puściłem znajomemu: futbolista z Ameryki Łacińskiej strzela decydującą „jedenastkę”, a zgromadzonych przed telewizorem ludzi ogarnia euforia. Biją brawo, krzyczą, wiwatują, rzucają się sobie w ramiona. Zadałem mu pytanie, czy wie, gdzie zrobiono to nagranie. „W Paragwaju” – odparł. Odpowiedziałem: „Nie. W Polsce!”. Tak Polacy zareagowali na odpadnięcie z mistrzostw świata naszych zachodnich sąsiadów.

A ja odbyłem podróż do przeszłości: jest 1998 r., mundial we Francji, mecz ćwierćfinałowy Chorwacja– Niemcy. Wyrwałem się z Warszawy, gdzie ministrowałem w rządzie AWS, by pochodzić po czeskich górach i oglądałem to spotkanie w małej mieścinie w kraju naszych południowych sąsiadów. Też w knajpie. Byliśmy w parę osób i okazywaliśmy entuzjazm po każdym golu Chorwatów oraz po zakończonym meczu. Teutoni polegli 0:3. Na początku miejscowi byli przekonani, że jesteśmy Chorwatami, ale szybko wyjaśniliśmy nieporozumienie, a potem wspólnie kibicowaliśmy przeciwko nacji, której w Europie nikt nie lubi.

I znów się okazało, że Niemcy nie potrafią nawet przegrać. Ich trener wściekał się, że w końcówce meczu z Paragwajem nie uznano gola strzelonego przez jego drużynę. Krzyczał o „skandalu”. Aż musiał zabrać głos guru arbitrów, równie legendarny jak łysy Pierluigi Collina, który wyjaśnił, że gol nie mógł być uznany, bo piłkarz z Niemiec przeszkadzał bramkarzowi przeciwnika. Ów futbolista (Waldemar Anton) urodził się w Uzbekistanie, ale ponieważ jest biały, ratował proporcje między „białymi” a „niebiałymi” w reprezentacji RFN. Ostatni mecz na MŚ Niemcy rozpoczęli z większością „niebiałych” w swojej reprezentacji, a jednym z pięciu „białych” był piłkarz o serbskich korzeniach (Aleksandar Pavlović). I tak byli lepsi od Francuzów, bo wielokolorowi – pardon, Trójkolorowi – rozpoczęli pojedynek ze Szwecją z dwoma „białymi” w składzie.

Skądinąd mecz Francuzów pokazał prawdziwość starego powiedzenia, że „fortuna sprzyja lepszym” – holenderski sędzia uznał gola dla Les Bleus, którego nie powinien uznać, bo piłka przy wykonywaniu rzutu rożnego była w ruchu, a powinna stać. Mimo to arbiter z Niderlandów ma szansę na sędziowanie nawet finału mundialu, bo jego reprezentacja przegrała po karnych z Marokiem i w depresji wróciła do holenderskich depresji.

eprasa.pl 166cbf2463

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Uniwersalne źródło nadziei

Miejsce, do którego nie sięga żadna miłość – tak scharakteryzował kiedyś piekło Joseph Ratzinger, teolog, który został papieżem.

Rośnie przekonanie, iż ludzka cywilizacja stoi w obliczu poważnego kryzysu, a sposoby jego przezwyciężenia pozostają niejasne. Czy grozi nam, że nasz społeczny świat stanie się tak nieludzki, że aż piekielny? Nieraz w tym miejscu staraliśmy się opisać siły destrukcyjne, ale dziś argumentujemy na rzecz tezy, że jesteśmy w stanie uchronić się przed beznadzieją, czyli piekłem.

STRAŻNICY CZŁOWIECZEŃSTWA

Wiedza o ludzkich dziejach oraz mechanizmach życia społecznego pokazuje nam, że bodaj w każdej społeczności – od małej wioski po wielkie miasto, od kultury zachodniej do wschodniej – istnieją ludzie nieulegający logice zysku, konformizmu czy samego przetrwania. To ci, którzy uparcie trzymają się podstawowych ludzkich wartości: sprawiedliwości, empatii, lojalności, godności, prawdy.

Nie są to „bohaterowie" w sensie filmowym – nie mają supermocy, nie prowadzą krucjat ratujących świat. Po prostu nie mogą żyć inaczej – dla nich prawda jest ważniejsza niż wygoda, sprawiedliwość ważniejsza niż korzyść, człowiek ważniejszy niż system.

SKĄD SIĘ WZIĘLI DOBRZY LUDZIE

Ich stała obecność w historii nie jest przypadkiem. Patrząc socjologicznie, powiemy: ewolucja kulturowa nie tylko wybierała tych, którzy byli najsilniejsi lub najsprytniejsi, lecz także tych, którzy potrafili współdziałać, kochać, żałować, przepraszać, bronić słabszych.

To jedna z kluczowych cech przetrwania naszego gatunku: nie przewaga agresji, lecz zdolność do życia w społeczności.



Dziś, w erze globalizacji, AI oraz degradacji więzi społecznych być może właśnie ta grupa jest naszą ostatnią kotwicą

KOTWICA

Dziś, w erze globalizacji, AI oraz degradacji więzi społecznych być może właśnie ta grupa jest naszą ostatnią kotwicą.

Nie mówimy o politykach, o prezesach wielkich firm ani o influencerach. Częściej to cisi, anonimowi aktorzy codzienności. To owa „mniejszość konieczna", której istnienie da się wyjaśnić splotem czynników genetycznych, kulturowych i funkcjonalnych (systemowych). Albo – dla osób wierzących – Bożą łaską.

Mówimy o niektórych nauczycielach, lekarzach, pielęgniarkach, strażakach, wolontariuszach, o rodzinach, które pomagają innym mimo własnych problemów, o młodych ludziach, którzy protestują, choć wiedzą, że nie zmienią świata, ale nie mogą milczeć. Nie są „idealni", nierzadko się mylą, czasem są znużeni, czasem się boją. Ale nie rezygnują.

„GEN MORALNY" SPOŁECZEŃSTWA

Ich obecność to swoisty „gen moralny" społeczeństwa, który działa jak system immunologiczny: gdy wszystko się rozpada, oni wciąż działają.

To, że w każdej epoce pojawiają się dobrzy ludzie, daje nam stałą nadzieję – niezależnie od ideologii, religii, narodowości czy ekonomii. Nie dlatego, że zawsze wygrywają, lecz dlatego, że nie przestają walczyć.

Znajdziemy ich w Polsce, w Chinach, w USA, w Afryce, w Brazylii – wszędzie tam, gdzie ludzie nadal wierzą, że warto być dobrym, nawet jeśli to się nie opłaca.

I właśnie to „niewygodne", „nieefektywne", „nielogiczne" przywiązanie do wartości jest tym, co odróżnia nas od maszyn, od systemów, od algorytmów.

AI może liczyć, generować, analizować, ale nie ponosi odpowiedzialności moralnej ani nie doświadcza zobowiązań, które skłaniają ludzi do poświęceń. Dlatego to ludzie, którzy potrafią kochać bezwarunkowo – nie algorytmy – wyznaczają granice tego, co uznajemy za dopuszczalne.

DOBRO NIGDY CAŁKOWICIE NIE ZNIKA

Więc gdy świat staje się coraz bardziej cyfrowy, automatyczny, bezosobowy, to właśnie ta grupa ludzi trzyma nas w granicach ludzkości. To m.in. dzięki nim trwają instytucje prospołeczne, np. chroniące sygnalistów, nawet gdy systemy premiują brak skrupułów. Nadzieja, którą niosą, nie polega na naiwnym przekonaniu, że „dobro zawsze zwycięża". Raczej na tym, że dobro nigdy całkowicie nie znika, zawsze istnieje pewna liczba ludzi gotowych ponieść koszt bycia przyzwoitym.

Nie muszą stanowić większości – wystarczy, że mówiąc: „tak nie wolno", podtrzymują normy, wobec których inni muszą się określić.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl 166cbf2463

NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Wybierz swój Paczkomat®
i czytaj SIECI
już w poniedziałek



Zyskujesz też możliwość czytania SIECI na telefonie



- **dostawa już w poniedziałek** przez Paczkomat®
- dodatkowo **dostęp do e-prenumeraty** SIECI i e-booków Sieci Extra niedostępnych dla innych czytelników
- **cena niższa niż w kiosku** – tylko 9,39 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)
- opcja zmiany na inny Paczkomat® (np. na czas urlopu)
- darmowa dostawa

Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!

prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 166cbf2463

SPAKUJ SUBSKRYPCJĘ

SIECI i wPolityce.pl

na wakacje!



ZAMÓW 50% TANIEJ

BAGAŻ PEŁEN FAKTÓW:
E-wydania „Sieci” już w niedzielę o 18:00. Rzetelne informacje zabierasz ze sobą bez dodatkowego ciężaru.

ZERO OGRANICZEŃ, PEŁEN DOSTĘP:
Wszystkie teksty wPolityce.pl Premium+. Nasza publicystyka zawsze pod ręką – na plaży, w górach czy nad jeziorem.

LEKTURA NA DŁUGIE WIECZORY:
Dostęp do archiwum tygodnika i biblioteki e-booków „Sieci Extra”. Pogłębiaj wiedzę, kiedy tylko masz na to ochotę.

MOCNY FUNDAMENT WOLNOŚCI:
Nawet kiedy odpoczywasz, my patrzymy władzy na ręce. Twoja subskrypcja buduje niezależne, patriotyczne media przez cały rok.

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

SPRAWDŹ NA

siec.wpolityce.pl/oferta

eprasa.pl 166cbf2463